

Hans Christian Andersen

BAŚNIE

Zixo Reader

Bałwan ze śniegu	3
Brzydkie Kaczątko	6
Co ojciec czyni, jest zawsze słuszne.....	15
Dziecię Elfów	18
Dzień Sądu Ostatecznego	27
Dziewczyna, która podeptała chleb	30
Dziewczynka z zapałkami.....	35
Dzikie łabędzie	37
Królowa ŚnieguBaśń w siedmiu opowiadaniach	48
Krzesełko	70
Księżniczka na ziarnku grochu	76
Latający kufer	77
Mała Syrena	81
Nowe szaty Cesarza	95
Opowieść o Matce	99
Rzecz całkiem pewna.....	103
Słowik	105
Stary Dom	112
Stokrotka	117
Świniopas.....	120
Umarłe dziecko.....	124

Bałwan ze śniegu

– Jakież ten mróz jest wspaniały! - powiedział bałwan ze śniegu.

– A jakie "to" w górze jest rozżarzone! - miał na myśli słońce.

– Nie zmusi mnie do mrugania, będę mocno zaciskał moje skorupki śniegu. Zamiast oczu miał dwa duże, trójkątne kawałki dachówek, usta miał zrobione z kawałka starych grabi, posiadał więc i zęby. Przyszedł na świat wśród radosnych okrzyków dzieci, powitany brzęczeniem dzwoneczków sanek i strzelaniem z bicza. Słońce zaszło, wzeszedł księżyc w pełni, okrągły i wielki, jasny i piękny w błękitnym powietrzu.

– Gdybym tylko wiedział jak ruszyć się z miejsca. Gdybym to potrafił, poszedłbym teraz poślizgać się po lodzie, widziałem jak to robili chłopcy. Ale nie potrafię biegać.

– Precz, precz! - zaszczekał stary pies podwórzowy, który był trochę zachrypnięty. Miał chrypę od czasu, gdy przestał być pokojowym pieskiem i już nie leżał pod piecem. - Słońce nauczy cię biegać. Widziałem co się działo zeszłego roku z twymi poprzednikami, a dawniej z ich poprzednikami. Wszyscy oni poszli sobie precz.

Pogoda się zmieniła. Nad ranem gęsta, wilgotna mgła pokryła całą okolicę. Kiedy dniało, zawiął wiatr, wziął ostry mróz. I cóż to za widok ukazał się gdy wzeszło słońce! Wszystkie drzewa i krzaki stały w szronie. Wyglądało to jak las z białego korala, wszystkie gałęzie były białe jakby obsypane białym kwieciem. A kiedy zaświeciło słońce, wszystko zabłysło jak pokryte diamentowym pyłem. Wydawało się, że płoną tam niezliczone maleńkie światełka, jeszcze bielsze od białego śniegu.

– Jakie to cudownie piękne - powiedziała młoda dziewczyna, która weszła z młodzieńcem do ogrodu. Stanęli tuż koło bałwana i oglądali błyszczące drzewa. - Nawet w lecie nie ma takiego widoku.

– A takiego jegomościa jak ten nie ma wcale w lecie - dodał młodzieniec i wskazał na bałwana. - Jest wspaniały.

Dziewczyna zaśmiała się, kiwnęła głową bałwanowi i tańczyła ze swym przyjacielem po śniegu, który skrzypiał im pod nogami.

– Kto to byli ci dwoje? - spytał bałwan psa.

– To państwo - odrzekł pies. Kiedy się dopiero wczoraj przyszło na świat, wie się doprawdy nie wiele, widzę to po tobie. Ja jestem stary i doświadczony, znam tu wszystkich w obejściu, a były czasy, kiedy nie stałem tu na zimnie, przywiązany na łańcuchu. Kiedy byłem młodym pieskiem, oni mówili, że małym i ślicznym, wówczas leżałem w pokoju na pluszowym fotelu, spoczywałem na kolanach pana i pani, całowano mnie w pyszczek i wycierano mi łapki haftowaną chusteczką. Nazywano mnie wtedy "najpiękniejszym pieskiem". Ale potem stałem się dla nich za duży i podarowali mnie gospodyni. Powędrowałem więc do sutereny. Było tam wprawdzie skromniej, ale przytulniej. Dzieci nie ciągnęły mnie za ogon i nie drażniły jak tam na górze. Karmili mnie równie dobrze. Miałem własną poduszkę i był tam również piec, a o tej porze roku to najmiłsza rzecz na świecie, Właziłem pod piec, tak że znikałem pod nim. Często jeszcze śnię o piecu.

– Czy piec wygląda podobnie do mnie, czy jest taki piękny jak ja? - zapytał bałwan ze śniegu

– Wygląda zupełnie jak twoje przeciwieństwo. Jest czarny jak węgiel, ma długą szyję i mosiężną trąbę. Pożera drzewo, aż ogień bucha mu z ust. Trzeba trzymać się jego boku, tuż koło niego lub pod nim, to niezwykła przyjemność. Możesz go zobaczyć z miejsca w którym stoisz.

Bałwan ze śniegu zajrzał w okno sutereny i zobaczył rzeczywiście czarny, polerowany przedmiot z mosiężną rurą. Ogień błyszczał w dole. Bałwan miał dziwne uczucie, z którego sam nie zdawał sobie dobrze sprawy. Ogarnęło go coś takiego co znają wszyscy ludzie, o ile nie są bałwanami ze śniegu.

– I dlaczego go opuściłeś? - spytał bałwan. - Jak mogłeś opuścić takie miejsce?

– Musiałem - odpowiedział pies - wyrzucili mnie i przywiązali do łańcucha. Ugryzłem służącego w nogę, bo zabrał mi kość. Kość za kość, myślałem sobie. Ale oni wzięli mi to za złe i od tego czasu przymocowano mnie do łańcucha.

Bałwan ze śniegu nie słuchał już więcej, patrzył tylko nieustannie w okno sutereny do gospodyni, patrzył w głąb pokoju, gdzie stał piec na swych czterech żelaznych nogach i był tej samej wielkości co bałwan ze śniegu.

– Coś tak dziwnie we mnie trzeszczy - powiedział bałwan. - Czyż nigdy się tam nie dostanę. Przecież to niewinne życzenie, a nasze niewinne życzenia spełniają się zazwyczaj. Jest to moje najskrytsze życzenie, moje jedyne życzenie. Byłoby niesprawiedliwie gdyby się nie spełniło. Muszę się tam dostać, muszę się do niego przytulić, nawet gdybym miał stłuc szybę w oknie.

– Nigdy się tam nie dostaniesz - powiedział pies. - A kiedy zbliżysz się do pieca, pójdziesz precz.

– I tak mnie już prawie nie ma - odrzekł bałwan. Wydaje mi się, że się rozpadam.

Przez cały dzień bałwan ze śniegu stał i patrzył w okno. O zmierzchu pokój wyglądał jeszcze bardziej zachęcająco. Z pieca rozchodził się taki miły blask, księżyc ani słońce nie potrafią tak błyszczeć jak piec, kiedy pali się ogień w jego wnętrzu. Noc była bardzo długa, ale bałwanowi wydawała się krótka. Śnił mu się piec. Rano okna sutereny zamarły, ukazały się na nich najpiękniejsze kwiaty, jakie tylko bałwan ze śniegu mógł sobie wymarzyć, ale zasłoniły mu widok pieca. Był mróz wymarzony dla bałwana ze śniegu, ale on nie był szczęśliwy, bo tęsknił do pieca.

– To ciężka choroba dla bałwana ze śniegu taka miłość do pieca – powiedział pies. - I ja niegdyś cierpiałem na tą chorobę, ale przemogłem ją. Czuję, że teraz pogoda się zmieni.

I pogoda rzeczywiście się zmieniła. Rozpoczęła się odwilż. Odwilż zwiększała się, a bałwan się zmniejszał. Nic nie mówił, nie skarżył się, a to już zły znak.

Pewnego ranka rozpadł się. Z tego miejsca, gdzie stał, wystawało coś, co przypominało kij do miotły. Chłopcy ulepili bałwana na tym kiju.

– Teraz rozumiem jego tęsknotę - powiedział pies łańcuchowy. - Bałwan miał w ciele pogrzebacz!

Brzydkie Kaczątko

Prześlicznie było na wsi. Lato gorące, pogodne, żółte zboże na polach, owies jeszcze zielony, na łąkach stogi pachnącego siana. Bociany przechadzały się powoli na wysokich, czerwonych nogach, klekocąc po egipsku, bo takim językiem nauczyły się mówić od matek. Dokoła wielkie lasy, cieniste, szumiące, a w nich głębokie i ciche jeziora. Prześlicznie, cudownie było na wsi.

Jasne słońce oświetlało stary dwór na pochyłości wzgórza, otoczony murem i szeroką wstęgą wolno płynącej wody. Z muru zwieszały się pnące rośliny, a liście łąpianu schylały się aż do wody. I było pod nimi cicho i ciemno jak w cienistym lesie.

Pod jednym z takich liści młoda kaczka usłała sobie gniazdo i siedziała na jajach. Nudziło się jej bardzo, bo żadna z sąsiadek nie miała chęci w tak piękną pogodę rozmawiać z nią o tym, co słychać na świecie. Każda wołała pływać po przejrzystej wodzie, pluskać się i schnąć na ciepłym słońcu, a ona tylko jedna jak przykuta siedzi w cieniu na gnieździe.

Skończyło się wreszcie jej udęczenie, jajka zaczęły pękać i co chwila wysuwała się z innej skorupki główka pisklęcia, oznajmiając ciekawym głosem, że żyje.

— Pip, pip! — wołały wszystkie.

— Kwa, kwa! — odpowiadała im poważnie matka, a małeństwa zaczęły naśladować jej głos opowiadając sobie, co widzą dokoła, i rozglądając się na wszystkie strony.

Matka pozwalała mówić i patrzeć, ile im się podoba, bo kolor zielony jest bardzo zdrowy dla oczu.

— Ach, jaki ten świat duży! — wołały kaczęta dobywając się z cienkiej skorupy i prostując z przyjemnością nóżki i skrzydełka.

— Nie myślcie, że z tego gniazda widać cały świat — rzekła matka. — Ho, ho! Ciągnie się on ogromnie daleko, jeszcze za tym ogrodem, za łąką proboszcza, het, het! Ale nigdy tam nie byłam.

Czyście już wszystkie wyszły ze skorupki? — dodała wstając. — Jeszcze nie! Największe ani myśli pęknąć. Ciekawam bardzo, jak długo będę tu na nim pokutowała. Przyznam się, że mam już tego zupełnie dosyć.

I usiadła z gniewem na upartym jajku.

— A cóż tam słyhać u was, kochana sąsiadko? — spytała stara kaczka, która wybrała się wreszcie w odwiedzinach do młodej matki.

— Z jednym jajkiem mam kłopot: ani myśli pęknąć. A taka jestem zmęczona! A inne dzieci ślicznie się wykluły, zdrowe, żwawe, żółciutkie, aż przyjemnie patrzeć. Ładniejszych kacząt w życiu nie widziałam.

— Pokaż mi to jajko, które nie chce pęknąć — rzekła sąsiadka. — Ho, ho! Takie duże. To indyjskie jajko. Znam się na tym, bo mi się niegdyś zdarzyło wysiedzieć takie. Nie ma z tego pociechy; wody się obawia, pływać nie umie. Namęczyłam się i na-martwiłam nad nim. Wszystko na próżno; niczego nauczyć go nie można. Pokaż no jeszcze to jajko. Tak, tak, to indyjskie. Zostaw je i zajmij się lepiej swoimi. Czas puścić dzieciaki na wodę.

— Nie — odparła kaczka. — Posiedzę jeszcze; tak długo siedziałam, wytrwam parę dni dłużej.

— Jak chcesz, moja kochana!

I kaczka siedziała cierpliwie, aż pękło i wielkie jajo.

— Pip, pip! — odezwało się piskłę i prędko zaczęło wydostawać się ze skorupki. Było bardzo duże i brzydkie. Kaczka patrzyła na nie z ciekawością i uwagą.

— Ogromne piskłę — rzekła wreszcie — i niepodobne do żadnego z moich. Czyżby to rzeczywiście było indyjskie jajko? No, przekonamy się o tym: musi iść do wody, choćbym je miała wciągnąć za łeb własnym dziobem.

Nazajutrz była prześliczna pogoda. Gładka powierzchnia wody błyszczała jak lustro i prawie że zapraszała do pływania. Kaczka z całą rodziną wybrała się do kąpieli i na dalszą wycieczkę. Plusk!... i skoczyła w wodę.

— Kwa, kwa! — zawołała i dzieci zaczęły skakać za nią jedno po drugim. Na chwilę kryły się w wodzie z łebkami, lecz zaraz wypływały, poruszały zgrabnie i szybko nóżkami i radziły sobie tak dobrze, że przyjemnie było patrzeć.

Brzydkie kaczątko pływało razem z innymi.

„To nie indyjskie — rzekła do siebie kaczka. — Umie pływać, i jak jeszcze! Może najlepiej ze wszystkich. Jak prosto się trzyma, a jak doskonale przebiera nogami. To moje własne dziecko. Nie jest ono nawet takie brzydkie, jeśli się dobrze przypatrzeć, tylko za duże trochę, no, bardzo duże”.

— Kwa, kwa! — odezwała się znowu głośno. — Za mną, dzieci! Muszę was wprowadzić w świat, przedstawić na kaczym dworze, tylko trzymajcie się blisko mnie, żeby was kto nie zdeptał; a najbardziej strzeżcie się kota.

Przepląnąwszy kawałek drogi, kaczki wyszły znów na ląd i dostały się na kacze podwórko. Hałas tu był niesłychany, gdyż dwie rodziny kłóciły się zapamiętale o główkę węgorza, którą tymczasem w zamieszaniu kot rozbójnik pochwycił.

— Tak to bywa na świecie — rzekła kaczka i obtarła dziób o piasek, bo sama miała apetyt na główkę.

— A teraz naprzód! Równo poruszać nogami, a tej starszej kaczkę ukłóńcie się grzecznie, tak, głową, to bardzo znakomita osoba, jest Hiszpanką i dlatego taka tłusta. Widzicie na jej nodze ten czerwony znaczek? To największe odznaczenie, jakie kaczkę spotkać może u ludzi: oznacza ono, że nie wolno jej wyrządzić żadnej krzywdy, więc ją wszyscy szanują. No, dalej, nogi rozstawiać szeroko, nie do środka, kaczka dobrze wychowana powinna umieć chodzić. Patrzcie zresztą na mnie. A teraz ukłóńcie się i powiedzcie: kwa! kwa!

Kaczątka wypełniały rozkaz matki. Inne kaczki otoczyły je dokoła i przypatrywały się nowym przybyszom.

— Jeszcze nas widać mało! — rzekła wreszcie jedna. — Niedługo miejsca zabraknie. Ach, pfe! A cóż to znowu? Patrzcie tylko, patrzcie, jak to kaczę wygląda! Nie mogę znieść widoku takiego brzydactwa.

Podbiegła do brzydkiego kaczęcia i ze złością uszczypnęła je z całej siły w szyję.

— Daj mu spokój! — zawołała gniewnie matka. — Przecież nikomu nic złego nie robi.

— Ale jest takie wielkie i takie dziwaczne, że nie można na nie patrzeć. Po co takie stworzenie między nami? Każdy ma prawo dać mu poznać, co o nim myśli.

— Ładne masz dzieci — rzekła starsza kaczka z czerwonym strzępkim na nodze. — Można ci powinszować. Tylko to duże jakoś ci się nie udało. Czy nie można by go trochę przerobić?

— Zdaje się, że nie można, proszę jaśnie pani! — odrzekła kaczka skromnie. — Nie jest ono ładne, ale posłuszne, dobre i doskonale pływa. Mam nadzieję, że wyrośnie z tej brzydoty i będzie z czasem mniejsze. Za długo siedziało w jajku i dlatego j takie niezgrabne.

Dziobnęła je po szyi, wyprostowała piórka, przyglądała. Niewiele to jednak pomogło.

— To kaczor — rzekła wreszcie — więc da sobie radę, zwłaszcza że będzie silny. — Inne dzieci bardzo ładne, bardzo ładne. No, możecie już iść. Bądźcie tu jak u siebie, moje małe. A jeśli wam się zdarzy znaleźć główkę węgorza, możecie mi ją przynieść.

I kaczęta były jak u siebie w domu.

Tylko jedno brzydkie kaczę popychano, szczypano, odpędzano, a znęcały się nad nim nie tylko kaczki, ale nawet i kury. „Za duże jest” — powtarzali wszyscy bez wyjątku, a stary indyk, który przyszedł na świat z ostrogami i wyobrażał sobie, że jest królem, nastroszył wszystkie pióra niby żagle, poczerwieniał na szyi i głowie aż po oczy i patrzył na nie z groźnym oburzeniem. Biedne kaczątko samo nie wiedziało, czy ma przed nim uciekać, czy zostać na miejscu. Było mu bardzo smutno, że jest takie brzydkie, lecz cóż na to poradzi?

Tak upłynął pierwszy dzień, a następne były jeszcze gorsze. Brzydkie kaczątko zewsząd odpędzano, nawet własne rodzeństwo stroniło od niego i życzyło mu nieraz, żeby je kot porwał. Matka zaczęła wstydić się go także. „Idźże sobie ode mnie — powtarzała coraz częściej. — Czego się przy mnie płaczesz?” Kaczki je biły, kury dziobały, nawet dziewczyna, która ptactwu dawała jeść, odtrącała je nogą.

Uciekło wreszcie i przedostało się przez płot na drugą stronę, w krzaki. Gdy upadło na ziemię, przestraszone ptaki frunęły i uciekły.

„To dlatego, że jestem takie brzydkie” — pomyślało kaczątko i zamknęło oczy, aby nic nie widzieć przez jedną chwilę. Lecz skoro odpoczęło, zerwało się znowu i biegło dalej, dalej, aż do wielkiego błota, gdzie mieszkały dzikie kaczki. Tutaj przepędziło noc.

Nazajutrz dzikie kaczki zaczęły mu się przypatrywać.

— Coś ty za jedno? — pytały zdziwione. A kaczątko kłaniało się na wszystkie strony, jak umiało i mogło.

— Jesteś potwornie brzydkie — rzekły dzikie kaczki — ale cóż nam do tego? Bylebyś nie zechciało żenić się w naszej rodzinie, nic nam do twej urody.

Rozumie się, że biedne pisklę nie myślało o małżeństwie. Chodziło mu tylko o to, aby się mogło przespać w gęstej trzcinie i napić wody z błota.

Tego mu nie broniły dzikie kaczki. Przebywało dni parę w tym cichym ukryciu.

Razu pewnego z sąsiedniego stawu przyleciały dwa gąsiory jeszcze bardzo młode, gdyż niedawno wykluły się z jajek, ale właśnie dlatego dość zarozumiałe. Popatrzyły na kaczątko ciekawie, a jeden odezwał się:

— Jesteś taki brzydki, kochany kolego, że nie potrzebujemy obawiać się o ciebie, więc jeśli zechcesz, możesz lecieć z nami na nasze błota. Tam dopiero życie! Nie brak i młodych, ślicznych, białych gąsek. A wszystkie wesołe, rozmowne, jak pięknie śpiewać umieją! Mój drogi, zakochasz się z pewnością i choć jesteś taki brzydki, kto wie, czy się której nie spodobasz.

— A ja myślę... — zaczął drugi.

Wtem — pif, paf! i obaj dorodni młodzieńcy padli nieżywi w błoto, które się zaczerwieniło od krwi rozlanej.

— Pif, paf! — rozległo się znowu. — Pif, paf! — i całe stado dzikich gęsi uniosło się w powietrzu ponad trzciną. Ale teraz dopiero zaczęła się strzelanina. Było to wielkie polowanie: strzelcy otoczyli błoto, niektórzy nawet siedzieli na drzewach rosnących na wybrzeżu. Smugi dymu rozciągały się nad wodą i zasłaniały wszystko. Plusk, plusk, i psy myśliwskie zaczęły przebiegać wśród trzciny, chwytając nieszczęśliwych zbiegów. Okropny dzień!

Biedne kaczątko odwróciło głowę, aby z wielkiego strachu schować ją pod skrzydło, ale w tej chwili ujrzało przed sobą paszczę z wiszącym językiem i złe oczy, niby dwa ognie. Pies rzucił się na kaczątko, zęby mu błysnęły, wtem — plusk, plusk: poszedł sobie w inną stronę.

— O, dzięki Bogu, że jestem takie brzydkie! — zawołało kaczątko. — Pies mnie nawet tknąć nie chciał.

I zamknąwszy oczy, leżało cichutko, przytulone do trzciny, pośród huku wystrzałów, duszącego dymu i świszczącego śrutu, który śmierć roznosił.

Późno uciszyło się na krwawym stawie, lecz wystraszone kaczątko jeszcze przez kilka godzin nie śmiało ruszyć się z miejsca. Na koniec cisza je uspokoiła, podniosło głowę, otworzyło oczy, a nie widząc nikogo, zaczęło uciekać, ile mu sił starczyło, dalej, dalej, dalej!

W drodze zaskoczyła je okropna burza. Pioruny były, deszcz lał strumieniami, a wicher miotał biednym pisklęciem jak listkiem. Nigdy w życiu nic podobnego nie widziało i zdawało mu się, że to koniec świata.

Co począć? Gdzie się schronić?

Wieczór już zapadł. Brzydkie kaczątko upadało ze znużenia, kiedy ujrzało wreszcie małą chatkę. Była ona tak stara, pochylona, iż dlatego tylko stała, że nie wiedziała, w którą stronę się przewrócić. Kaczątko przytuliło się do ściany chatki, ale wiatr uderzał z taką gwałtownością, iż wydawało się, że lada chwila je zabije.

Więc ma tu zginąć?

Wtem spostrzegło, że drzwi chaty ledwo wisiały na zawiasach, skutkiem czego pod spodem utworzyła się szpara, przez którą można było wsunąć się do środka. Uczyniło to spieszenie, choć z niemałym trudem.

W chatce mieszkała stara kobiecina z kotem i kurą. Kot umiał mruścić, wyginać grzbiet w pałąk, a nawet sypać iskry trzaskające, lecz na to trzeba było pod włos go pogłaskać. Staruszka go kochała i nazywała wnukiem. Kochała też kurę, bo zносиła jajka, a że miała nogi nadzwyczaj krótkie, staruszka przezywała ją swoją córką Krótkonóżką.

Z rana zauważono zaraz obecność kaczątka i kura zagdakała, a kot zaczął mruścić.

— Co to jest? — rzekła stara patrząc na nowego gościa. Wzrok miała bardzo słaby, więc wydało jej się, że to jest duża kaczką, która się przybłąkała podczas burzy.

— A to szczęśliwie! — rzekła. — Będziemy mieli teraz i kacze jaja. Żeby to tylko nie był kaczor. Ha, trzeba się przekonać, poczekajmy.

Minęły trzy tygodnie, a kaczych jaj nie ma. Staruszka już przestała się ich spodziewać. Kot był w tej chatce panem, kura panią i oni tu rządzą. My i świat" — mówili, co miało oznaczać, że się uważają za coś lepszego od całego świata. Kaczętko było innego zdania, lecz kura się rozgniewała.

— Umiesz znosić jajka? — rzekła.

— Nie.

— No, to się nie odzywaj, z łaski swojej.

— Umiesz mrużyć, grzbiet wyginać, iskry sypać? — zapytał kot z kolei.

— Nie.

— No, to siedź cicho, kiedy mówią rozumiejsi od ciebie.

I kaczętko usiadło w kącie, smutne i zawstydzone.

Wtem przez otwarte drzwi wpadła smuga światła, wiatr przyniósł zapach wody, trzciny, tataraku i kaczętko opanowała taka chęć pływania, że zwierzyło się z tym kurze.

— A to co? — rzekła kura. — Nic nie robisz i dlatego ci takie głupstwa przychodzą do głowy. Znoś jajka albo mruż sobie, a zaraz wywietrzeją ci fantazje.

— Kiedy to tak przyjemnie — zapewniało kaczętko — zanurzyć się, wypływać, pluskać w czystej wodzie, a potem skryć się głęboko i widzieć, jak woda zamyka się nad głową.

— O tak, to wielka rozkosz! — zaśmiała się kura. — Co za niemądre pomysły? Zapytaj kota — przecież mądrzejszego stworzenia nie ma na świecie — zapytaj, czy lubi pływać albo zanurzać się w wodzie. O sobie już nie mówię, ale możesz spytać naszej pani. Żyje tak długo na świecie i jest bardzo rozumna. Nie znam rozumiejszej od niej. Więc zapytaj, czy to przyjemnie zanurzyć się z głową w wodzie i czy ma ochotę pływać.

— Nie rozumiecie mnie — rzekło kaczętko.

— My ciebie nie rozumiemy? Doprawdy? Więc któż cię może rozumieć? Czy sobie nie wyobrażasz czasem, ty głuptasie, że jesteś mądrzejszy od kota albo ód naszej pani? O sobie już nie mówię. Nie bądź tak zarozumiała, moje dziecko, dziękuj Bogu za te dobrodziejstwa, które ci tu wyświadczono. Mieszkasz w ciepłej izbie i masz towarzystwo, w którym mógłbyś skorzystać bardzo wiele. Ale na to trzeba słuchać i rozważać, a nie bając bez sensu. Powiem ci otwarcie, że niezbyt przyjemnie żyć z tobą pod jednym dachem. Możesz mi wierzyć. Zresztą mówię ci o tym przez życzliwość. Przyjaciół ma obowiązek mówić prawdę w oczy, chociażby była przykra. Radzę ci też szczerze: naucz się znosić jajka albo mrużyć, albo sypać iskry. Inaczej nic z ciebie nie będzie.

— Chyba pójdę sobie w świat — rzekło kaczętko.

— Otwarta droga, nikt cię nie zatrzymuje!

I poszło sobie kaczątko. Pływało po wodzie, pluskało, zanurzało się głęboko, ale zawsze było samo — inne pływające ptaki unikały go z powodu brzydoty.

Tymczasem nastąpiła jesień. Liście na drzewach pożółkły, ściemniały i poczęły opadać; wiatr kręcił nimi w powietrzu i niósł gdzieś daleko, aby znowu porzucić. Powietrze stawało się chłodne, wilgotne, ciężkie, chmury przesuwały się nisko po niebie niosąc deszcze i śniegi, zasłaniając słońce. Wrony krakały z zimna. Dreszcz przebiega na samą myśl o takiej pogodzie!

I brzydkiemu kaczątku było coraz gorzej. Chłodno, głodno i nikogo, kto by polubił je szczerze. Bo takie brzydkie! A nie tylko brzydkie, lecz takie duże i takie odmienne od wszystkich ptaków. Do nikogo, do nikogo niepodobne.

A każdy szuka podobnych do siebie.

Razu jednego pływało po wodzie. Słońce chyliło się ku zachodowi, niebo było czerwone niby w ogniu. Wtem spoza lasu podniosło się stado wielkich, wspaniałych ptaków. Podobnie pięknych kaczątko nie widziało dotąd: leciały niby chmurki śnieżnobiałe, spokojnie, wdzięcznie i majestatycznie. Były to odlatujące łabędzie. Nagle wydały ton długi, przeciągły, taki dziwny! Poruszały spokojnie silnymi skrzydłami i wzniosły się wysoko aż pod chmury, i płynęły tak dalej, dalej w nieskończoność...

Łabędzie opuszczały chłodny kraj przed zimą i spieszyły za słońcem, tam gdzie ono świeci jasno i ciepło, gdzie błękitne wody nie zamarzają nigdy. Kaczątko patrzyło za nimi z zachwytem, z uczuciem nieopisanej tęsknoty, a gdy znikły, wydało okrzyk silny i przenikliwy, aż samo się przestraszyło swego głosu.

I zaczęło się kręcić w kółko, jak szalone, wyciągając szyję i podnosząc krótkie, niezgrabne skrzydła. O, co za męka! Nigdy nie zapomni tych wspaniałych ptaków — a nigdy ich więcej nie ujrzy! Zniknęły, zniknęły!

Z rozpaczy zanurzyło się do samego dna, a kiedy wypłynęło znowu na powierzchnię, nie wiedziało, co się z nim dzieje. Ptaki, królewskie ptaki, piękne ptaki! Nie wiedziało, jak się nazywają ani dokąd lecą, a jednak pragnęło złączyć się z nimi i lecieć razem, daleko i wysoko!...

Było to śmieszne i głupie pragnienie, bo jakim prawem ono, takie brzydkie, które się cieszyć powinno, gdy kaczki chcą z nim przestawać...

Ale tamte ptaki!...

Nadeszła zima surowa i mroźna. Zamarzły wody. Na małym kawałku, który został wolny, musiało kaczątko pływać bezustannie, aby nie pozwolić mu zamarznąć. Mimo to przestrzeń wolna zmniejszała się po każdej nocy. Bo co dzień było zimniej, mróz się wzmaczał, lód trzaskał dokoła na maleńkim otworze, który pozostał jeszcze. Kaczątko bez odpoczynku poruszać musiało nóżkami, żeby nie przymarznąć. Lecz i to nie pomogło; zmęczone ustało, a wówczas lód uwięził je jak w kleszczach.

Zobaczył to nazajutrz z rana jakiś wieśniak, rozbił lód butem o drewnianej podeszwie, a ptaka zabrał do chaty.

Kaczątko w cieple przyszło do siebie i dzieci zaraz chciały się z nim bawić; ale ono myślało, że mu chcą zrobić coś złego, i zaczęło uciekać; przewróciło garnek z mlekiem i rozlało je na podłogę. Gospodyni z rozpaczy ręce załamała, chciała złapać szkodnika, aby go ukarać. Przestraszone kaczątko wpadło w kubel z wodą, a potem w naczynie z mąką, wytarło się o sadze w okopconym piecu. Gospodyni krzyczała i gonila za nim, dzieci ze śmiechem przewracały się jedno przez drugie, kaczątko skakało po półkach, po garnkach, podfruwało aż do pułapu, wreszcie przez otwarte drzwi wypadło do sieni, a stamtąd na dwór.

Można sobie wyobrazić, jak wyglądało. Umączzone, mokre, powalane sadzami, o nastroszonych piórach, a przy tym upadające ze znużenia. Lecz nie myślało o tym; ostatnim wysiłkiem dostało się pomiędzy krzaki, rosnące niedaleko, i jak nieżywe upadło na śnieg.

Za smutno byłoby opisywać wam to wszystko, co nieszczęśliwe kaczątko wycierpiało podczas mroźnej i długiej zimy. Głód, chłód, ani ciepłego schronienia, ani żywności, ani przyjaciela...

Leżało pośród trzciny, kiedy słońce zaczęło jaśniej i cieplej przyświecać.

Zanuciły skowronki, powracała wiosna.

I kaczątko odżyło; z każdym dniem powracały mu stracone siły, aż rozpostarło skrzydła jakiegoś wielkie, jakby nie swoje, zaszumiało nimi i poleciało wysoko, daleko, prowadzone jakąś tęsknotą nieznaną do świata, do wszystkiego, co na nim jest piękne.

I nie spoczęło aż na wielkim stawie, w dużym ogrodzie, gdzie ptaki śpiewały wesoło, drzewa jaśniały świeżą zielonością, biała czeremcha rozlewała zapach i zwieszała tak nisko swe cienkie gałązki, iż zanurzały się w wodzie przejrzyściej.

Ślicznie tu było. Każda trawka, kwiatek, każdy listek na drzewie zdawał się śpiewać radośnie: „Wiosna powraca. Wiosna! Wiosna! Wiosna!” Wtem spoza gęstych krzaków naprzeciwko wypłynęły trzy wielkie, wspaniałe łabędzie. Rozpostarły białe skrzydła niby żagle i płynęły lekko po błękitnej wodzie, z szyją wygiętą wdzięcznie i wzniesioną głową, spokojne, dumne i majestatyczne.

Na ten widok dziwny smutek i tęsknota ogarnęły biedne kaczątko. Oto królewskie ptaki, które raz widziało i ukochało tak od razu, tak mocno.

„Popłynę do nich — pomyślało nagle. — Niech mnie zabiją za moje zuchwalstwo, za to, że śmiem zbliżyć się do nich... Niech mnie zabiją. Wszystko mi jedno. Lepiej być zabitym przez te cudne ptaki, które kochać muszę, niż szarpanym przez kaczkę, dziobanym przez kury, potracanym i odpychanym przez wszystkie zwierzęta i ludzi. O lepiej, lepiej umrzeć!” I popłynęło naprzeciw łabędom, które, ujrawszy przybysza, zaszumiały skrzydłami i skierowały się prosto ku niemu.

— Zabijcie mnie! — zawołało brzydkie kaczątko i pochyliło głowę oczekując śmierci.

Ale cóż to? Cóż widzi w zwierciadlanej fali? Wszakże to jego obraz! Jego własny! Jego!

To już nie brudnoszare, brzydkie i niezgrabne kaczątko, to łabędź biały! Kaczątko stało się łabędziem!

Chociaż się urodziło pomiędzy kaczkami, lecz z łabędziego jaja, więc i ono także łabędziem się stało.

W tej jednej chwili zapomniało nagle o nędzy, o cierpieniach; czuło się tylko niezmiernie szczęśliwe i po raz pierwszy radośnie witało piękny świat, życie i braci-łabędzi, które pływały wokoło, oglądając towarzysza i pieszczotliwie głaszcząc go dziobami.

Kilkoro dzieci wbiegło do ogrodu i zaczęło z brzegu rzucać do wody bułki i smaczne ziarenka. Wtem jeden chłopczyk zawołał :

— Nowy łabędź nam przybył! Nowy łabędź!

Inne dzieci zaczęły klaskać w ręce i skakać, powtarzając:

— Łabędź nam przybył! Łabędź! Jaki śliczny! Najpiękniejszy! Najpiękniejszy!

I rzucały do wody ciastka i bułkę, sprowadziły rodziców i wszyscy przyznali, że nowy łabędź był najpiękniejszy ze wszystkich.

Stare łabędzie pokłoniły mu się z dobrocią i uznaniem.

Wtedy zawstydzony i wzruszony, ukrył głowę pod skrzydłem nie wiedząc, co począć. Czuł się tak bardzo, tak bardzo szczęśliwy ! Myślał o tym, jak niedawno i jak długo cierpiał z powodu swojej brzydoty, jak nie miał nikogo, kto by chciał być jego bratem, przyjacielem, a teraz — bratem jest królewskich ptaków, jak one piękny, może najpiękniejszy! Świat cały zdaje się śpiewać pochwały jego piękności, czeremcha przesyła mu słodki zapach, słońce — promienie złote, woda go pieści dotknięciem i przyjaźnie odbija jego obraz.

O, jak wspaniale jest życie!

Rozpostarł skrzydła, które zaszumiały głośno, podniósł do góry szyję wdzięcznym ruchem i z głębi serca zawołał radośnie:

— Nie marzyłem o takim szczęściu! Nie marzyłem!

Co ojciec czyni, jest zawsze słuszne

Kiedy byłem dzieckiem, często opowiadano mi tę historyjkę i za każdym razem wydawała mi się piękniejsza. Brzmi ona tak:

W pewnej wsi żyło sobie małżeństwo. Oboje byli już starzy i wcale im się nie przelewało. Mieli konia, który pasał się w przydrożnych rowach. Gospodarz jeździł na nim albo wypożyczał go sąsiadom do pracy. Mimo to doszedł kiedyś razem z żoną do przekonania, że można by za tego konia dostać coś użyteczniejszego w gospodarstwie. Nie wiedzieli tylko, co to mogłoby być.

– Mój drogi - rzekła gospodyni - Ty już to najlepiej załatwisz! Niedaleko jest jarmark, jedź tam i sprzedaj konia lub zamień go na coś innego. Co uczynisz, będzie zawsze słuszne. Mówię ci, jedź na jarmark.

Zawiązała mu chustkę na szyi, wygładziła kapelusz, ucałowała na drogę, a on dosiadł konia i pojechał.

Po drodze spotkał znajomego, który pędził na jarmark krowę.

– Można by zamienić konia na tę krowę! - pomyślał sobie - Cóż za rozkosz mieć własne mleko, ser, śmietanę i masło!

Zbliżył się doń i rzekł:

– Kochany sąsiedzie! Koń kosztuje więcej niż krowa, ale wolę krowę, bo da mi to, czego właśnie potrzebuję. Zamieńmy się!

– Zgoda! - odrzekł sąsiad - i zaraz dokonali zamiany.

Gospodarz w zasadzie mógł już wracać do domu, ale chciał zwiedzić targ i popatrzeć na ludzi. Poszedł więc dalej i spotkał chłopca pędzącego owcę. Była okazała i miała dużo wełny.

– Chciałbym mieć taką owcę! - pomyślał sobie - Nie potrzebuje wiele trawy, a na zimę można ją wziąć do izby. Jest dla nas lepsza niż krowa!

Właściciel owcy zgodził się ochoczo na zamianę i gospodarz popędził ją na jarmark.

Niedługo potem zobaczył chłopą niosącego pod pachą tłustą gęś.

– Aj, do licha! - zawołał gospodarz - To mi gaska co się zowie. Ileż na niej smalcu, ile pierza. Jakże pięknie pływałyby po naszym stawiku. Tyle razy moja żona marzyła o gąsce. Teraz będzie ją miała!

W mieście ścisk panował wielki. Pod jakimś płotem zobaczył nasz gospodarz piękną kurę. Przyszło mu na myśl, że nawet więcej warta od kur proboszcza. Kura żywi się zresztą sama, nie przyczynia wydatków, a daje wyborne jaja. Nowy interes został zawarty niezwłocznie. Gospodarz napracował się tyle podczas drogi, że poczuł nagle głód. Wstąpił do karczmy. A tam na samy progu spotkał człowieka z ogromnym worem na plecach.

– Cóż to macie? - spytał go.

– Zgniłe jabłka dla świń. Pełny wór!

– To mnóstwo dobrego towaru! - pomyślał gospodarz.

– Co mi dacie gospodarzu za te jabłka? - spytał nieznajomy.

– A tę oto kurę.

Gospodarz wniósł wór do szynku i oparł o piec nie pomyślawszy, że w nim mocno napalono. W izbie pełno było handlarzy koni i wołów. Było tam też dwu Anglików, a Anglicy - wiadomo - lubią się zakładać.

Nagle wszyscy poczuli wodór piekących się zgniłych jabłek.

– Cóż to jest?! - wykrzyknęli i niebawem dowiedzieli się całej historii zamian.

– Ano dostaniecie, panie gospodarzu, kilka porządnych szturchańców od żony!

– rzekli Anglicy.

– Dostanę od żony pocałunki, a nie szturchańce!

– Założmy się! Damy ci worek dukatów, jeśli wygrasz!

– Zgoda - powiedział chłop i zakład stanął.

Włożyli worek na wózek karczmarza, potem sami na niego wsiedli i niedługo dotarli na miejsce.

– Dobry wieczór! - rzekł gospodarz do żony.

– Dziękuję ci mój drogi za dobre słowo - odparła.

– Zamieniłem naszego konia!

– Majster z ciebie, jak zawsze! - odrzekła obejmując go.

- Dostałem za niego krowę.
 - Dzięki Bogu! Będziemy mieli teraz mleko, masło i ser! Wyśmienicie zrobiłeś!
 - Ale zamieniłem ją potem na owcę.
 - Wiesz co, to nawet lepiej. - powiedziała - Zawsze działasz z rozwagą. Dla owcy wystarczy nam trawy. No i oprócz mleka i sera będziemy mieli wełnę na ubranie. Bardzo dobrze postąpiłeś!
 - Potem zamieniłem owcę na gęś.
 - Co? A to będziemy mieli na święta smaczną gąskę! Jak to dobrze. A do tego pierze i smalec. Bardzo jestem rada!
 - Oddałem tę gęś za kurę!
 - Dobra to zamiana. Kura znosi jaja i wysiaduje kurczęta. Będziemy mieli drobiu co niemiara. Zawsze o tym marzyłam!
 - Na koniec zamieniłem kurę na worek zgniłych jabłek. - oświadczył gospodarz.
 - Dajże mi całusa! - zawołała radośnie - Doskonale się składa. Przed chwilą sąsiadka mi powiedziała, że nasz sad nic niewart, bo nie daje ani jednego zgniętego jabłka. Teraz pokażę jej cały worek! - to rzekłszy pocałowała męża w same usta.
 - Podoba mi się to! - zauważył jeden z Anglików - Mimo strat bardzo tu wesoło. Warto zapłacić takim ludziom!
- Dobył worek ze złotem i wręczył go gospodarzowi.
- Słyszałem tę historyjkę, jak jeszcze byłem dzieckiem i opowiadam ją Wam, żebyście pamiętali: **CO OJCIEC CZYNI, JEST ZAWSZE SŁUSZNE I NA DOBRE WYCHODZI!**

Dziecię Elfów

Pewna kobieta bardzo pragnęła mieć małe dziecko, ale nie wiedziała, skąd by je wziąć. Poszła więc do czarownicy i rzekła:

– Tak bym chciała mieć małe dziecko. Powiedz mi, co tu zrobić, żebym je miała?

– O, to nie trudno! - odpowiedziała czarownica. - Znajdziemy na to radę. Masz tu ziarno jęczmienia, ale to nie jest takie zwyczajne ziarno, które sięją w polu albo sypią kurom na pokarm - zasadź je starannie w doniczce od kwiatów, a zobaczysz, co z tego będzie.

– Dziękuję - rzekła kobieta i zapłaciła czarownicy dziesięć groszy, bo tyle to ziarno kosztowało.

Po powrocie do domu zasadziła je starannie w doniczce od kwiatów i zaraz pokazała się mała roślinka, okryta się pięknymi listkami, a w środku wyrósł kwiat złoto-purpurowy, podobny do tulipana, tylko zamknięty w pączek.

– Cóż to za prześliczny kwiat! - rzekła kobieta i tak była zachwycona, że całowała złote i czerwone płatki. W tej samej chwili kwiat z wielkim łoskotem otworzył się i w środku, na zielonym dnie kielicha, gdzie zwykle mieści się słupek kwiatowy, stała sobie prześliczna mała dziewczynka.

Nazwali ją Odrobinką, gdyż była ma-luchna jak młoda pszczołka, tylko daleko zgrabniejsza.

Kobieta wzięła zaraz łupinkę orzecha, ażeby w niej urządzić kolebkę dla swego dzieciątka. Fiołkowe płatki posłużyły za sienniczek, a jeden płatek róży - za kołderkę.

W nocy Odrobinka spała wybornie, a w dzień bawiła się na stole. Kobieta postawiła na nim talerz z wodą, otoczony wiankiem kwiatów, których łodyżki były zanurzone w wodzie. Listek tulipana zastępował łódkę, dwa pręciki kwiatowe stanowiły wiosła i Odrobinka pływała sobie po talerzu od jednego brzegu do drugiego. Ślicznie to wyglądało!

Umiała też śpiewać, a tak ładnie, że nie można tego opisać.

Jednego razu w nocy, kiedy Odrobinka spała spokojnie w kołysce na stole, przez wybitą szybę wskoczyła do pokoju ropucha. Szkaradne to było stworzenie: ciężkie, grube, mokre - i bardzo ciekawe.

Zaraz spostrzegła Odrobinę, śpiącą pod różanym płatkiem.

– Hm, hm! - mruknęła. - Piękna byłaby z niej żona dla mojego synka!

I razem z kołyską zabrała, dziecinę, wyskoczyła do ogrodu i zaniósła ją do swego mieszkania. Znajdowało się ono w czarnym, gęstym błocie nad strumieniem. Syn ropuchy brzydszy był jeszcze od matki, chociaż bardzo do niej podobny. "Koak, koak, breke-ke-ks!" - tyle tylko umiał powiedzieć, gdy ujrzał Odrobinę.

– Nie mów tak głośno - szepnęła mu matka. - Obudzisz ją i może nam uciec, bo jest lekka jak puszek łabędzi. Trzeba ją przenieść na liść wodnej lilii, aż na środek strumyka. Tam będzie jak na wyspie, a tymczasem przygotuję dla was mieszkanie w głębi błota.

Po powierzchni strumienia pływały zielone, okrągłe liście wodnych lili. Ropucha wybrała największy, który zarazem leżał najdalej od brzegu, i na nim umieściła łupinę orzecha ze śpiącą Odrobiną.

Kiedy dziewczynka zbudziła się rano i zobaczyła, gdzie jest, zaczęła płakać. Wokoło była woda głęboka, ani sposób dostać się z listka do brzegu.

A ropucha tymczasem urządzała w głębi błota mieszkanie dla młodej pary. Przyozdobiła ciemną, szkaradną jamkę trzcina i wodnymi roślinami, żeby się synowej podobała, i popłynęła z synem do listka, aby przenieść kolebkę panny młodej.

Ujrawszy Odrobinę, ukloniła jej się w wodzie bardzo głęboko i rzekła chrapliwym głosem:

– Oto mój syn, mościa panno. Zamierza ożenić się z tobą i właśnie urządzamy wam wspaniałe mieszkanie w głębi błota.

– Kok, koak, breke-ke-keks - powiedział syn ropuchy.

Zabrali piękną kołyseczkę i odpłynęli, a Odrobinka usiadła na liściu i płakała okropnie, bo nie chciała mieszkać u brzydkiej ropuchy i być żoną jej syna.

Małe rybki, co pływały w wodzie koło listka, słyszały całą przemowę ropuchy i teraz przykro im było słuchać płaczu dziecka. Więc wychyliły główki nad powierzchnię wody, aby zobaczyć młodą narzeczoną, ale na widok prześlizniętej dziewczynki tak im się jej żal zrobiło, że postanowiły ją obronić.

– Nie bój się - powiedziały - nie dostanie cię brzydka ropucha.

Zebrały się wszystkie razem dookoła łodyżki, na której trzymał się listek, i przegryzły ją ostrymi ząbkami. Listek popłynął z prądem strumyka daleko i ropucha już go nie mogła dogonić.

Odrobinka cieszyła się bardzo z tej podróży. Wszystko ją bawiło: mijala wsie i miasta, łąki, pola, lasy, a ptaki na gałązkach przyglądały jej się i śpiewały wesoło:

– Patrzcie, patrzcie, jaka prześliczna dziewczynka! A jaka malusieńka!

Odrobinka uśmiechała się do nich nawzajem, ale listek płynął dalej, aż do innego kraju.

Prześliczny biały motyl usiadł na listku lilii, aby się lepiej przyjrzeć maleńkiej dziewczynce. Słońce świeciło ślicznie, woda błyszczała jak srebro, wszystko się Odrobince podobało. Zdjęła swój pasek i przywiązała nim motyla do listeczka. Teraz popłynęła jeszcze prędzej.

Wtem - och, jak się przelękała! Chrabąszcz ogromny porwał ją z listka i unióśł het, wysoko, na drzewo.

Najbardziej żał jej było pięknego motyla, którego przywiązała do listeczka: jeśli się nie urwie, umrze chyba z głodu.

Ale niedobry chrabąszcz nie troszczył się o to. Posadził ją wysoko na wygodnym liściu, przyniósł jej miodu z kwiatów i powiedział, że jest bardzo, bardzo ładna, chociaż niepodobna wcale do chrabąszcza. Wkrótce zaczęły schodzić się inne chrabąszcze mieszkające w pobliżu, aby zobaczyć Odrobinę. Gospodarz sadzał gości na najpiękniejszych liściach.

– Ach, jakaż ona biedna - ma tylko dwie nogi! -zawołała jedna młoda chrabąszczówna.

– A rozków wcale nie ma - dorzuciła druga.

– A jaka cienka w pasie! Fe, podobna do człowieka!

– Szkaradna! - zdecydowały wszystkie razem.

Naprawdę Odrobinka była bardzo ładna i taką się wydała chrabąszczowi, który porwał ją z listka lilii. Ale gdy wszyscy zaczęli ją ganić, i on też uwierzył, że jest brzydka, i chciał jej się pozbyć. Odniósł ją więc na łąkę, posadził na polnym kwiatku, żeby tylko nie mieć jej w domu i żeby sąsiedzi nie śmiali się z jego gustu.

Odrobinka płakała bardzo, że jest taka brzydka, że nawet chrabąszcz nie chce patrzeć na nią. Ale cóż miała robić? Przecież naprawdę była bardzo ładna.

Całe lato przeżyła mała dziewczynka sama jedna w wielkim lesie. Z trawy uplotła sobie wygodne łóżeczko i zawiesiła je pod listkiem koniczyny dla ochrony od deszczu. Żywiła się sokiem kwiatów, a piła rosę, która stała co rano na trawie, liściach i kwiatkach.

Tak upłynęło jej lato i jesień. Ale nadeszła zima, długa, mroźna zima. Wesołe ptaszki odleciały sobie do ciepłych krajów, kwiaty powiędły, drzewa stały nagie, ogołoczone z liści, nawet listek koniczyny, pod którym uczepiła swoje łóżeczko, zwiędł, skruszył się i opadł. Zimno jej też było strasznie, bo sukienki zupełnie się na niej podarły, a sama była taka maleńka i drobna. Zmarznie chyba.

Wkrótce i śnieg zaczął padać, a każdy płatek śniegu znaczył dla niej tyle, co dla nas pełna taczka, bo przecież była tylko Odrobiną. Otuliła się w suchy listek, ale ten pękł zaraz i znowu drżała z zimna.

Tuż koło lasu rozciągało się pole rozległe, niegdyś zbożem okryte. Teraz zboże zżęto od dawna i spod śniegu wyglądały tylko nagie, suche źdźbła twardej słomy. Dla takiego maleństwa stanowiły one las prawdziwy. Dziewczynka przesuwiała się pomiędzy nimi, drząc z zimna, potykając się o grudki ziemi lub zapadając w śnieg niewiele grubszy od kożuszka na śmietance.

Na koniec doszła do mieszkania bogatej myszy polnej, która miała tu, pod ziemią, swoją norkę. Ciepło tam było i bardzo wygodnie: obszerna izba, kuchnia i spiżarnia pełna zboża.

Odrobinka stanęła we drzwiach i cieniutkim głosem poprosiła o ziarnko żyta lub jęczmienia, gdyż od dwóch dni nic nie jadła.

– Biedne stworzenie - rzekła myszka litościwie. - Chodźże do ciepłej izby, zjemy razem podwieczorek.

Maleńka dziewczynka podobała się jej bardzo, toteż powiedziała do niej przed wieczorem :

– Możesz zostać u mnie przez zimę, tylko musisz mi za to utrzymywać porządek i czystość w mieszkaniu, a w chwilach wolnych opowiadać ciekawe historie, które niezmiernie lubię.

Odrobinka naturalnie zgodziła się z największą chęcią i w ten sposób miała zapewniony byt przez całą zimę.

– Będziemy miały dzisiaj odwiedziny - rzekła mysz pewnego dnia. - Co tydzień odwiedza mnie bogaty sąsiad. Ho, ho, to pan! Mieszkanie ma większe od mojego. Co za salony! A chodzi w aksamitnym futrze. Gdyby się z tobą ożenił, miałabyś zabezpieczoną przyszłość, moja droga. Tylko że widzi źle. Musisz mu opowiedzieć najpiękniejszą ze swych bajek.

Odrobinka nie troszczyła się o to jednak, czy się spodoba sąsiadowi, który był zwyczajnym kretem.

Zjawił się wkrótce w swoim aksamitnym futrze, a mysz polna przyjęła go bardzo uprzejmie.

Był niezmiernie bogaty i bardzo uczony. Mieszkanie miał ogromne, dwadzieścia razy większe od norki myszy polnej, i mógł mówić o wszystkim. Nie lubił tylko słońca i kwiatów, których nie widział nigdy. Złe też miał o nich zdanie.

Odrobinka śpiewała piosenkę o chrabąszczu, a potem o chłopczyku, co grał na fujarce, i kret się w niej zakochał. Nie mógł zapomnieć jej głosu i myślał, jak by to było przyjemnie mieć żonę, która by mu tak śpiewała. Ale nic o tym wszystkim nie powiedział, gdyż był bardzo przezorny.

Niedawno zbudował sobie właśnie nowy korytarz od swojego domu do mieszkania myszy i pozwolił obu damom spacerować po nim do woli. Ostrzegwał tylko, żeby się nie przestraszyły martwego ptaka, który leży na środku. Musiał niedawno umrzeć, bo jest jeszcze cały, z dziobem i z piórkami. I pochowano go w tym samym miejscu, gdzie kret przekopał swój korytarz. Zaraz nawet zapragnął pokazać to wszystko gościnniej gospodyni i milej śpiewaczce.

Wziął więc w pyszczek kawałek spróchniałego drzewa i szedł naprzód, oświecając im posępną drogę.

Kiedy doszli do miejsca, gdzie leżał martwy ptak, podniósł nos w górę i odrzucił ziemię. Przez otwór, który powstał w ten sposób, wpadł błądy promyk słońca i oświetlił leżącą na ziemi jaskółkę. Biedactwo przytuliło do boków skrzydełka, nóżki skureczyło i schowało w piórka, główkę przechyliło gdzieś na bok, że nawet widać jej prawie nie było, i leżało sztywne, bez życia. Widocznie mróz ją zabił.

Odrobinie okropnie żal się zrobiło ptaszyny. Wszystkie ptaszki lubiła bardzo za to, że w lecie tak ślicznie śpiewają. Ale kret był innego zdania.

– Teraz już śpiewać nie będzie - rzekł trącając ją nogą pogardliwie. - Nędzna i straszna to rzecz urodzić się ptakiem. Dzięki Bogu, z moich dzieci żadne nim nie będzie. Cóż posiada takie stworzenie oprócz swego "kiwit! kiwit"? Przyjdzie zima i z głodu umiera.

– Bardzo rozsądne słowa - potwierdziła mysz poważnie. - I cóż ptakowi z tego śpiewu i świergotu, kiedy nadejdzie zima? Marznie i głód cierpi. To nic wesołego.

Odrobinka nie wyrzekła ani słowa, ale kiedy się tamci odwrócili, pochyliła się nad jaskółką, odgarnęła piórka i ucałowała ją w zamknięte oczy.

"Może to ona w lecie tak ślicznie śpiewała nad moim listkiem koniczyny? - pomyślała sobie w duszy. - Tyle jej zawdzięczam przyjemności! Biedna, biedna ptaszyna!" Kret tymczasem zatkał otwór ziemią i odprowadził damy do mieszkania.

Ale w nocy Odrobinka nie mogła zasnąć. Ciągle myślała o nieżywym ptaszku. Wydawało jej się, że jest mu zimno. Podniosła się na koniec, uplotła cichutko ciepły dywanik z siana, wymknęła się na korytarz i okryła nim jaskółkę. Przyniosła potem suchych kwiatów, które znalazła w norce i podesłała je z boków ptaszкови, aby mu ciepłej było i wygodniej.

– Żegnam cię, piękny ptaszku! - rzekła ze łzami w oczach. - Dziękuję ci za wszystkie prześliczne piosenki, których słuchałam w lecie, kiedy drzewa były zielone, a kochane słońce tak jasno i ciepło świeciło. Och, żegnam cię!

I z płaczem przytuliła główkę do martwego ciała zmarzniętej jaskółki. Ale w tej samej chwili podniosła się przestraszona: ptaszek żył jeszcze! Uczuła leciuchne bicie jego serca. Skostniał widać i zdrętwiał od chłodu, a teraz pod wpływem ciepła przychodzi do siebie.

Gdy w jesieni jaskółki odlatują do ciepłych krajów, zdarza się, iż niektóre słabsze lub zbyt młode nie mogą lecieć, sił nie mają. Zostają więc, ale zeszywniałe od chłodu padają na ziemię, potem śnieg je okrywa i umierają.

Odrobinka drżała ze wzruszenia i ze strachu. Co ona pocznie teraz z takim wielkim ptakiem? Jak mu poradzi? A ratować go trzeba! Nabrała jednak odwagi.

– Co tylko mogę, zrobię dla niej - rzekła. - Podzielę się tym wszystkim, co dostałam od litościwej myszy. Ach, żeby tylko mogła ją ocalić!

Pobiegła znów do norki i przyniosła cały pęk suchych kwiatów, miękkich niby wata, otuliła ptaszynę, jak mogła najlepiej, i przykryła ją liściem miętowym, który jej samej dotąd służył za kołderkę.

Następnej nocy wymknęła się znowu. Jaskółka już ożyła, ale była jeszcze bardzo osłabiona. Z trudem otworzyła na chwilę powieki i spojrzała na Odrobinę, która stała z kawałkiem spróchniałego drzewa, bo nie miała innej latarki.

– Dziękuję ci, śliczne dziecię - rzekła słabym głosem. - Tak się tutaj ogrzałam! Wkrótce powrócą mi siły i wylecę znowu na jasne, ciepłe słońko.

– Och! - szepnęła Odrobinka. - Nie ma teraz jasnego słońka! Zimno na świecie, śnieg okropny pada, nikt tam wyżyć nie może. Zostań więc lepiej w tym ciepłym łóżeczku, a ja pielęgnować cię będę, ile mi tylko sił stanie.

Przyniosła jaskółce wody na suchym listeczku, ptaszek się napił i opowiedział jej, jak się stało, że z innymi do ciepłych krajów nie odleciał. Skrzydełko miał zranione o ostry cień, więc nie mógł tak dobrze latać jak inne ptaki. Potem przyszło zimno, nie mógł znaleźć pożywienia i upadł zmęczony na ziemię. A co się dalej stało, nie pamiętał - nie wiedział, jakim sposobem dostał się pod ziemię.

Przez całą zimę dziewczynka troskliwie opiekowała się biedną jaskółką, lecz musiała ukrywać swój dobry uczynek przed kretem i myszą polną, którzy nie lubili ptaszków.

Kiedy wróciła wiosna i ciepłe słońko zaświeciło znowu, jaskółka pożegnała Odrobinę, która otworzyła jej otwór w sklepieniu, starannie zatkany przez kreta. Natychmiast jasne i ciepłe promienie wślizgnęły się do środka i rozweseliły posępne podziemie.

– Leć ze mną - rzekła serdecznie jaskółka. - Usiądź na mnie, a zaniosę cię daleko, do zielonego gaju. Tam będzie nam razem przyjemnie i wesoło.

– Nie mogę - odpowiedziała Odrobinka - byłoby bardzo smutno myszy polnej, gdybym ją tak porzuciła.

– Więc bądź zdrowa, kochana, dobra Odrobinko! - zaszczębiotała wesoło jaskółka i przez słoneczny otwór wleciała ku górze i zniknęła w ciepłym blasku.

Dziewczynka została sama i długo patrzyła za nią ze łzami w oczach. Tak polubiła ptaszka!

– Kiwit, kiwit! - rozległo się znów nad otworem, ale cień tylko przemknął i zniknął natychmiast.

Smutno teraz było maleńkiej. Mysz nie pozwalała jej oddalać się z norki, a dokoła rośło zboże takie gęste i wysokie, że dla Odrobinki stanowiło las prawdziwy, w którym nie widać jasnego słońeczka.

Tęskniła więc do świata i do słońca.

– Winszuję ci, moja droga - rzekła pewnego dnia stara mysz z zadowoleniem

– kret oświadczył się o twoją rękę i będziesz panią co się zowie. Wielkie to szczęście dla takiej ubogiej dziewczyny! Trzeba tylko niezwłocznie zająć się wyprawą, bo wchodząc do takiego domu musisz mieć bieliznę i wszelkie ubranie.

I zasiadła Odrobinka do wrzeciona, a mysz najęła jeszcze cztery duże pająki, ażeby przedły dla niej dniem i nocą. Poczciwie się zajęła losem ubogiej sieroty.

Kret odwiedzał je każdego wieczora i codziennie narzekał na palące słońce. Ono to zamieniło ziemię w pył i kamień, a ludzie byli temu radzi i nazywali latem tę nieznośną porę roku. Ale lato przeminie, przyjdzie chłodna jesień i wtedy dopiero wyprawia wesele. Teraz o tym myśleć nie warto.

Dziewczynka okropnie się bała tej jesieni, bo nie miała ochoty zostać żoną kreta. Taki nudny, niezgrabny. Nie lubi słońca, kwiatów!

Co dzień o wschodzie i zachodzie słońca stawała przed norką myszy i z tęsknotą patrzyła w górę, gdzie szumiały kłosa jak las gęstego zboża. A ile razy wietrzyk je rozdzielił tak, że mogła zobaczyć kawałek błękitu, ogarniał ją żal niezmierny i myślała o szczęśliwej i wesołej jaskółce. Jak ona buja swobodnie, daleko! Żeby ją znów zobaczyć na chwilę! Ale zapewne nigdy jej więcej nie spotka...

Jesień nadeszła wreszcie i wyprawa była gotowa.

– Za cztery tygodnie wesele! - powiedziała mysz polna z radością.

Wtedy Odrobinka rozplakała się na dobre i przyznała się myszy, że nie chce być żoną takiego nudnego kreta.

Mysz rozgniewała się strasznie.

– A to co za głupota! - zawołała. - Słyszał kto coś podobnego! Radzę ci po dobru, wybij sobie z głowy taki śmieszny upór, bo cię sama ukaszę białymi zębami. Takie grymasy! Taki bogacz, uczony, o wszystkim mówić może. A futro aksamitne? Sama królowa nie ma podobnego. Kuchnia, piwnica pełna. Dziękuj Bogu za takie szczęście!

Nastąpił dzień wesela. Kret wyszedł po narzeczoną, aby ją zabrać do siebie. Odtąd będzie mieszkała głęboko pod ziemią i nie zobaczy już nigdy słońca, bo kret go znieść nie może. Biedna dziecina pochyliła główkę i wyszła raz ostatni pożegnać świat boży.

– Żegnaj mi, słońko złote! - zawołała i wyciągnęła rączki. - Żegnaj, słońko miłe!

Z jednej strony światło dziwnie przeglądało przez las żółtych słomek, więc poszła w tę stronę kilka kroków i ujrzała, że zboże tu już zżęto i krótkie źdźbła tylko wyglądały z ziemi. Ale słońce przyświecało za to bez przeszkody i widać było wszystko dokoła.

– Żegnaj mi, żegnaj, słońko! - powtarzała.

Objęła mały, czerwony kwiatusek i szeptała ze łzami:

– Pozdrów ode mnie jaskółkę. Może zobaczysz ją kiedy. Pożegnaj ją ode mnie,

– Kiwit, kiwit! - rozległo się nad jej główką.

Podniosła oczy: jaskółka krążyła tuż nad nią.

Ucieszyła się bardzo spostrzegłszy dziewczynkę i natychmiast usiadła przy niej. A Odrobinka zaczęła jej mówić, że ma zostać żoną szkaradnego kreta i mieszkać odtąd głęboko pod ziemią, gdzie słońce nigdy nie dochodzi.

Przy tych słowach rozplakała się serdecznie.

– Nie płacz - rzekła jaskółka. - Zima już nadchodzi i wybieram się w podróż do cieplejszych krajów. Leć ze mną. Usiądziesz mi na grzbiecie pomiędzy skrzydłami i uciekniemy obie od brzydkiego kreta i jego ciemnego mieszkania. Uciekniemy daleko, za góry, za morza, gdzie słońce jaśniej i ciepłej świeci, gdzie kwitną cudne kwiaty. Leć ze mną. Tyś mi ocaliła życie, gdy leżałam zziębnięta w ciemnym lochu, ja chciałabym cię ocalić od kreta.

– Dobrze, polecę z tobą - rzekła Odrobinka.

Jaskółka przytuliła się do ziemi, dziewczynka weszła na nią i przywiązała się paskiem do najmocniejszego pióra. Potem ptaszek wzleciał w powietrze i płynął ponad lasami, morzami, wznosił się ponad góry, wiecznym okryte śniegiem. Tam było zimno, lecz dziewczynka skryła się pod skrzydełką ptaszka i tylko małą główkę wysunęła, aby widzieć te cuda, jakich pełno na świecie bożym.

Doleciały na koniec do cieplejszych krajów. Tutaj słońce świeciło jaśniej i goręcej, niebo było wyższe i dziwnie błękitne, a po rowach i płotach rosły najpiękniejsze zielone i granatowe winogrona. W lasach było pełno cytryn i pomarańcz, w powietrzu zapach kwiatów, prześliczne dzieci biegały po drodze, goniąc się z motylami.

Ale jaskółka leciała wciąż dalej, gdzie jeszcze piękniej było, jeszcze ciepiej.

Zatrzymała się wreszcie nad dużym, błękitnym jeziorem, otoczonym zielonymi drzewami, wśród których widać było biały pałac marmurowy. Wino oplatało wysokie kolumny wkoło pałacu, a w górze pod dachem kryły się gniazda jaskółek.

– Oto mój dom - rzekł ptaszek. - Ale nie będziemy mieszkać razem. Gniazdo nie urządzone odpowiednio, byłoby ci w nim ciasno, niewygodnie i za wysoko. Wybierz sobie lepiej który z tych wspaniałych kwiatów, co tu rosną na klombach, a od razu tam cię zaniosę i będzie ci dobrze jak w raj.

Odrobinka klasnęła w dłonie.

– Ach, to będzie prześlicznie!

I wybrała wielki, biały kwiat, rosnący między odłamami skruszonej przez czas kolumny. Jaskółka podfrunęła i posadziła ją na błyszczącym, zielonym listku.

Odrobinka natychmiast chciała wejść do kwiatka, aby wypocząć po długiej podróży, lecz jakże się przestraszyła i zdziwiła, kiedy ujrzała wewnątrz małego człowieczka, podobnego do siebie, w złocistej koronie i z przejrzystymi skrzydłami u ramion. Ciało jego było także przezroczyste, jak gdyby z najpiękniejszego kryształu, oczy jak dwie iskierki, a strój tak wspaniały, jakiego dotąd nie widziała.

Był to duch tego kwiatu, elf maleńki. Każdy kwiatek w tym kraju miał takiego ducha, który w nim mieszkał - w jednych chłopcy, w innych dziewczynki, ale ten był królem elfów.

– Ach, jaki on prześliczny! - szepnęła Odrobinka do jaskółki.

Maleńki król przestraszył się wielkiego ptaka, lecz gdy ujrzał śliczną dziewczynkę, tak się ucieszył, że zapomniał zupełnie o strachu. Zdjął natychmiast z głowy złotą koronę, podał ją Odrobinie i zapytał, czy chce być jego żoną, królową wszystkich kwiatów.

To przecież co innego niż szkaradny syn ropuchy lub kret w aksamitnym futrze.

– Ach, czy ja jestem tego warta? - szepnęła zawstydzona Odrobinka.

– Jesteś tego warta, bo jesteś dobra, śliczne dziecko, inaczej nie pokochałby cię ten wielki ptak i nie przyniósł aż tu na skrzydłach. Kto umiał zdobyć przyjaźń jaskółki, ten godzien zostać królową elfów.

Cóż to było za szczęście! Ze wszystkich kwiatów wyfruwały lekkie, przejrzyste duchy, pojedynczo lub parami, i spieszyły złożyć królowej życzenia i cudne dary. Najbardziej ucieszyła ją jednak para przezroczystych skrzydeł wielkiej muchy. Zaraz je przywiązano do ramion dziewczynki i mogła, jak inne elfy, przelatywać z kwiatka na kwiatek. Cieszyła się tym niezmiernie.

A jaskółka usiadła w swoim gniazdeczku i śpiewała jej pieśń weselną. Śpiewała, jak tylko potrafiła najpiękniej, lecz smutno jej było, że się musi rozstać z Odrobiną.

– Nie będziesz się nazywała odtąd Odrobiną - przemówił mąż do królowej. - Nie podoba mi się to imię. Będziesz nazywała się Mają.

Przez całe lato jaskółka cieszyła się wielkim szczęściem młodej pary i śpiewała jej cudne piosenki.

Lecz przyszedł na nią czas odlotu.

– Bądź szczęśliwa! Bądź zdrowa! - powtarzała smutnie, wybierając się w daleką podróż.

I przyleciała z powrotem do Danii, do swego gniazda nad oknem człowieka, który wam opowiedział tę bajeczkę.

– Kiwit, kiwit! - zawołała. I stąd znamy całą historię.

Dzień Sądu Ostatecznego

Najświętszym dniem ze wszystkich dni w życiu jest dzień naszej śmierci, jest to dzień sądny, wielki dzień przemiany. Czy myślałeś już kiedyś poważnie o tej potężnej, mądrej, ostatej godzinie na ziemi? Był sobie raz człowiek bardzo wierzący, jak mówiono, bojownik o słowo, które mu było prawem, gorliwy sługa surowego Boga. Nad łóżkiem jego stała Śmierć o surowym i nie biańskim obliczu.

— Nadeszła godzina, musisz iść ze mną! — powiedziała Śmierć i dotknęła lodowatymi palcami jego nóg, tak, że zdrętwiały. Śmierć dotknęła jego czoła, potem serca, które pękło. I dusza poszła za Aniołem Śmierci.

Ale w ciągu tych niewielu sekund, które minęły pomiędzy dotknięciem jego nóg, czoła i serca, spłynęło na umierającego, jak fala morza, wszystko to, co mu życie przyniosło i co w nim wzbudziło. Jednym spojrzeniem ogarnia się wówczas zawrotne głębie, jedną błyskawicą myśli przebiega się niezmierną drogę. Jednym spojrzeniem zbiera się sumę niezliczonych gwiazd na niebie, poznaje się kulę ziemską i planety w nieogarnionym wszechświecie.

W takiej chwili drży lękliwy grzesznik, nie ma podpory dla siebie i jest mu tak, jakby zapadał się w nieskończoną pustkę. Pobożny wznosi swą głowę ku Bogu i oddaje mu się jak dziecko w słowach: „Niech się dzieje wola Twoja!” Ale ten konający nie miał nic z dziecka, czuł, że jest mężczyzną. Nie drżał jak grzesznik, gdyż wiedział, że był na- prawdę wierzącym. Trzymał się z całą surowością przepisów religii. Wiedział, że miliony muszą kroczyć szeroką drogą ku potępieniu. Mógłby niszczyć ich ciała ogniem i mieczem, aby były tak samo zniszczone jak ich dusze. Jego droga wiodła teraz do nieba, gdzie łaska otwierała mu furtkę — obiecana łaska.

Dusza poszła więc z aniołem śmierci, ale raz jeszcze spojrzała na łoże, gdzie spowity w białe prześcieradło leżał obraz z prochu, obce odbicie jego Ja. A potem poleciała.

Lecieli i szli. Znaleźli się jakby w olbrzymiej sali, a jednocześnie niby w lesie. Przyroda była ostrzyżona, uporządkowana, powiększona i uszeregowana w zaplanowany sposób. Panowała tu sztuka jak w staroświeckich francuskich ogrodach — była to maskarada.

— To jest życie ludzkie — powiedział Anioł Śmierci.

Wszystkie postacie były mniej lub więcej zamaskowane. Nie wszyscy przybrani w aksamit i złoto byli najpotężniejsi; nie wszyscy, którzy nosili szaty ubóstwa, byli najniżsi i najmniej ważni. Była to przedziwna maskarada, a najdziwniejsze było, że każdy ukrywał coś w fałdach sukni. Ale jeden drugiemu zaglądał w fałdy i wtedy widać było wyłaniające się pomiędzy

nich zwierzęce łby. Jeden miał głowę wykrzywionej małpy, inny obrzydliwego kozła, śliskiego węża lub śniętej ryby.

Były to zwierzęta, które my wszyscy nosimy w sobie. Zwierzęta zrosnięte z nami; skakały i chciały się wydostać. Każdy przytrzymał mocno zwierzę pod ubraniem, ale byli tacy, co darli suknie na innych i krzyczeli:

— Patrzcie, patrzcie, tak wygląda on, tak wygląda ona! — i jeden obnażał nędzę drugiego.

— A jakie zwierzę było we mnie? — spytała wędrująca dusza. Anioł Śmierci wskazał mu dumną postać, która miała naokoło głowy różnobarwną aureolę połyskującą jaskrawymi kolorami, ale w sercu tego człowieka ukryte były nogi zwierzęcia, nogi ptaka. Aureola nad jego głową była barwnym ogonem pawia.

A kiedy powędrowali dalej, wielkie ptaki krzyczały szkaradnie z gałęzi drzew, krzyczały wyraźnymi ludzkimi głosami:

— Czy pamiętasz mnie, ty wędrowniku śmierci? — były to wszystkie złe myśli i pożądania jego życia, które do niego wołały: — Czy pamiętasz mnie?

I przez chwilę dreszcz przeniknął duszę, bo dusza знаła te głosy i złe myśli i pożądania, które wystąpiły teraz jako świadkowie.

— W naszym ciele, w naszych złych skłonnościach nie ma nic dobrego — powiedział zmarły — ale moje myśli nie przemieniły się w czyny, świat nie oglądał złych płonów — I pośpieszył jeszcze szybciej, aby oddalić się od wstrętnych okrzyków. Ale wielkie, czarne ptaki otoczyły go i krzyczały tak, jak gdyby cały świat miał się o tym dowiedzieć. A on pobiegł jak łania i przy każdym kroku uderzał się nogą o ostre kamienie, raniły mu one stopy i bolało go to bardzo.

— Skąd się wzięły te ostre kamienie? Leżą tu jak zwiędłe liście na ziemi!

— To są te wszystkie nierozważne słowa, które rzucałeś i które raniły serca o wiele bardziej, niż te kamienie ranią twoje nogi!

— Nie myślałam o tym — powiedziała dusza.

— Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni — rozbrzmiało w powietrzu.

— Wszyscyśmy grzeszyli — powiedziała dusza i podniosła się znowu.

— Trzymałam się zasad Ewangelii i prawa, robiłam, co mogłam. Nie jestem taka, jak inni!

I oto stali przed bramą niebieską i Anioł Odźwierny zapytał:

— Kim jesteś? Powiedz mi, jakiej jesteś wiary i jakich dokonałeś czynów?

— Wypełniałam surowo wszystkie przykazania. Byłam pokorna przed oczami świata. Nienawidziłam zła i złych, prześladowałam wszystkich, którzy kroczyli szeroką drogą ku

wiecznemu potępieniu. I jeszcze teraz, jeżeli zaszłaby potrzeba, pragnę walczyć ogniem i mieczem!

— Jesteś więc jednym z wyznawców Mahometa? — spytał anioł.

— Ja? Nie, nigdy!

— „Kto wojuje mieczem, ten od miecza ginie”, powiedział Syn Boży. Nie wyznajesz jego wiary. Może jesteś synem Izraela, który mówi za Mojżeszem:

„Oka za oko, ząb za ząb”? Synem Izraela, którego groźny Bóg jest jedynym Bogiem tego narodu.

— Jestem chrześcijaninem!

— Nie poznaję tego po twojej wierze i po twoich czynach. Nauka Chrystusa jest pojednaniem, miłością i łaską!

— Łaską! — rozbrzmiało po nieskończeniu wielkiej przestrzeni i otworzyła się brama niebios, i dusza poszybowała ku szczęśliwości. Ale światło, które promieniowało stamtąd, było tak oślepiające i przenikliwe, że dusza cofnęła się, jak przed wyciągniętym mieczem. Rozbrzmiały tony tak łagodne, tak chwytające za serce, że żaden ziemski język nie może tego wyrazić. Dusza zadrżała i pochyliła się nisko, coraz niżej, ale wówczas niebiańska jasność wtargnęła w nią i poczuła to, czego nigdy przedtem nie czuła — ciężar swej dumy, swej zatwardziałości i grzechu.

— To, co robiłam dobrego w życiu, robiłam dlatego, że inaczej nie mogłam, ale zło było we mnie!

Dusza czuła się oślepiąca czystym, niebiańskim światłem. Upadała bezsilna. Wydawało jej się, że zwinęła się w kłębek, niedojrzała dla niebieskich bogactw, nie śmiała zwrócić swych myśli do sprawiedliwego Boga jękając:

— Łaski!

I oto zjawiała się łaska, nieoczekiwana łaska.

Bóg niebios był w całej nieskończenie wielkiej przestrzeni, miłość Boga przeniknęła ją w niewyczerpanej pełni.

— Duszo ludzka, bądź święta, cudna, pełna miłości i wieczna! — brzmiały i śpiewały głosy niewidzialne dookoła.

My wszyscy będziemy w ostatnim dniu naszego ziemskiego życia drżeli tak, jak ta dusza przed blaskiem i cudownością Nieba. Będziemy głęboko upokorzeni, pokornie zginali się a mimo to będzie nas unosiła jego miłość, jego łaska będzie nas wyprostowywała. Wzniesieni na nowe tory, oczyszczeni, szlachetniejsi, lepsi, będziemy się zbliżali coraz bardziej do cudowności światła i pokrzepieni przez nie, wzniesiemy się do wiecznej jasności.

Dziewczyna, która podeptała chleb

Była ubogim, ale dumnym i pysznym dzieckiem, była zła z natury, jak to powiadają. Gdy była zupełnie mała, największą przyjemność sprawiało jej chwytanie much i wyrywanie im skrzydełek, przez co przemieniały się w stworzenia pełzające. Chrabąszcze i żuki przekłuwała szpilką, podkładała im pod łapki zielony listek lub kawałek papieru i biedne stworzenie trzymało mocno w łapkach ów skrawek i obracało nim w kółko, aby uwolnić się od szpilki.

— Chrabąszcz czyta! — mówiła mała Inger — Patrzcie no, jak obraca listek!

W miarę jak rosła, stawała się gorsza, nie lepsza. Była ładna i to stało się jej nieszczęściem, inaczej świat byłby dla niej surowszy i nie wydarzyłoby się to, o czym będzie mowa.

— Należy ci dobrze zmyć głowę — mówiła do niej własna matka — Jako dziecko przydeptywałaś mi często fartuch, obawiam się, że jak urośniesz, podepczesz mi serce.

I tak też się stało.

Pojechała na wieś na służbę do zamożnych ludzi, którzy traktowali ją jak własne dziecko. Chodziła pięknie ubrana, wyglądała ładnie i pycha wzrastała w jej sercu.

Po roku ludzie, u których służyła, powiedzieli do niej:

— Musisz przecież wreszcie odwiedzić swoich rodziców, droga Inger.

Wybrała się w drogę, ale tylko po to, aby się pokazać w swoich strojach. Gdy doszła do wsi, zobaczyła parobków i dziewczyny stojących nad jeziorem i rozmawiających z ożywieniem, a tuż obok siedziała na kamieniu jej staruszka matka i odpoczywała. Była właśnie w lesie i zebrała wiązkę chrustu.

Wtedy Inger zawróciła i odeszła. Wstydziła się, że ona, tak pięknie ubrana, ma matkę w łachmanach, która zbiera chrust. Nie robiła sobie żadnych wyrzutów z tego powodu, że zawróciła, była tylko zła.

Znowu upłynęło pół roku.

— Powinnaś kiedyś pójść do domu i odwiedzić swoich starych rodziców, moja droga Inger — powiedziała pani — Masz tu duży bochenek pszennego chleba, weź go ze sobą, rodzice ucieszą się, gdy cię zobaczą.

Inger włożyła swoją najlepszą suknię i swoje nowe buty i szła ostrożnie, aby nie zabrudzić nóg. Gdy doszła do miejsca, gdzie droga prowadziła przez bagnisko, i gdzie rozlała się woda i błoto na dużej przestrzeni, rzuciła na ziemię bochenek chleba, aby stanąć na nim i przejść suchą nogą. Gdy postawiła jedną nogę na bochenku, a drugą uniosła do góry, chleb zaczął się coraz głębiej i głębiej pograżać i dziewczyna zniknęła zupełnie. Widać było tylko wielką czarną kałużę, a na niej rozpryskujące się pęcherzyki.

Oto jest całe opowiadanie.

Ale co się stało z Inger?

Dostała się do błotnej wiedźmy, która warzy piwo. Błotna wiedźma jest ciotką elfów, które są przecież dobrze znane. Napisano o nich wiele pieśni i malowano je nieraz, ale o błotnej wiedźmie wiedzą ludzie tylko tyle, że gdy w lecie parują łąki, to ona warzy piwo. Inger spadła właśnie do jej browaru, a długo tam nie można wytrzymać. Śmietnik jest w porównaniu z browarem błotnej wiedźmy jasną, wspaniałą komnatą. Każde naczynie cuchnie tam tak, że wszyscy ludzie mdleją i w dodatku wszystkie te naczynia stoją ciasno jedno obok drugiego, a jeżeli jest nawet pomiędzy nimi jakiś mały otworek, przez który się można przecisnąć, przeszkadzają pełzające dookoła tłuste węże i mokre ropuchy. Tu właśnie znalazła się Inger. Te ohydne, żywe gady były tak lodowato zimne, że dziewczyna drżała na całym ciele i kostniała coraz bardziej. Przyrosła mocno do bochenka chleba, który ją przyciągał tak, jak bursztyn przyciąga żdźbło słomy.

Wiedźma była w domu a tego dnia miał zwiedzić browar diabeł i jego babka, stara jędza, która zawsze jest zajęta. Nie wychodzi nigdy bez swojej ręcznej robótki i tutaj także zabierała ją ze sobą. Szyła dla ludzi niepokoje, kładła im do butów, aby nigdy nie zaznali spokoju. Haftowała kłamstwa i robiła szydełkiem nierozważne słowa, które padały na ziemię. Czyniła to po to, aby szkodzić i niszczyć.

Zobaczyła Inger, włożyła na nos okulary i obejrzała ją jeszcze raz.

— Ta dziewczyna jest bardzo obiecująca — powiedziała — wezmę ją sobie na pamiątkę tych odwiedzin. Mogłaby być figurą w przedpokoju mego praprawnuka.

I tak się mała Inger dostała do piekła. Nie każdy dostaje się tam prostą drogą, czasami można trafić i objazdem, o ile ma się po temu zdolności!

Był to wielki przedpokój ciągnący się w nieskończoność. Kręciło się w głowie, gdy się patrzyło w przód lub w tył. Stała tu gromada łaknących, którzy czekali aż otworzą się wrota łaski - mogli długo czekać. Wielkie dziwne, kołyszące się pająki przedły łapami tysiącletnie pajęczyny. Pajęczyny te oplątywały nogi jak sieci i trzymały w uwięzi jak miedziane kajdany, a oprócz tego każdą duszę nurtował niepokój, męczący niepokój.

Skąpiec zapomniał klucza do kasy, a wiedział, że klucz tkwił w zamku... Ale zbyt daleko zaprowadziłyby nas opisy wszystkich męczarni i tortur, jakich tu ludzie doświadczały. Inger męczyło strasznie, że musi stać tu jako figura. Stopy jej nadal przywierały do bochenka chleba.

— Tak to jest, kiedy się chce mieć czyste nogi — mówiła sama do siebie — Jak to się na mnie gapią!

Rzeczywiście, wszyscy patrzyli na nią. Ich złe myśli błyszczały w oczach i wychodziły bezdźwięcznie z ich warg, straszno było patrzeć.

„Na mnie jest przynajmniej miło patrzeć — myślała mała Inger — mam ładną twarz i ładną sukienkę. Przewracała oczami, aby spojrzeć na siebie, miała zbyt sztywny kark i nie mogła odwrócić głowy. Jakże zabrudziła się w browarze błotnej wiedzmy! Wcale o tym nie pomyślała, suknie jej były oblepione, jak gdyby jedną gęstą warstwą mułu. Wąż wplątał się jej we włosy i obijał się o plecy a z każdej fałdy ubrania wyglądała ropucha, szczekająca jak astmatyczny mops. Było to bardzo przykre.

— Wszyscy inni wyglądają także strasznie — pocieszała się Inger.

Najbardziej ze wszystkich męczył ją głód. Czyż nie mogła schylić się i ułamać kawałek chleba, na którym stała? Nie, plecy miała sztywne, ramiona i dłonie sztywne, całe ciało było jak kamienny posąg. Jedynie oczami mogła poruszać w ten sposób, że widziała nawet to, co się znajdowało za nią. Był to wstrętny widok. A potem przyleciały muchy i włożyły jej do oczu. Mrugała oczami, ale to nic nie pomogło, muchy nie wyfruwały, nie mogły się stamtąd wydostać. Miały wyrwane skrzydełka i przemieniały się w pełzające stworzenia — była to niewypowiedziana męka. Czuła tak straszny głód, jak gdyby wnętrzości jej same się pożerały a w sobie czuła pustkę, przeraźliwą pustkę.

— Jeżeli tak dłużej potrwa, nie wytrzymam — mówiła. Ale musiała wytrzymać, a trwało to bez końca.

Nagle spadła na jej głowę pałaca łza, potoczyła się po jej twarzy i piersi i spoczęła na chlebie, a za nią upadła druga, upadło wiele kropel. Któż to płakał nad małą Inger? Miała przecież matkę na ziemi. Łzy smutku, które matka wylewała nad dzieckiem, docierają do niego, ale nie wyzwalają, tylko palą, tylko powiększają jego mękę. A przy tym ten nieludzki głód i to, że nie mogła ułamać chleba, który podeptała. W końcu miała takie uczucie, jak gdyby wszystko w jej wnętrzu zostało pożarte, była jak cienka, pusta trzcina, która wchłania w siebie każdy dźwięk. Słyszała zupełnie wyraźnie wszystko, co mówiono o niej na ziemi a było to złe i bolesne. Matki płacz był wprawdzie głęboki i smutny, ale mówiła ona:

— Pycha wiedzie do upadku. To stało się twym nieszczęściem, Inger. Jakże zasmuciłaś matkę!

Matka jej i wszyscy inni na ziemi wiedzieli o jej grzechu, wiedzieli, że podeptała chleb, wpadła w grzęzawisko i zniknęła. Pastuch, który pasł krowy, opowiedział o tym, gdyż wszystko widział ze wzgórza.

— Jakże zasmuciłaś twą matkę, Inger! — powiedziała matka — Widzisz, zawsze mówiłam, że tak się skończy!

„Obym się była nigdy nie narodziła — myślała Inger — byłoby to dla mnie o wiele lepiej. Teraz na nic się to przyda, że moja matka płacze.” Słyszała, jak jej chlebobawcy, dobrzy ludzie, którzy traktowali ją jak własne dziecko, mówili:

— Była grzesznym dzieckiem, nie uszanowała bożych da- rów, podeptała je nogami. Wrota łaski długo jeszcze się dla niej nie otworzą.

„Mogli mnie przecież krócej trzymać — myślała Inger — mogli mi wypędzić muchy z nosa, jeżeli je miałam.” Słyszała, że ułożono o niej całą piosenkę:

„Pyszałkowata dziewczyna, co podeptała chleb, aby nie za- brudzić bucików.” W całym kraju śpiewano tę piosenkę.

„Ileż to się trzeba nasłuchać i nacierpieć — myślała Inger — Inni powinni być także ukarani za swoje grzechy. Zbyt wielu jest ludzi, których należy ukarać. Ach, jakże ja cierpię!” Jej uczucia stały się jeszcze twardsze niż jej ciało.

„Tu, na dole, w takim towarzystwie nie można stać się lep- szą. I wcale nie pragnę być lepszą. Jakże się oni wszyscy na mnie gapią!” Serce jej pełne było złości i gniewu do wszystkich ludzi.

„Teraz mają co opowiadać tam na górze. Ach, jakże się męczę!” Słyszała, jak opowiadano o niej dzieciom, które ją nazywały „bezbożną Inger.” Mówiono o niej, że była szkaradna, wstrętna i że powinna być porządnie ukarana. Z ust dziecięcych wychodziły jedynie twarde słowa.

Ale pewnego dnia, kiedy męki i głód nękały wydrażoną skorupę jej ciała, posłyszała, jak mówiono o niej i opowiadano jej dzieje niewinnemu dziecku, małej dziewczynce, która, usłyszawszy opowieść o próżnej Inger, wybuchnęła płaczem.

— Czy nigdy już nie wydobędzie się stamtąd? — spytała dziewczynka.

A odpowiedź brzmiała:

— Nie, nigdy.

— Ale jeżeli przeprosi i nigdy już tego więcej nie zrobi?

— Ona nie chce prosić o przebaczenie — odpowiedziano dziecku.

— Tak bym chciała, aby przeprosiła — powiedziała dziewczynka i była niepokieszona — Oddałabym jej moje zabawki za to, by powróciła. Tak mi żal tej biednej Inger.

Słowa te przeniknęły do serca Inger i natychmiast przyniosły ulgę. Po raz pierwszy nazwał ją ktoś „biedną Inger” i nic nie dodał o jej grzechach. Małe, niewinne dziecko płakało i prosiło o przebaczenie dla niej; było to takie dziwne, że chętnie sama by zapłakała, ale nie mogła płakać i to także było męką.

Podczas, gdy tam na górze upływały lata, tu na dole nic się nie zmieniło. Coraz rzadziej dochodziły ją z góry dźwięki, coraz mniej o niej mówiono. Nagle usłyszała westchnienie:

„Inger, Inger. Jakże mnie zasmuciłaś! Zawsze mówiłam, że tak będzie!” To zmarła jej matka.

Od czasu do czasu słyszała swoje imię, które wymawiali jej dawni chlebodawcy, a najłagodniejsze słowa, jakie wypowiedziała jej pani, były:

— Czy cię kiedy zobaczę, Inger? Nigdy nie wiadomo, gdzie znajdziemy się w przyszłym życiu.

Ale Inger wiedziała, że jej dobra pani nigdy nie będzie przebywała tam, gdzie ona.

Znowu przyszły długie, gorzkie lata.

Raz usłyszała Inger swoje imię i zobaczyła nad sobą jakby dwie błyszczące gwiazdy. To było dwoje łagodnych oczu, które zamknęły się na ziemi. Tyle lat już upłynęło od tego czasu, gdy mała dziewczynka płakała niepokieszona nad „biedną Inger”, że z dziecka stała się staruszką i Bóg wezwał ją do siebie. Właśnie w tej chwili, gdy przebiegała myślą całe życie, przypomniało jej się, jak gorzko płakała jako małe dziecko słysząc historię Inger. Tamte czasy i tamto wrażenie ożyło w jej duszy w chwili śmierci i zawołała:

— Panie Boże mój, może i ja, tak jak Inger, deptałam Twoje dary, nie myśląc, że czynię coś złego, może i ja byłam za życia dumna. Ale Ty w Twojej łasce nie pozwoliłeś mi się pograć, podtrzymałeś mnie. A teraz w ostatniej godzinie nie cofaj Twej ręki.

Oczy staruszki zamknęły się, a wtedy otwarły się oczy jej duszy na rzeczy ukryte, a ponieważ ostatnie jej myśli były przy Inger, zobaczyła ją i cały jej upadek i ta pobożna dusza wybuchnęła płaczem. Tak jak niegdyś, jak dziecko, stała w Królestwie Niebieskim i płakała nad biedną Inger. Łzy i modlitwy odbijały się echem o wydrążoną, pustą skorupę, w której tliła uwięziona i umęczona dusza. Zwyciężyła ją nigdy nie przeczuwana miłość, która spłynęła na nią z góry, anioł boży zapłakał nad nią. Dlaczego została zesłana jej łaska? Umęczona dusza zbierała w myśli każdy uczynek popełniony na ziemi i rozpląkała się tak, jak Inger nigdy płakać nie mogła. Przepęlniła ją rozpacz nad sobą, wydawało jej się, że nigdy nie otworzą się wrota łaski. Ale gdy ogarnęła ją skrucha, w otchłani zabłysł ku niej promyk: błysnął on z większą siłą niż promień słońca, który roztopia figury ze śniegu ulepione przez chłopców na podwórku i o wiele szybciej od płatka śniegu spadającego na miękkie usta dziecięce i roztopiającego się w kroplę wody. Skamieniała postać Inger rozwiała się w mgłę i przemieniła w małego ptaszka, który wzniósł się lotem w górę, w świat ludzi, i wyżej, do Boga.

Dziewczynka z zapałkami

Było bardzo zimno; śnieg padał i zaczynało się już ściemniać; był to ostatni dzień w roku, wigilia Nowego Roku. W tym chłdzie i w tej ciemności szła ulicami biedna dziewczynka z gołą głową i boso; miała wprawdzie trzewiki na nogach, kiedy wychodziła z domu, ale co to znaczyło! To były bardzo duże trzewiki, nawet jej matka ostatnio je wkładała, tak były duże; i mała zgubiła je zaraz, przebiegając ulicę, którą pędem przejeżdżały dwa wozy; jednego trzewika nie mogła wcale znaleźć, a z drugim uciekł jakiś urwis; wołał, że przyda mu się on na kołyskę, kiedy już będzie miał dziecko.

Szła więc dziewczynka boso, stapała nóżkami, które poczerwieniały i zsiniały z zimna; w starym fartuchu niosła zawiniętą całą masę zapałek, a jedną wiązkę trzymała w ręku; przez cały dzień nie sprzedała ani jednej; nikt jej nie dał przez cały dzień ani grosika; szła taka głodna i zmarznięta i wyglądała taka smutna, biedactwo! Płatki śniegu padały na jej długie, jasne włosy, które tak pięknie zwijały się na karku, ale ona nie myślała wcale o tej ozdobie. Ze wszystkich okien naokoło połyskiwały światła i tak miło pachniało na ulicy pieczonymi gęśmi.

„To przecież jest wigilia Nowego Roku” – pomyślała dziewczynka. W kącie między dwoma domami, z których jeden bardziej wysuwał się na ulicę, usiadła i skurczyła się cała; małe nożyny podciągnęła pod siebie, ale marzła coraz bardziej, a w domu nie mogła się pokazać, bo przecież nie sprzedała ani jednej zapałki, nie dostała ani grosza, ojciec by ją zbił, a w domu było tak samo zimno, mieszkali na strychu pod samym dachem i wiatr hulał po izbie, chociaż największe szpary w dachu zatkane były słomą i gałganami. Jej małe ręce prawie całkiem zamarzły z tego chłodu. Ach, jedna mała zapałka, jakby to dobrze było! Żeby tak wyciągnąć jedną zapałkę z wiązki, potrzeć ją o ścianę i tylko ogrzać paluszki! Wyciągnęła jedną i „trzask”, jak się iskrzy, jak płonie! mały ciepły, jasny płomyczek, niby mała świeczka otoczona dłońmi! Dziwna to była świeca; dziewczynce zdawało się, że siedzi przed wielkim, żelaznym piecem o mosiężnych drzwiczkach i ozdobach; ogień palił się w nim tak łaskawie i grzał tak przyjemnie; ach, jakież to było rozkoszne! Dziewczynka wyciągnęła przed siebie nóżki, aby je rozgrzać także

– a tu płomień zagasł. Piec znikł – a ona siedziała z niedopałkiem siarnika w dłoni.

Zapaliła nowy, palił się i błyszczał, a gdzie cień padł na ścianę, stała się ona przejrzysta jak muślin; ujrzała wnętrze pokoju, gdzie stał stół przykryty białym, błyszczącym obrusem, nakryty piękną porcelaną, a na półmisku smacznie dymiała pieczona gęś, nadziana śliwkami i jabłkami; a co jeszcze było wspanialsze, gęś zeskoczyła z półmiska i zaczęła się czołgać po podłodze, z widelcem i nożem wbitym w grzbiet; doczołgała się aż do biednej dziewczynki; aż tu nagle zgasła zapałka i widać tylko było nieprzejrzystą, zimną ścianę.

Zapaliła nowy siarnik. I oto siedziała pod najpiękniejszą choinką; była ona jeszcze wspanialsza i piękniej ubrana niż choinka u bogatego kupca, którą ujrzała przez szklane drzwi podczas ostatnich świąt; tysiące świeczek płonęło na zielonych gałęziach, a kolorowe obrazki, takie, jakie zdobiły okna sklepów, spozierały ku niej. Dziewczynka wyciągnęła do nich obie rączki

– ale tu zgasła zapałka; mnóstwo światełek choinki wznosiło się ku górze, coraz wyżej i wyżej, i oto ujrzała ona, że były to tylko jasne gwiazdy, a jedna z nich spadła właśnie i zakreśliła na niebie długi, błyszczący ślad.

– Ktoś umarł! – powiedziała malutka, gdyż jej stara babka, która jedyna okazywała jej serce, ale już umarła, powiadała zawsze, że kiedy gwiazdka spada, dusza ludzka wstępuje do Boga.

Dziewczynka znowu potarła siarnikiem o ścianę, zajaśniało dookoła i w tym blasku stanęła przed nią stara babunia, taka łagodna, taka jasna, taka błyszcząca i taka kochana.

– Babuniu! – zawołała dziewczynka – o, zabierz mnie z sobą! Kiedy zapałka zgaśnie, znikniesz jak ciepły piec, jak gąska pieczona i jak wspaniała olbrzymia choinka! – i szybko potarła wszystkie zapałki, jakie zostały w wiązce, chciała jak najdłużej zatrzymać przy sobie babkę, i zapałki zabłysły takim blaskiem, iż stało się jaśniej niż za dnia. Babunia nigdy przedtem nie była taka piękna i taka wielka; chwyciła dziewczynkę w ramiona i poleciały w blasku i w radości wysoko, wysoko; a tam już nie było ani chłodu, ani głodu, ani strachu – bowiem były u Boga.

A kiedy nastał zimny ranek, w kąci przy domu siedziała dziewczynka z czerwonymi policzkami, z uśmiechem na twarzy – nieżywa: zamarzyła na śmierć ostatniego wieczora minionego roku. Ranek noworoczny oświetlił małego trupka trzymającego w ręku zapałki, z których garść była spalona. Chciała się ogrzać, powiadano; ale nikt nie miał pojęcia o tym, jak piękne rzeczy widziała dziewczynka i w jakim blasku wstąpiła ona razem ze starą babką w szczęśliwość Nowego Roku.

Dzikie Łabędzie

Daleko stąd, tam, dokąd lecą jaskółki, kiedy u nas jest zima, mieszkał król, który miał jedenastu synów i jedną córkę, Elizę. Bracia byli królewiczami, chodzili do szkoły z orderami na piersiach i szablami u boku, pisali diamentowymi szyferkami na złotych tabliczkach; co tylko przeczytali, zaraz umieli na pamięć; od razu widać było, że są królewiczami. Siostra Eliza siedziała na małym, szklanym stołeczku i oglądała książkę z obrazkami, książkę, którą kupiono za pół królestwa.

Ach, jak dobrze było tym dzieciom! Ale to szczęście nie trwało długo.

Ich ojciec, król całego kraju, ożenił się ze złą królową, która wcale nie była dobra dla biednych dzieci; odczuły to już pierwszego dnia. W zamku odbywały się paradne zabawy, a dzieci bawiły się również w "gości", ale nie dostały, jak zwykle, ciastek i pieczonych jabłek, królowa dała im tylko w filiżance do herbaty trochę piasku i powiedziała, żeby udawały, że piją naprawdę herbatę.

Po tygodniu oddała małą siostrę Elizę na wieś do chłopów, a po krótkim czasie usposobiła króla tak źle do biednych królewiczów, że wcale już o nich nie dbał.

– Lećcie sobie w świat i sami się o siebie troszczcie - powiedziała zła królowa. - Zamieńcie się w ptaki i utracie mowę. - Ale nie potrafiła wyrządzić tyle zła, ile chciała; królewicze przemienili się w jedenaście cudnych, dzikich łabędzi. Z dziwnym krzykiem wyfrunęły ptaki przez zamkowe okna, ponad parkiem i lasem.

Wczesnym rankiem łabędzie przyleciały do chaty, gdzie siostra Eliza spała w chłopskiej izbie, krążyły nad dachem, kręciły długimi szyjami, uderzały skrzydłami, ale nikt tego nie widział ani nie słyszał. Musiały lecieć dalej, wysoko aż do chmur, w daleki świat; poleciały do dużego, ciemnego lasu, który ciągnął się do brzegu morza.

Biedna mała Eliza stała w chłopskiej izbie i bawiła się zielonym listkiem

– nie miała innej zabawki; przekłuła w listku dziurkę i spojrzała przez nią w słońce, i wtedy zdawało się jej, że widzi jasne oczy swych braci, i za każdym razem, kiedy ciepłe promienie słoneczne ogrzewały jej policzki, czuła jak gdyby pocałunki swych braci.

Jeden dzień mijał podobny do drugiego. Kiedy wiatr dał przez wielkie, różane żywopłoty przed domem, szeptał do róż:

– Któż może być od was piękniejszy?

Ale róże potrząsały głowami i mówiły:

– Eliza jest piękniejsza! - A kiedy staruszka siedziała w niedzielę przed drzwiami i czytała książkę do nabożeństwa, wiatr odwracał stronicę i mówił do książki:

– Któż jest bardziej pobożny od ciebie?

– Eliza jest pobożniejsza! - mówiła książka do nabożeństwa. Róże i modlitewnik mówiły prawdę.

Gdy Eliza skończyła piętnaście lat, wróciła do domu, a gdy królowa zobaczyła, jaka jest piękna, ogarnęła ją złość i zawiść; z chęcią przemieniłaby ją w dzikiego łabędzia jak jej braci, ale nie odważyła się uczynić tego natychmiast, bo król pragnął przecież zobaczyć swoją córkę.

Wczesnym rankiem poszła królowa do łazienki zbudowanej z marmuru, ozdobionej miękkimi poduszkami i wspaniałymi dywanami, wzięła trzy ropuchy, pocałowała je i powiedziała do jednej z nich:

– Usiądź na głowie Elizy, kiedy się będzie kąpała, aby była tak głupia jak ty! Usiądź na jej czole - powiedziała do drugiej - aby była tak brzydka jak ty, aby ojciec jej nie poznał. Spoczywaj na jej sercu - szepnęła do trzeciej

– niech się stanie zła, niech cierpi przez to męki! Potem włożyła ropuchy do czystej wody, która zabarwiła się na zielono, zawołała Elizę, rozebrała ją i kazała jej wejść do wody. Kiedy dziewczynka się zanurzyła, jedna ropucha usiadła jej na włosach, druga na czole, a trzecia na piersi; ale Eliza nie spostrzegła ich wcale, bowiem gdy się podniosła, po wodzie pływały trzy czerwone maki. Gdyby gady nie były zatrute i gdyby nie to, że pocałowała je czarownica, przemieniłyby się w czerwone róże; ale stały się jednak kwiatami, bo spoczywały na głowie i na sercu Elizy, która była zbyt pobożna i niewinna, abyczary mogły mieć nad nią moc. Kiedy zła królowa to zobaczyła, natarła Elizę sokiem włoskiego orzecha, tak że dziewczynkacalkiem poczerniała; posmarowała jej piękną twarzyczkę cuchnącą maścią i skołtuniła jej włosy; niepodobna było poznać pięknej Elizy.

Ojciec przeraził się na jej widok i powiedział, że to nie może być jego córka; nikt jej nie poznał prócz podwórzowego psa i jaskółek, ale były to przecież mizerne stworzenia i nic nie miały do gadania.

Wtedy biedna Eliza zaczęła płakać i przypomniała sobie swych jedenastu braci. Pełna smutku, wymknęła się z zamku, przez cały dzień chodziła po polach i błotach, aż w końcu przyszła do dużego lasu. Nie wiedziała, dokąd szła, ale czuła się tak nieszczęśliwa i tak bardzo tęskniła do swoich braci; na pewno ich także wygnano, tak samo jak ją, w szeroki świat. Chciała ich odnaleźć.

Niedługo była w lesie, a już noc zapadła; dziewczynka nie mogła odnaleźć drogi; wtedy położyła się na miękkim mchu, odmówiła wieczorną modlitwę i oparła głowę o pień drzewa.

Było tak cicho, powietrze takie łagodne, a naokoło w trawie i mchu tysiące świętojańskich robaczków świeciło jak zielony ogień; kiedy dotknęła ręką gałęzi, błyszczące owady spadały na nią jak deszcz gwiazd.

Przez całą noc śnili się jej bracia; bawili się znowu jako dzieci, pisali diamentowymi szyferkami na złotych tabliczkach i oglądali piękną książkę z obrazkami, która kosztowała pół królestwa, ale nie pisali na tablicy tak jak przedtem zer i kresek, tylko najdziwniejsze czyny, jakich dokonali, wszystko, co przeżyli i co widzieli; a w książce z obrazkami wszystko żyło: ptaki śpiewały, ludzie wychodzili z książki i rozmawiali z Elizą i z jej braćmi, ale gdy przewracała kartkę, wskakiwali znowu do środka, aby nie wprowadzić nieładu między obrazkami.

Kiedy się obudziła, słońce stało już wysoko na niebie; nie widziała go wprawdzie, gdyż przesłaniała je gęsta zieleń drzew, ale jego promienie przebłyskiwały jak powiewna złota tkanina; zieleń pachniała, a ptaki nieledwie siadały na jej ramionach. Słyszała plusk wody, mnóstwo strumieni przepływało przez las, wszystkie wpadały do jednego jeziora, gdzie było najpiękniejsze, piaszczyste dno; rosły tam wprawdzie naokoło gęste krzaki, ale jelenie zrobiły w jednym miejscu duży otwór i tędy przeszła Eliza ku wodzie. Woda była tak przezroczysta, że gdyby wiatr nie poruszał krzaków i gałęzi, można było myśleć, że zostały one namalowane na dnie, tak wyraźnie odbijał się każdy listek - zarówno oświetlony słońcem, jak pogrążony w cieniu.

Jak tylko Eliza zobaczyła własną twarz w wodzie, przeraziła się, taka była czarna i brzydka, ale kiedy umoczyła rączkę i wytarła nią oczy i czoło ukazała się biała skóra; wtedy zdjęła wszystko, co miała na sobie, i weszła do czystej wody; nie było na świecie piękniejszego królewskiego dziecka od niej.

Kiedy się znowu ubrała i zaplotła długie warkocze, podeszła do bijącego źródła, napiła się z dłoni i powędrowała w głąb lasu, nie wiedząc, dokąd idzie. Myślała o braciach i myślała o Panu Bogu, który jej na pewno nie opuści. On to sprawił, że w lesie rosły dzikie jabłka, aby nasycić głodnych. On to pokazał jej drzewo, którego gałęzie uginały się pod ciężarem owoców: zatrzymała się, aby się posilić, podłożyła podpórki pod gałęzie i weszła w najmroczniejszą głębinę lasu. Było tam tak cicho, że słyszała swoje własne kroki, słyszała szelest każdego suchego listka, który kruszyła stopami, nawet żadnego ptaka nie było widać, ani jeden promień słoneczny nie przedostawał się przez wielkie, gęste gałęzie drzew; wysokie pnie stały tak blisko jeden drugiego, że gdy patrzyła prosto przed siebie, wydawało się jej, że otacza ją płot z belek. Ach, jakaż tu panowała pustka i głusza, nigdy jeszcze takiej nie zaznała!

Noc stawała się ciemna, nawet żaden robaczek świętojański nie błyszczał wśród mchu, ułożyła się zmartwiona do snu. Wydawało jej się, że gałęzie otwierają się nad nią i że dobry Bóg patrzy na nią łagodnie, a małe aniołki wyglądają znad jego głowy i spod jego ramion.

Kiedy się nazajutrz obudziła, nie wiedziała, czy jej się to śniło, czy to było naprawdę. Zrobiła parę kroków i spotkała staruszkę z koszem pełnym jagód; staruszka dała jej parę jagódek. Eliza pytała, czy nie widziała jedenastu królewiczów jadących konno przez las.

– Nie! - powiedziała stara. - Ale widziałam wczoraj jedenaście łabędzi ze złotymi koronami na głowach, płynęły tu rzeką w pobliżu!

I zaprowadziła Elizę trochę dalej nad urwisko; w dole wiła się rzeczka, drzewa rosnące na brzegu wyciągały ku sobie długie, pełne liści gałęzie, a tam, gdzie nie były dość wysokie, by dosięgnąć jedno drugiego, uwalniały swe korzenie z ziemi i zwieszały się nad wodą, splecione z gałęziami. Eliza pożegnała staruszkę i poszła wzdłuż rzeki aż do miejsca, gdzie wpadała ona do wielkiego, otwartego morza.

Przed młodą dziewczyną rozciągało się wielkie, wspaniałe morze, ale nie widziała ani jednego żagla, ani jednej łódki, jakżeż miała się dalej przedostać? Patrzyła na niezliczone małe kamyki leżące na brzegu wody; woda oszlifowała je gładko. Szkło, żelazo, kamienie - wszystko zostało ukształtowane przez wodę, która była o wiele miększa niż jej delikatna ręka. "Woda niestrudzenie pracuje i wygładza nawet twarde kamienie; pragnę być równie niestrudzona! Dziękuję wam za waszą naukę, czyste, bijące fale! Serce mi mówi, że kiedyś zanieście mnie do moich ukochanych braci!" Na morskiej trawie, splukanej wodą, leżało jedenaście białych piór łabędzich; Eliza zrobiła z nich wiązanek; krople wody błyszczały na piórach, nikt nie wiedział, czy to była rosa, czy łzy. Samotnie było na brzegu, ale Eliza nie czuła tego, bo morze wiecznie się zmieniało, w ciągu paru godzin więcej razy zmieniało swój wygląd niż jeziora w ciągu całego roku. Kiedy nadciągała wielka, ciemna chmura, wydawało się, że morze chce powiedzieć: "I ja też potrafię wyglądać ponuro"; gdy wiał wiatr, fale obracały się białymi grzbietami, lecz gdy chmury stawały się czerwone, a wiatr zasypiał, morze wyglądało jak płatek róży: raz było zielone, to,

znowu białe, ale nawet kiedy było w zupełnym spoczynku, przy brzegu poruszało się z lekka; woda wznosiła się łagodnie jak oddech śpiącego dziecka.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, Eliza zobaczyła jedenaście dzikich łabędzi w złotych koronach na głowach, lecących w kierunku lądu; leciały jeden za drugim i wyglądały jak długa, biała wstęga; wtedy Eliza weszła na urwisko i ukryła się za krzakiem; łabędzie spuściły się na ziemię tuż koło niej i biły dużymi, białymi skrzydłami.

W tej samej chwili, kiedy słońce zanurzyło się w wodzie, opadły nagle z nich łabędzie pióra i ukazało się jedenastu królewiczów, braci Elizy. Dziewczynka krzyknęła głośno, bo chociaż zmienili się bardzo, sercem ich poznała, wiedziała, że to są oni; rzuciła się im w ramiona, wołała ich po imieniu, a oni cieszyli się widząc swą małą siostrzyczkę, taką już teraz dużą i śliczną. Śmiali się i płakali opowiadając sobie wzajemnie o tym, jaka macocha była zła dla nich wszystkich.

– My bracia - powiedział najstarszy - latamy jako dzikie łabędzie, dopóki słońce świeci na niebie; ale gdy tylko zachodzi, przemieniamy się w ludzi; i dlatego musimy zawsze uważać, aby podczas zachodu słońca mieć pod nogami stały ląd, bo gdybyśmy wówczas lecieli pod

obłokami, spadlibyśmy jako ludzie w dół. Nie mieszkamy tutaj; po drugiej stronie morza znajduje się równie piękny kraj; ale droga prowadząca tam jest długa, musimy lecieć nad wielkim morzem i nie ma żadnej wyspy, na której moglibyśmy przenocować; jedynie w połowie drogi wystaje samotna skała; jest tak mała, że możemy się na niej pomieścić tylko ciasno jeden obok drugiego; przy silniejszej fali opryskuje nas woda, ale dziękujemy Bogu i za to; tam nocujemy, kiedy jesteśmy w ludzkiej postaci; gdyby nie ta skała, nie zobaczylibyśmy nigdy naszej ukochanej ojczyzny; najdłuższe dwa dni w roku zużywamy na nasz lot. Tylko raz do roku możemy odwiedzić naszą ojczyznę, wolno nam zostać tu przez jedenaście dni, aby oblecieć ten wielki las,

skąd możemy zobaczyć zamek, gdzieśmy się urodzili i gdzie mieszka nasz ojciec, i wysoką wieżę kościoła, w którym jest pochowana nasza matka. Tutaj wydaje się nam, jak gdyby drzewa i krzaki były z nami spokrewnione, tutaj dzikie konie uganiają się po równinach, tak jak za czasów naszego dzieciństwa; tu drwale śpiewają stare pieśni, przy których tańczyliśmy dziećmi, tutaj jest nasza ojczyzna, do której ciągną nas serca, i tutaj znaleźliśmy ciebie, kochana, małasiostrzyczko! Dwa dni możemy tu zostać, potem polecimy stąd daleko za morze, do pięknego kraju, który jednak nie jest naszą ojczyzną. Jak cię stąd zabrać? Nie mamy ani statku, ani łódki!

– Jakże was mogę wybawić? - pyta siostra.

I rozmawiali tak ze sobą prawie przez całą noc, drzemiąc tylko parę godzin.

Elizę obudził łopot skrzydeł łabędzi przelatujących nad nią. Bracia przemienili się znowu i lecieli, zakreślając wielkie kręgi, byli już dość daleko, ale najmłodszy z nich pozostał; położył głowę na kolanach Elizy, a ona gładziła jego białe skrzydła, przez cały dzień byli razem. Pod wieczór przyleciały inne łabędzie, a kiedy słońce zaszło, stanęli przed nią w swej naturalnej postaci.

– Jutro odlatujemy stąd i dopiero po roku wrócimy, ale nie możemy ciebie tutaj zostawić. Czy masz odwagę polecieć z nami? Mamy dość silne romiona, dość mocne skrzydła, aby móc cię przenieść przez las i lecieć razem z tobą nad morzami.

– Ach, weźcie mnie ze sobą! - zawołała Eliza.

Przez całą noc pletli siatkę z giętkiego, wierzbowego łyka i mocnego sitowia, siatka była duża i mocna. Eliza położyła się na niej, a kiedy wzeszło słońce i bracia przemienili się w dzikie łabędzie pochwycili dziobami siatkę i polecili ze swą kochaną siostrą, która jeszcze spała, wysoko aż pod chmury. Promienie słoneczne padały wprost na jej twarz i dlatego jeden z łabędzi leciał nad jej głową i jego wielkie skrzydła okrywały ją cieniem.

Byli już daleko od ładu, kiedy Eliza obudziła się, miała wrażenie, że jeszcze śni, taki to był cudowny lot wysoko w powietrzu nad morzem. Obok niej leżała gałązka z pięknymi, dojrzałymi jagodami i wiązką smakowitych korzeni, zebrał je dla niej najmłodszy brat, a ona uśmiechała się do niego w podzięcie, poznała, że to on leci nad jej głową i ocienia ją swymi skrzydłami.

Lecieli tak wysoko w powietrzu, że pierwszy okręt, który zobaczyli na dole, wyglądał jak biała mewa siedząca na wodzie. Za nimi wznosiła się olbrzymia chmura niby wielka góra, i Eliza zobaczyła na niej swój własny cień oraz wyolbrzymiony cień wszystkich jedenastu łabędzi. Był to tak wspaniały obraz, jakiego jeszcze nigdy nie widziała; ale gdy słońce weszło wyżej i chmura została za nimi w tyle, kołyszący się miraż zniknął.

Przez cały dzień lecieli w powietrzu jak świszcząca strzała, ale lot ich był wolniejszy niż zwykle, bo nieśli przecież siostrę. Nadciągała burza, zbliżał się wieczór. Eliza patrzyła pełna lęku za zachodzące słońce, a na morzu nie widać było jeszcze samotnej skały; zdawało jej się, że łabędzie silniej uderzają skrzydłami. Ach, to ona była winna temu, że nie mogli dość prędko posuwać się naprzód; gdy słońce zajdzie, przemienią się w ludzi, spadną do morza i utoną! Wówczas zaczęła się modlić z głębi serca do Boga, ale wciąż jeszcze nie widziała skały. Czarna chmura zbliżała się, silne podmuchy zwiastowały burzę, chmury wyglądały jak jedna wielka, groźna fala, mknąca naprzód jak wystrzelona kula. Błyskawica zapalała się po błyskawicy.

Teraz słońce dosięgło linii morza. Serce Elizy drżało. Nagle łabędzie spuściły się w dół tak szybko, że dziewczynka myślała, że spadają, ale one wciąż leciały. Słońce było do połowy pod wodą, wtedy dopiero spostrzegła małą skałę; nie zdawała się być większą od fok, która wysuwa głowę z wody. Słońce zachodziło szybko, teraz wyglądało już jak gwiazda; wtedy stopa jej dotknęła skały, słońce zgasło natychmiast, jak ostatnia iskra palącego się papieru; bracia stali ramię przy ramieniu, a miejsca starczyło tyle tylko, co dla nich i dla niej. Morze uderzało o skałę i oblewało ich jak ulewa. Niebo płonęło nieustającymi błyskawicami i grom uderzał po gromie, a bracia i siostra trzymali się za ręce i śpiewali psalmy, czerpiąc z nich pociechę i otuchę.

Kiedy nastał świt, powietrze było czyste i ciche. Ze wschodem słońca łabędzie z Elizą opuściły skałę. Morze ryczało jeszcze dziko, kiedy byli wysoko w powietrzu, biała piana na czarnozielonym morzu wyglądała jak miliony łabędzi pływających po wodzie.

Kiedy słońce wznosiło się na niebie, Eliza zobaczyła górzysty kraj zarysowujący się w powietrzu, białe lodowce błyszcząły na wierzchołkach gór, a pośrodku wznosił się na milę zamek z jedną kolumnadą nad drugą; niżej kołysały się palmowe lasy i wspaniałe kwiaty, wielkie jak młyńskie koła. Spytała, czy to jest kraj, do którego lecą, ale łabędzie potrząsały głowami, bo to co widziała Eliza, było pięknym, wiecznie zmieniającym się zamkiem z chmur - fatamorganą; ludzie nie mogli tam mieszkać. Eliza wciąż patrzyła: zawaliły się nagle góry, lasy i zamek, a w ich miejsce stało dwadzieścia dumnych kościołów, wszystkie do siebie podobne, z wysokimi wieżami i spiczastymi oknami. Wydawało jej się, że słyszy grę na organach; ale to tylko morze szumiało. Oto gdy byli zupełnie blisko, kościoły przemieniły się w wielką flotę, która płynęła pod nimi; spojrzęła w dół i zobaczyła, że były to tylko mgły snujące się ponad wodą. Miała przed oczami ciągle zmieniające się obrazy, wreszcie ujrzała rzeczywistą krainę, do której podążali, wznosiły się tam cudne, błękitne góry, pokryte cedrowymi lasami, miastami i zamkami. Jeszcze na długo przed zachodem słońca siedziała na skale przed wielką grotą, zarośniętą zielonymi, pnącymi roślinami; wyglądało to jak haftowane zasłony.

– Zobaczymy, co ci się będzie tej nocy śniło! - powiedział najmłodszy brat i pokazał jej sypialnię.

"Ach, gdyby mi się przyśniło, w jaki sposób mogę was odczarować!" - pomyślała Eliza: ta myśl zajęła ją tak bardzo, że modliła się żarliwie do Boga o pomoc; nawet we śnie nie przestawała się modlić; zdawało jej się że pofrunęła wysoko do cudnego pałacu fatamorgany i że naprzeciw niej wyszła piękna wróżka, przypomniała jej ona jednak starszuskę, która obdarzyła ją w lesie jagodami, tę, co jej opowiedziała o łabędziach ze złotymi koronami na głowach.

– Możesz odczarować twoich braci! - powiedziała. - Ale czy jesteś odważna i wytrzymała? Morze jest miększe od twoich delikatnych rąk, a jednak kształtuje twarde kamienie, ale nie czuje bólu, jaki będą czuły twoje palce, bo nie ma serca, nie lęka się, nie cierpi, tak jak ty będziesz cierpiała. Czy widzisz tę pokrzywę, którą trzymam w ręku? Wokoło groty, w której śpisz, rośnie wiele podobnych, zwracam ci uwagę, że możesz użyć tylko tych pokrzyw jak również takich, które rosną na grobach cmentarzy; zapamiętaj sobie, musisz je zerwać, nawet gdyby twoja skórą pokryła się pęcherzami; musisz je pognieść nogami, wtedy otrzymasz włókna, z których masz upleść jedenaście koszulek rycerskich z długimi rękawami; narzuć je na łabędzie, a wtedy czar pryśnie. Zapamiętaj sobie jednak, że podczas pracy, dopóki jej nie skończysz, nie wolno ci mówić, nawet gdyby to miało trwać lata. Pierwsze słowo, jakie powiesz, przesyje śmiertelnym sztyletem serca twoich braci; od twojego języka zależy ich życie. Zapamiętaj sobie dobrze to wszystko.

I w tej samej chwili dotknęła jej ręki pokrzywę; paliła jak ogień. Eliza obudziła się. Był jasny dzień i tuż obok miejsca, gdzie spała, leżała pokrzywa, tak jak ją widziała we śnie. Wtedy padła na kolana, dziękowała Bogu i wyszła z groty, aby rozpocząć pracę.

Delikatnymi rękami brała wstrętne pokrzywy. Paliły jak ogień, wielkie pęcherze pokryły jej ręce i ramiona, ale znosiła wszystko chętnie, aby tylko wyzwolić braci. Każdą pokrzywę deptała bosymi nogami i plotła zielone włókna.

Kiedy słońce zaszło, przyszli bracia i przestraszyli się, gdy ją zastali niemą, myśleli, że to nowy czar złej macochy, ale gdy zobaczyli jej ręce, zrozumieli, że robiła to dla nich i najmłodszy brat zaczął płakać, a tam gdzie łza jego padła, zniknęły palące pęcherze i Eliza nie czuła bólu.

Noc spędziła na robocie, bo wiedziała, że nie będzie miała spokoju, zanim nie zbawi swych kochanych braci. Przez cały następny dzień, gdy nie było łabędzi, siedziała samotnie, ale nigdy jeszcze czas nie mijał jej tak prędko. Jedna koszulka pancerna była już gotowa, teraz zaczęła drugą.

Aż tu wśród gór rozległ się dźwięk myśliwskiego rogu. Eliza przeraziła się; odgłosy były coraz bliższe, słyszała szczekanie psów; przestraszona, ukryła się w grocie, związała zebrane i zmiędlone pokrzywy w węzełek i usiadła na nim.

Nagle wielki pies wyskoczył z zarośli, a zaraz za nim jeszcze jeden i jeszcze jeden; szczekały głośno, odbiegały i znowu wracały. Wkrótce potem przed jaskinią stanęli wszyscy

strzelcy, a najpiękniejszy z nich był królem tej ziemi. Podeszedł do Elizy, nigdy jeszcze nie widział tak pięknej dziewczyny - jakże się tu dostałaś, ty cudne dziecko? - zapytał. Eliza potrząsnęła głową, nie mogła przecież mówić, chodziło o życie i o wyzwolenie jej braci; schowała pod fartuchem ręce, aby nie widział, ile wycierpiała.

- Chodź ze mną! - powiedział. - Nie możesz tu zostać. Jeżeli jesteś tak dobra jak piękna, ubiorę cię w aksamity i jedwabie, a na głowę ci włożę złotą koronę; będziesz mieszkała i rządziła w moim najwspanialszym zamku! - I potem wziął ją na konia, Eliza płakała i łamała ręce, ale król powiedział:

- Pragnę tylko twego szczęścia! Kiedyś podziękujesz mi za to!

I pojechał przez góry, trzymając ją na koniu przed sobą, a myśliwi pędzili za nim.

Kiedy zaszło słońce, przyjechali do wspaniałego królewskiego miasta z kościołami i kopułami, król zaprowadził ją do zamku, gdzie w marmurowych, wysokich salach pluskały wielkie fontanny, gdzie lśniły malowidła na sufitach i na ścianach; ale Eliza nie patrzyła na to wszystko, płakała i rozpaczała; nie opierając się, dała się przebrać służebnicom we wspaniałe szaty, dała sobie wpleść we włosy perły, a na poparzone palce włożyła cienkie rękawiczki.

Kiedy stanęła w całej wspaniałości, była tak olśniewająco piękna, że dwór skłonił się przed nią jeszcze niżej, a król postanowił wziąć ją za żonę, chociaż arcybiskup potrząsał głową i szeptał mu, że piękna dziewczyna z lasu jest na pewno czarownicą: oślepia wszystkie oczy i otumania serce króla.

Ale król nic sobie z tego nie robił, kazał grać muzyce, kazał podać najdroższe potrawy i tańczyć najpiękniejszym dziewczynom; poprowadzono ją poprzez pachnące ogrody do wspaniałych sal; ale ani razu uśmiech nie rozjaśnił jej twarzy i nie rozbłysnął w jej oczach, z których przemawiał ból, jedyne jej bogactwo. Wówczas król otworzył małą izbę tuż obok pokoju, gdzie miała spać; izba ta była zawieszona zielonymi dywanami i wyglądała zupełnie jak pieczara, w której mieszkała; na podłodze leżała wiązka włókien, które Eliza wyprzędła z pokrzyw, a pod sufitem wisiała gotowa koszulka pancerna, wszystko to zabrał jeden ze strzelców jako coś niezwykłego.

- Tutaj możesz marzyć o twoim dawnym mieszkaniu! - powiedział król. - Masz tu robotę, którą się tam zajmowałaś; pośród tego całego przepychu będzie ci przyjemnie powracać myślami do dawnych czasów.

Gdy Eliza zobaczyła to, co było tak bliskie jej sercu, uśmiech rozjaśnił jej twarz i krew zabarwiła jej policzki, pomyślała o odczarowaniu swych braci, pocałowała królewską rękę, a on przycisnął ją do serca i kazał dzwonić dzwonom we wszystkich kościołach, aby obwieścili jego wesele. Piękna, niema dziewczyna z lasu została królową kraju.

Wtedy arcybiskup szepnął królowi do ucha złe słowa, które nie dotarły jednak do jego serca; wesele miało się odbyć; sam arcybiskup musiał jej włożyć na głowę koronę, nacisnął umyślnie zbyt ciasną ciężką obręcz, tak żeby ją zabolalo, ale bardziej bolalo ją to, co miała w sercu: troska o braci; nie czuła bólu cielesnego. Jej usta były nieme, za jedno słówko bracia

zapłaciliby życiem: w jej oczach była głęboka miłość do dobrego, pięknego króla, który robił wszystko, aby jej sprawić radość. Z całego serca kochała go z każdym dniem więcej. Ach, gdyby mogła mu się zwierzyć, opowiedzieć mu swoje, cierpienia, ale musiała zachować milczenie, musiała bez słowa pracować dalej. I dlatego wymykała się nocą do swojej komórki, zmienionej w grootę, i przedła jedną koszulkę za drugą, ale gdy zaczęła siódmą, zabrakło jej włókien.

Wiedziała o tym, że na cmentarzu rosły potrzebne jej pokrzywy, ale sama musiała je zerwać; w jaki sposób mogła się tam dostać?

"Czym jest ból moich palców w porównaniu z bólem i męką, jaką odczuwa moje serce? - myślała. - Muszę się odważyć, Pan Bóg mnie nie opuści." Z sercem pełnym lęku, tak jak gdyby miała zamiar spełnić jakiś zły czyn, wymknęła się księżycową nocą do ogrodu, minęła długie aleje i pustymi ulicami wydostała się na cmentarz. Na jednym z najobszerniejszych kamieni mogiłnych ujrzała zmory, wstrętne czarownice, które zdejmowały swoje lachmany, jakby się chciały kapać, rozgrzebywały długimi, chudymi palcami świeże groby, wyjmowały trupy i pożerały ich ciała. Eliza musiała przechodzić tuż obok nich, patrzyły na nią złym wzrokiem, ale ona pomodliła się, zebrała pokrzywy i zaniósła je do zamku.

Jeden tylko człowiek widział ją - arcybiskup; nie spał, podczas gdy wszyscy spali: teraz upewnił się w swoim przekonaniu, że nie wszystko było w porządku z królową: była czarownicą i dlatego otumaniała króla i cały naród.

Gdy król się spowiadał, opowiedział mu o tym, co zobaczył i czego się bał i kiedy z jego ust posypały się twarde słowa, święci wyrzeźbieni w drzewie potrzęsali głowami, jak gdyby chcieli powiedzieć: "To nieprawda. Eliza jest niewinna!" Ale arcybiskup tłumaczył to sobie inaczej; myślał, że święci świadczą przeciwko niej, że kiwają głowami nad jej grzechem. Dwie duże łzy potoczyły się po policzkach króla, wrócił do domu ze zwątpieniem w sercu; w nocy udawał, że śpi, ale sen nie zamknął jego oczu, słyszał, jak Eliza wstała, i co noc powtarzało się to samo, z każdym razem szedł za nią cicho i widział, że znika w swojej komórce.

Z dnia na dzień stawał się bardziej ponury, Eliza widziała to, ale nie mogła zrozumieć dlaczego; a jednak to ją niepokoiło, jakże cierpiała w głębi serca za swoich braci! Jej gorące łzy spływały na królewski aksamit i purpurę i wyglądały jak błyszczące diamenty, a wszyscy, którzy widzieli ten przepych, zazdrościli królowej. Wkrótce skończyła robotę, brak było tylko jednej koszulki, ale nie miała już więcej włókien, ani jednej pokrzywy. Jeszcze jeden raz, ostatni raz, musiała pójść na cmentarz, by łączyć parę pełnych garści. Myślała z lękiem o samotnej wędrownicy i o strasznych zmorach, ale jej wola była tak stanowcza jak ufność w Bogu.

Eliza poszła, ale król i arcybiskup szli za nią, widzieli, że zniknęła za furką prowadzącą na cmentarz, a kiedy zbliżyli się do furki, ujrzeni czarownice siedzące na kamieniach, tak jak je ujrzała Eliza; król odwrócił się, gdyż wśród nich wyobraził sobie, że widzi tę, której głowa spoczywała jeszcze tego wieczora na jego piersi.

– Lud niech ją sędzi! - powiedział, i lud ją osądził: "Niech ją czerwony ogień pochłonie!" Ze wspaniałych królewskich sal wyprowadzono Elizę do ciemnej, wilgotnej nory, gdzie wiatr dął przez zakratowane okienko, zamiast aksamitów i jedwabi dali jej wiązkę pokrzyw, które zebrała; na nich miała złożyć głowę; twarde, palące koszulki uplecione przez nią miały jej służyć za pierzynę i kołdrę, ale wyrządzono jej tym przysługę, mogła bowiem dalej pracować modląc się gorąco. Na ulicy ulicznicy śpiewali wyszydające ją piosenki, żywa dusza nie pocieszyła jej ani jednym dobrym słowem.

Pod wieczór zaszumiały skrzydła łabędzie pod więziennym okienkiem: był to najmłodszy brat, który odnalazł siostrę, a ona szlochała z radości, chociaż wiedziała, że ta noc, która miała nadejść, będzie prawdopodobnie ostatnią nocą jej życia, ale oto robota była już prawie skończona i jej bracia byli przy niej.

Przyszedł arcybiskup, aby spędzić u niej ostatnią godzinę, przyrzekł to królowi, ale ona potrzasała głową i prosiła go gestem i spojrzeniem, aby ją opuścił, tej nocy musiała przecież skończyć swoją robotę, bo inaczej wszystko byłoby na próżno; wszystko - ból, łzy i bezsenne noce; arcybiskup opuścił ją lżąc złymi słowami, ale biedna Eliza wiedziała, że jest niewinna, i pracowała dalej.

Małe myszki przebiegając po podłodze przyciągały jej pod nogi włókna pokrzywy, aby jej choć trochę pomóc, a przed zakratowanym okienkiem usiadł drozd i przez całą noc śpiewał najweselej, jak umiał, aby Eliza nie traciła otuchy.

Jeszcze brzask nie wstał, dopiero za godzinę miało wzejść słońce, kiedy jedenastu braci stanęło przed bramą zamku i zażądało, aby ich zaprowadzono do króla, ale odpowiedziano, że to niemożliwe, bo noc, król śpi i nie można go budzić. Prosilili, grozili, przyszła warta, nawet król wyszedł i spytał, co to ma znaczyć, ale w tej samej chwili wzeszło słońce i nie widać już było braci, tylko hen nad zamkiem leciało jedenaście dzikich łabędzi.

Cały lud tłoczył się do bram miasta, wszyscy chcieli zobaczyć, jak będą palili czarownicę.

Nędzna szkapą ciągnęła wóz, na którym siedziała Eliza; włożono na nią koszulę z grubego, workowego płótna; piękne długie rozpuszczone włosy otaczały jej cudną twarz; policzki były śmiertelnie blade, a wargi poruszały się lekko; ale palce plotły zielone nici; nawet w tej śmiertelnej drodze nie porzuciła rozpoczętej pracy; dziesięć koszulek leżało u jej stóp, pracowała nad jedenastą; tłum szydził z niej.

– Spójrzcie na tę czarownicę, jak mruczy! Nie ma w ręku książki do nabożeństwa, siedzi ze swoją wstrętną, czarnoksięską robotą, podrzyjmy jej to na kawałki!

I rzucili się na nią, i chcieli jej podrzeć robotę; a wtedy przyleciało jedenaście białych łabędzi, usiadły naokoło niej na wozie i uderzały dużymi skrzydłami. Przerażony tłum cofnął się.

– Oto znak Boży! Ona jest na pewno niewinna! - szeptało wielu, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno.

Już kat chwycił ją za rękę, a ona rzuciła pośpiesznie jednaście koszulek na łabędzie i oto stanęło przed nią jedenastu pięknych królewiczów: ale najmłodszy miał zamiast jednego ramienia skrzydło łabędzie, gdyż koszulce brakowało jednego rękawa, którego siostra nie zdążyła skończyć.

– Teraz mogę mówić! - powiedziała. - Jestem niewinna! A lud widział, co się stało, i pochylił przed nią głowy jak przed świętą, ale ona osunęła się zemdlona w ramiona braci; tak podziały na nią strach, ból i zmęczenie.

– Tak, jest niewinna! - zawołał najstarszy z braci i potem opowiedział wszystko, co się zdarzyło, a podczas gdy mówił, rozszedł się zapach jak od miliona róż, bo każde polano na stosie puściło korzenie i gałązki, wznosił się pachnący żywopłot wysoki i gęsty, utkany czerwonymi różami, a na samej górze błyszczał biały kwiat, połyskujący jak gwiazda; król zerwał ten kwiat i położył go na piersi Elizy; a ona zbudziła się radośnie ze szczęściem i spokojem w sercu.

Wszystkie dzwony zaczęły same dzwonić i wielkimi gromadami przyleciały ptaki - ruszono z powrotem na zamek weselnym pochodem, orszakiem, jakiego nie miał żaden król na świecie.

Królowa ŚnieguBaśń w siedmiu opowiadaniach

Tłumaczenie: Franciszek Mirandola

Opowiadanie pierwsze - W którym jest mowa o lustrze i okrucach

Posłuchajcie! Zaczynamy. Kiedy bajka się skończy, będziemy wiedzieli więcej, niż wiemy teraz, bo to był zły czarownik! Jeden z najgorszych, sam diabeł. Pewnego dnia wpadł w świetny humor, zrobił bowiem lustro, które posiadało tę właściwość, że wszystko dobre i ładne, co się w nim odbijało, rozpływało się na nic, a to, co nie miało żadnej wartości i było brzydkie, występowało wyraźnie i stawało się jeszcze brzydsze. Najpiękniejsze krajobrazy wyglądały w tym lustrze jak gotowany szpinak, najlepsi ludzie byli szkaradni albo stali na głowach bez tułowia. Twarze w tym lustrze były tak wykrzywione, że nie można ich było rozpoznać; ten, kto miał piegi, mógł być pewien, że pokryją mu cały nos i policzki.

Diabeł zaś uważał, że to było ogromnie zabawne. Skoro tylko przez głowę człowieka przeleciała jakaś zająca, dobra myśl, już twarz w lustrze wykrzywiała się, a diabeł-czarownik śmiał się ze swego sprytnego wynalazku. Wszyscy, którzy chodzili do szkoły diabła, gdyż założył czarcią szkołę, opowiadali na prawo i lewo, że stał się cud; uważali, że dopiero teraz będzie można dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda świat i ludzie. Biegali wszędzie z lustrem i w końcu nie było ani jednego człowieka, ani jednego kraju, który by nie został w nim opacznie odbity. Przyszło im do głowy, by polecieć do nieba i zabawić się kosztem aniołów i Pana Boga. Im wyżej lecieli z lustrem, tym bardziej wszystko się wykrzywiało, zaledwie mogli je utrzymać, lecieli wyżej i wyżej, coraz bliżej aniołów i Boga; wtedy lustro zdrzało tak strasznie, że wypadło im z rąk na ziemię, gdzie rozprysło się na tysiące milionów, bilionów i jeszcze więcej okrucach. Teraz dopiero wyrządzili o wiele większą krzywdę niż przedtem, gdyż niektóre kawałki były mniejsze od ziarnka piasku i pofrunęły daleko w świat; gdy wpadły komuś do oka, tkwiły w nim, i wtedy człowiek ten widział wszystko na odwrót albo spostrzegał tylko to, co było w danym przedmiocie złe, gdyż każdy odłamek lustra miał tę właściwość co całe lustro; byli ludzie, którym taki odłamek wpadł do serca, i wtedy działo się coś okropnego: serce stawało się jak kawałek lodu. Niektóre kawałki szkła były takie duże, że zrobiono z nich szyby okienne, ale nie warto było patrzeć przez nie na przyjaciół; inne kawałki dostały się do okularów i źle się działo, kiedy ludzie nakładali te okulary, aby dobrze widzieć i dobrze sądzić; a Zły śmiał się, aż mu się brzuch trząsał, i to go przyjemnie łaskotało.

A w powietrzu unosiły się wciąż maleńkie okruchy lustra. I słuchajcie, co się stało!

Opowiadanie drugie - Chłopczyk i dziewczynka

Pośród wielkiego miasta, gdzie jest tyle domów i tyle ludzi, że nie ma dość miejsca, aby każdy miał swój mały ogródek, i dlatego większości ludzi musi wystarczyć doniczka z kwiatami, mieszkało dwoje biednych dzieci, które miały jednak ogród trochę większy niż doniczka. Nie byli bratem i siostrą, ale kochali się jak rodzeństwo. Ich rodzice mieszkali w dwóch domach, przedzielonych wąską uliczką, w dwóch izdebkach na poddaszu; dachy domów stykały się prawie ze sobą; tuż obok rynny w każdym domu widniało małe okienko, wystarczyło tylko przeskoczyć przez rynnę i już można było przejść z jednego okna do drugiego.

Rodzice mieli przed oknem drewnianą skrzynkę, w której sadzili pożyteczne warzywa i małe różane krzewy. Raz wpadło rodzicom na myśl, żeby postawić skrzynki w poprzek rynny, tak że sięgały prawie od jednego okna do drugiego i wyglądały jak dwie grządki. Pędy grochu zwieszały się ze skrzynek, a różane krzewy wypuszczały długie gałązki, wiły się dookoła okien i pochylały ku sobie; wyglądało to prawie jak brama triumfalna, pełna zieleni i kwiatów. Ponieważ skrzynki były bardzo wysoko, a nie wolno tam było się wdrapywać dzieciom, pozwolono im często wychodzić do siebie i siedzieć na małych stołeczkach pod różami; bawiły się tam świetnie.

W zimie kończyła się ta przyjemność, okna były często zupełnie zamrożone; ale wtedy dzieci ogrzewały przy piecu miedziaki i przykładaly je do zamrożonych szyb, tak że robiła się świetna dziurka do patrzenia, taka okrągła, okrągła; przez tę dziurkę patrzyło kochane, miłe oko, przy każdym oknie jedno; byli to chłopczyk i dziewczynka. Chłopczyk nazywał się Kay, a dziewczynka Gerda. W lecie wystarczył jeden krok, i już byli razem, ale w zimie musieli wchodzić na tyle schodów i schodzić z tyłu schodów, a na dworze padał śnieg.

– To roje białych pszczoł! – powiedziała stara babka.

– Czy mają także królową? – spytał chłopczyk, bo wiedział, że prawdziwe pszczoły mają królową.

– Naturalnie, że mają! – powiedziała babka. – Fruwa tam, gdzie się najgęściej roją. Jest większa od innych i nigdy nie odpoczywa na ziemi, odlatuje z powrotem w czarne chmury. Czasami w zimowe noce przelatuje przez ulice miasta i zagląda do wszystkich okien, a wtedy okna te zamrażają tak dziwnie, jak gdyby się pokrywały kwiatami.

– Tak, tośmy widzieli! – wołały dzieci i teraz uwierzyły, że to była prawda.

– Czy Królowa Śniegu może tutaj przyjść? – spytała mała dziewczynka.

– Niech tylko spróbuje! – powiedział chłopiec. – Wtedy posadzę ją na gorącym piecu i roztopi się.

Ale babka pogładziła go po głowie i zaczęła opowiadać inne bajki.

Wieczorem, kiedy mały Kay kładł się już spać, wdrapał się na krzesło przy oknie i spojrzał przez małą dziurkę; właśnie spadło parę płatków śniegu i jeden z nich, największy, zawisł na brzegu skrzynki z kwiatami; rósł coraz bardziej i bardziej i w końcu przemienił się w kobietę ubraną w najdelikatniejszą białą gazę, utkaną jakby z miliona gwiazdzistych płatków. Była piękna i zgrabna, ale cała z lodu, z olśniewającego, błyszczącego lodu, a jednak żyła: oczy patrzyły jak dwie jasne gwiazdy, ale nie było w nich spokoju ani wytchnienia. Skłoniła się do okna i skinęła ręką. Chłopczyk przestraszył się i zeskoczył z krzesła; a wtedy zdawało mu się, że wielki ptak przeleciał obok okna.

Następnego dnia był silny mróz, a potem zrobiła się odwilż, a potem przyszła wiosna, słońce świeciło, ukazała się zieleń, jaskółki budowały gniazda, otworzono okna i dzieci siedziały znowu w swoim ogródku przy rynnie, wysoko ponad wszystkimi piętrami.

Tego lata róże kwitły niezwykle obficie; dziewczynka nauczyła się psalmu, w którym była mowa także i o różach, i wtedy pomyślała o swoich własnych kwiatkach; zaśpiewała ten psalm chłopczykowi, a on nucił razem z nią:

Róża przekwitła i mienie,

Pójdź, pokłóńmy się dziecinie.

Dzieci trzymały się za ręce, całowały róże, patrzyły w jasne słońce i mówiły do słońca jak do Dzieciątka Jezus. Cóż to były za cudne, letnie dni, jakże przyjemnie było siedzieć pomiędzy świeżymi krzewami róż, które, zdawało się, nigdy nie przestaną kwitnąć!

Kay i Gerda siedzieli i oglądali książkę z obrazkami, w której były malowane zwierzęta i ptaki. Wtem, gdy zegar na wielkiej wieży kościelnej wybił właśnie piątą, Kay zawołał:

– Coś mnie ukłuło w serce! O, a teraz coś mi wpadło do oka! Dziewczynka objęła go za szyję, chłopczyk mrugał oczami: nie, nic nie było widać!

– Pewnie już wyleciało! – powiedział, ale nie wyleciało. Był to właśnie jeden z tych odłamków szkła, na które rozpadło się lustro, czarodziejskie lustro, wiemy przecież, to wstrętne lustro, które wszystko, co wielkie i ładne, odbijało jako małe i brzydkie, podczas gdy to, co było brzydkie i złe, występowało wyraźnie i każdą wadę można było od razu zauważyć. Biedny Kay! Do jego serca wpadł także taki odłamek. Za chwilę to serce przemieni się w grudkę lodu. Teraz już przestało boleć, ale odłamek tkwił jeszcze w sercu.

– Dlaczego płaczesz? – spytał. – Tak brzydko wyglądasz! Nic mi przecież nie jest! Fe! – zawołał nagle. – Tę różę toczy robak! A patrz, tamta jest zupełnie krzywa. Właściwie te róże są brzydkie. Tak samo jak te skrzynie, w których stoją! – Kopnął nogą skrzynię i zerwał obie róże.

– Kay, co ty robisz? – zawołała dziewczynka, a on, widząc jej przerażenie, zerwał jeszcze jedną różę i pobiegł do swego okna zostawiając małą, milutką Gerdę samą.

Kiedy potem przyszła do niego z książką z obrazkami, powiedział, że to dobre dla niemowląt; a kiedy babka opowiadała bajki, miał im zawsze coś do zarzucenia albo stawał za babką, kładł okulary i przedrzeźniał ją; a udawało mu się to tak dobrze, że ludzie śmiali się z tego. Wkrótce nauczył się naśladować mowę i chód wszystkich ludzi na całej ulicy. Potrafił pokazywać wszystko, co w nich było niezwykłego i brzydkiego, a ludzie mówili: „Ten chłopiec jest bardzo zdolny!” Ale sprawiło to szkło, które mu wpadło do oka, szkło tkwiące w jego sercu, i dlatego dokuczał nawet małej Gerdzie, która była do niego przywiązana całą duszą.

Jego zabawy zmieniły się teraz całkowicie; stały się takie mądre. Pewnego zimowego dnia, kiedy prószył śnieg, przyniósł sobie wielkie powiększające szkło, rozpostarł połowę swego granatowego płaszczyka i zgarnął na nią płatki śniegu.

– Spójrz no w szkło, Gerda! – powiedział. Każdy płatek śniegu powiększał się w szkle i wyglądał jak piękny kwiat lub sześciokątna gwiazda; był to wspaniały widok.

– Widzisz, jakie to artystyczne! – mówił Kay – to o wiele ciekawsze od prawdziwych kwiatów! Te kwiaty nie mają żadnych wad, są doskonałe, o ile tylko się nie roztopią.

Po chwili zjawił się z wielkimi rękawicami i małymi saneczkami na plecach; krzyknął Gerdzie w samo ucho:

– Idę na wielki plac, gdzie inni chłopcy się bawią – i poszedł.

Na placu najśmielsi chłopcy przywiązywali często swoje saneczki do chłopskiego wozu i jechali w ten sposób spory kawał drogi. Było to bardzo wesołe. Kiedy się w najlepsze bawili, nadjechały jakieś wielkie sanie; były pomalowane całe na białą, a w środku siedział ktoś otulony w białe futro i w białej, futrzanej czapce; sanie objechały plac dwa razy dookoła. Kay przywiązał do nich szybko swoje saneczki i jechał za dużymi saniami; jechali coraz prędzej i prędzej, prosto przed siebie w najbliższą ulicę; osoba, która siedziała w saniach, odwróciła się, kiwnęła przyjaźnie do Kaya głową, zupełnie tak, jakby się znali od dawna; za każdym razem, kiedy Kay chciał odwiązać swoje saneczki, osoba znowu do niego kiwała i Kay zostawał; wyjechali za bramę miasta, wtedy śnieg zaczął tak sypać, że chłopiec, jadąc dalej, nie widział nawet ręki, którą trzymał przed oczami; puścił prędko sznur od saneczek, by się uwolnić od wielkich sań, ale to nie pomogło, jego małe saneczki przywiązane były mocno i jak wiatr pędziły naprzód. Wtedy zaczął głośno wołać, ale nikt go nie słyszał, śnieg padał, saneczki mknęły szybko; od czasu do czasu podskakiwały, tak jakby jechały przez rowy i płoty. Kay był bardzo przestraszony, chciał zmówić Ojcze nasz, ale mógł sobie przypomnieć tylko tabliczkę mnożenia.

Płatki śniegu stawały się coraz większe i większe i w końcu wyglądały jak duże białe kury; nagle odskoczyły na bok, wielkie sanie zatrzymały się i osoba, która w nich jechała, wyprostowała się, jej futro i czapka były całe ze śniegu a ona sama była damą smukłą i wysoką, jaśniejącą bielą – Królowa Śniegu!

– Zrobiliśmy ładny kawał drogi – powiedziała – ale po co marznąć? Otul się moim niedźwiedzim futrem. – Posadziła go obok siebie w saniach i otuliła go futrem; było mu tak, jakby pograżył się w śnieżnej zaspie.

– Czy zimno ci jeszcze? – spytała i pocałowała go w czoło. Pocałunek był zimniejszy od lodu, dotarł prosto do serca, które już i tak na pół zlodowaciało; było mu tak, jak gdyby miał umrzeć; ale tylko przez chwilę, potem zrobiło mu się dobrze; nie czuł już zimna.

– Moje saneczki! Nie zapomnij o moich saneczkach! – o tym pomyślał przede wszystkim; saneczki przywiązano do jednej z białych kur, która pofrunęła niosąc je na grzbiecie. Królowa Śniegu pocałowała Kaya jeszcze raz, i wtedy zapomniał o małej Gerdzie, o babce i o wszystkich w domu.

– Teraz już cię więcej nie pocałuję! – powiedziała – bo zacałowałabym cię na śmierć!

Kay spojrział na nią; była bardzo ładna; nie mógł sobie wyobrazić mądrzejszej i piękniejszej twarzy; teraz nie wydawała mu się już z lodu jak przedtem, kiedy ją widział za oknem, gdy kiwała do niego; w jego oczach była doskonałością, nie bał się wcale, opowiedział jej, że potrafi rachować z pamięci i nawet z ułamkami, że wie, ile kwadratowych mil liczy kraj i ile ma kraj mieszkańców; a ona uśmiechała się bez przerwy; wtedy pomyślał sobie, że wie jeszcze za mało, i spojrział w wielką, wielką przestrzeń, a ona leciała z nim wysoko ponad czarnymi chmurami, wicher szumiał i wył, tak jakby śpiewał stare pieśni. Lecieli ponad lasem i jeziorami, nad morzem i lądem; daleko pod nimi gwizdał zimny wiatr, wyły wilki, śnieg iskrzył się, wyżej leciały czarne, kraczące wrony, a nad wszystkim wysoko w górze księżyc świecił jasno i Kay patrzył nań przez całą długą zimową noc; w dzień zaś spał u stóp Królowej Śniegu.

Opowiadanie trzecie - Kwietny ogród kobiety, która umiała czarować

Ale co się działo z małą Gerdą, gdy Kay nie wracał? Co się z nim stało? Nikt nie wiedział. Nikt nie umiał tego wyjaśnić. Chłopcy opowiedzieli tylko, że widzieli jak przywiązał swoje saneczki do dużych, wspinających sań, które pojechały ulicą i wyjechały za bramę miasta. Nikt nie wiedział, gdzie Kay się podział. Popłynęło wiele łez, mała Gerda płakała gorąco i długo. Potem powiedziano, że umarł, że utonął w rzece, która przepływała tuż obok miasta; o, cóż to były za długie, ciemne zimowe dni. Aż wreszcie przyszła wiosna i ciepłe promienie słońca.

– Kay umarł i nie ma go! – powiedziała mała Gerda.

– Nie wierzę temu – odrzekł słoneczny promień.

– Umarł i nie ma go – powiedziała Gerda do jaskółek.

– Nie wierzymy temu – odrzekły ptaki. I w końcu mała Gerda sama przestała w to wierzyć.

– Włożę moje nowe, czerwone buciki – powiedziała jednego ranka. – Kay nie widział ich jeszcze; pójdę do rzeki i spytam o niego. Był bardzo wczesny ranek; pocałowała starą babkę, która jeszcze spała, włożyła czerwone buciki i poszła zupełnie sama za bramę miasta, aż na brzeg rzeki.

– Czy to prawda, że zabrałaś mi mojego małego towarzysza zabaw? Podaruję ci moje czerwone trzewiki, o ile mi go oddasz! I wydawało jej się, że fale patrzyły na nią tak dziwnie, wtedy zdjęła swoje czerwone trzewiki, to, co miała najmilszego, i rzuciła je do rzeki; ale upadły tuż obok brzegu i fale zaniósł je z powrotem na ląd tak, jak gdyby rzeka nie mogąc zwrócić Gerdzie Kaya nie chciała jej zabrać tego, co najbardziej lubiła; dziewczynce zdawało się, że za blisko brzegu rzuciła trzewiki, więc weszła do łódki, która stała w sitowiu, poszła na najdalszy jej koniec i wrzuciła raz jeszcze trzewiki do wody, ale łódka nie była mocno przywiązana i na skutek ruchów dziewczynki zakołysała się i odbiła od brzegu. Gerda spostrzegła to i chciała szybko wysiąść, ale nie zdążyła, łódka oddaliła się od brzegu i popłynęła szybko naprzód. Wtedy mała Gerda przestraszyła się bardzo i zaczęła płakać, ale nikt jej nie słyszał prócz wróbli, a te nie mogły jej zanieść na ląd, leciały tylko wzdłuż brzegu i ćwierkały tak, jakby ją chciały pocieszyć: „Oto jesteśmy my.” Łódka gnała z prądem; mała Gerda siedziała zupełnie spokojnie w pończoszkach, czerwone trzewiki płynęły za nią, ale nie mogły dogonić łódki, którą prąd szybko unosił. Na obu brzegach było ślicznie, rosły tam piękne kwiaty, stare drzewa i ciągnęły się zbocza, na których pasły się owce i krowy, ale nigdzie nie było widać człowieka. „Może rzeka zanieś mnie do małego Kaya” – myślała Gerda i ta myśl ją pocieszyła, wyprostowała się i przez długie godziny patrzyła na zielony brzeg; potem przy płynęła do dużego wiśniowego sadu, wśród którego widać było mały domek z dziwnymi, czerwonymi i niebieskimi oknami i słomianym dachem; przed domkiem stało dwóch drewnianych żołnierzy, prezentujących broń przed każdym, kto przepływał obok. Gerda zawołała do nich; myślała, że są żywi, ale oni rozumie się, nic nie odpowiedzieli; podpłynęła do nich zupełnie blisko, prąd rzeki zaniósł łódkę do samego brzegu. Gerda krzyknęła jeszcze głośniejsze, wtedy z domku wyszła stara, stara kobieta, opierająca się na zakrzywionym kosturze; miała duży kapelusz, pomalowany w najpiękniejsze kwiaty.

– Biedna dziecino! – powiedziała staruszka. – Jakże się dostałaś na tę dużą, bystrą rzekę, w tak daleki świat? – I potem staruszka weszła aż do wody, zaczepiła kostur o łódkę, przyciągnęła ją na brzeg i wyniosła z niej małą Gerdę. A Gerda była zadowolona, że jest znowu na lądzie, tylko że bała się trochę tej obcej, starej kobiety.

– Chodź, opowiedz mi, kim jesteś i jak się tu dostałaś! – powiedziała kobieta. I Gerda opowiedziała jej wszystko; a staruszka kręciła głową i mówiła: „Hm! Hm!” A kiedy Gerda skończyła opowiadać i spytała ją, czy nie widziała małego Kaya, kobieta odparła, że nie przechodził jeszcze tędy, ale że na pewno przyjdzie. Gerda nie powinna się smucić, tylko skosztować jej wisienek i obejrzeć jej kwiaty, są piękniejsze od wszystkich książek z obrazkami, każdy z nich potrafi opowiedzieć bajkę. Wzięła Gerdę za rękę i poszły do małego domku, a staruszka zamknęła drzwi. Okna były wysoko, w górze, a szyby miały czerwone, niebieskie i żółte; światło dzienne przeświecało przez te szyby tak cudnie i mieniło się wszystkimi barwami, a na stole stały najpiękniejsze wiśnie i Gerda jadła tyle, ile chciała, bo jej było wolno. Podczas gdy jadła, staruszka czesała jej włosy złotym grzebieniem i włosy

kręciły się w pierścieniu, otaczając złotą aureolą małą, miłą twarzyczkę, okrągłą i świeżą jak róża.

– Już od dawna tęskniłam do takiej uroczej, małej dziewczynki! – powiedziała staruszka. – Zobaczysz, jak nam będzie dobrze razem!

– I podczas gdy czesała włosy małej Gerdy, dziewczynka zapominała coraz bardziej o swoim przybranym braciszku; bo staruszka umiała czarować, ale nie była złą czarownicą, czarowała tylko troszeczkę, dla własnej przyjemności; i tak bardzo chciała zatrzymać małą Gerdę. Dlatego poszła do ogrodu i dotknęła kijem wszystkich różanych krzewów; nawet tych, które najpiękniej kwitły, a one zapadły się głęboko w czarną ziemię i nikt nie mógł się domyślić, że tu rosły. Staruszka bała się, że kiedy Gerda zobaczy róże, pomyśli o swoich różach, a wtedy przypomni sobie małego Kaya i ucieknie od niej. Potem zaprowadziła Gerdę do ogrodu. Jakżeż tam pachniało i jak tam było pięknie! Wszystkie kwiaty, jakie tylko rosną o każdej porze roku, rozkwitały tu wspaniale; żadna książka z obrazkami nie mogła być barwniejsza i piękniejsza. Gerda skakała z radości i bawiła się, dopóki słońce nie zaszło pomiędzy wysokimi wiśniami, potem ułożyła się w ślicznym łóżku z czerwonymi, jedwabnymi poduszkami, haftowanymi w fiołki, zasnęła i śniła jak królowa w dniu wesela. Następnego dnia mogła znowu bawić się kwiatami w ciepłych promieniach słońca; tak przeszło wiele dni. Gerda знаła każdy kwiat, ale chociaż tyle ich było, jednak wydawało jej się, że jednego brak, nie wiedziała tylko jakiego. Pewnego dnia siedziała i oglądała kapelusz staruszki z wymalowanymi kwiatami. Najpiękniejszym z nich była róża. Staruszka zapomniała usunąć ją z kapelusza, podczas gdy inne żywe róże zagrzebała w ziemi. Tak zwykle bywa, gdy się jest roztargnionym.

– Co? – zawołała Gerda – czyż tu nie ma wcale róż? I skoczyła pomiędzy grządki; szukała, szukała, ale róży nie znalazła, więc usiadła i rozplakała się; jej gorące łzy upadły właśnie na to miejsce, gdzie zakopane było różane drzewko, i kiedy łzy zrosiły ziemię, drzewko wystrzeliło kwitnące tak samo jak wówczas, gdy zapadło się w ziemię; Gerda objęła je, całowała róże i potem przypomniała sobie piękne róże w domu, a wraz z nimi i małego Kaya.

– Ach, jakżeż się tu zasiedziałam! – powiedziała dziewczynka. – Chciałam przecież szukać Kaya. Czy nie wiecie, gdzie on jest? – spytała róż. – Czy myślicie, że umarł i że go już nie ma?

– Nie umarł! – odpowiedziały róże. – Byliśmy przecież w ziemi, tam są wszyscy umarli, ale Kaya nie było!

– Dziękuję wam bardzo! – powiedziała mała Gerda i poszła do innych kwiatów, zajrzała w ich kielichy i spytała: – Czy nie wiecie, gdzie jest mały Kay? Ale kwiaty stały sobie w słońcu i każdy z nich śnił swoją baśń lub historię, mała Gerda wysłuchiwała ich dużo, ale w żadnej z nich nie było mowy o Kayu. Co opowiedziała płomienna lilia?

– Czy słyszysz bęben: bum, bum! Tylko dwa tony, zawsze bum, bum! Słuchaj żałobnej pieśni kobiety, słuchaj wołania kapłana. Żona Hindusa stoi w długiej czerwonej szacie na stosie, płomienie obejmują ją i jej umarłego męża; ale żona Hindusa myśli o żywym tu w

orszaku, o nim, którego oczy goręcej palą niż płomień, o tym, którego żar oczu bardziej dosięga jej serca niż płomienie, co wkrótce spala jej ciało na popiół. Czyż płomień serca może umrzeć w płomieniach na stosie?

– Nie rozumiem tego wcale! – powiedziała mała Gerda.

– To moja baśń! – odrzekła płomienna lilia. Co opowiedział powój?

– Nad wąską, górską ścieżką wznosi się stary zamek. Gęsty bluszcz obrasta czerwone mury, liść przy liściu oplata balkon; stoi tam śliczna dziewczyna, wychyla się poza sztachety i patrzy na drogę. Róża, zwieszająca się z gałęzi, nie jest od niej świeższa. Kwiat jabłoni, strząśnięty przez wiatr z drzewa, nie jest tak lekki jak ona; jakże szumi jej wspaniała, jedwabna szata! Czyż on nie przyjdzie?

– Czy myślisz o Kayu? – spytała mała Gerda.

– Opowiadam tylko moją baśń, mój sen! – odrzekł powój. Co opowiedział mały pierwiosnek?

– Pomiedzy drzewami wisi na sznurach długa deska; to huśtawka; dwie śliczne, małe dziewczynki, w sukniach białych jak śnieg i długich, powiewających, zielonych wstążkach przy kapeluszach, siedzą i bujają się; brat jest starszy od nich, stoi wyprostowany na huśtawce, ramię owinął sobie sznurem, aby się utrzymać, bo w jednej ręce trzyma małą miseczkę, a w drugiej białą rurkę i puszcza bańki mydlane, huśtawka się buja, bańki mydlane lecą, ostatnia o cudnych tęczowych barwach wisi jeszcze na rurce i kołysze się na wietrze; huśtawka buja się; mały czarny piesek, lekki jak mydlana bańka, podnosi się na tylne łapki i chce wejść na huśtawkę; huśtawka wznosi się, pies upada, szczeka i złości się; drażnią go rozpryskujące się bańki, kołysząca się deska, piana – oto moja pieśń!

– Może to jest ładne, co opowiadasz, ale mówisz to tak smutno i nie wspominasz wcale o Kayu! Co mówią hiacynty?

– Pewnego razu były trzy siostry, przezroczyste i delikatne; jedna miała suknię czerwoną, druga niebieską, a trzecia – białą! tańczyły, trzymając się za ręce, nad jeziorem przy blasku księżyca. Nie były to elfy, ale dzieci. Pachniało tak słodko i dziewczynki zniknęły w lesie – zapach stawał się coraz silniejszy – trzy trumny, w których leżały trzy piękne dziewczynki, wysunęły się z gęstwiny na brzeg jeziora; świętojańskie robaczki krążyły, błyszcząc jak małe, kołyszące się światełka. Czy te tańczące dziewczynki zasnęły, czy też umarły? Zapach kwiatów mówi, że nie żyją; wieczorny dzwon wydzwania im pogrzebowy śpiew!

– Strasznie mnie zasmucacie! – powiedziała mała Gerda. – Pachniecie tak mocno, że muszę myśleć o umarłych dziewczynkach: ach, czy naprawdę mały Kay nie żyje? Róże były pod ziemią i mówiły, że go tam nie ma!

– Bim, bam! – dzwoniły dzwoneczki hiacyntów. – Nie dzwoniemy dla małego Kaya, nie znamy go przecież. Śpiewamy tylko naszą piosenkę, jedyną, jaką znamy! Gerda podeszła do kaczęńca, który świecił wśród zielonych, błyszczących liści.

– Jesteś małym, jasnym słoneczkiem – rzekła Gerda. – Powiedz mi, czy wiesz, gdzie mogłabym znaleźć mego towarzysza zabaw? A kaczeniec błyszczał tak ładnie i także patrzył na Gerdę. A potem zaśpiewał swoją pieśń. Ale i ta pieśń nie była o Kayu.

– W małym podwórku pierwszego dnia wiosny świeciło gorąco kochane słońce; promienie ześlizgiwały się po białym murze sąsiedniego domu, tuż obok rosły pierwsze żółte kwiaty, połyskujące jak złoto w blasku ciepłego słońca, stara babka siedziała na dworze w fotelu, wnuczka, uboga śliczna dziewczynka, przyszła do domu, pocałowała babkę. W jej serdecznym pocałunku było złoto, szczere złoto. „Złote usta, złota dziewczyna i złota poranka godzina!” Oto moja krótka baśń – powiedział kaczeniec.

– Moja biedna stara babcia – westchnęła Gerda. – Na pewno za mną tęskni i martwi się o mnie i o małego Kaya. Ale wrócę wkrótce znowu do domu i przyprowadzę go ze sobą. Nie mam po co pytać kwiatów, każdy z nich zna tylko swoją własną baśń, nie dadzą mi żadnych wskazówek. – I podwiązała sukienkę, aby móc prędzej biegać; ale narcyz uderzył ją po nodze, kiedy przez niego przeskakiwała, więc zatrzymała się, spojrzała na wysmukły kwiat i spytała, pochylając się nad nim:

– Czy powiesz mi coś wreszcie? Cóż powiedział narcyz?

– Widzę samego siebie! Widzę samego siebie! O, jakże pachnę! Wysoko w małym pokoiku na poddaszu stoi na pół ubrana mała tancerka, stoi to na jednej nodze, to na dwóch, deptce nogami cały świat i tyle że wszystkich olśniewa. Z imbryczka do herbaty nalewa wody na gorsecik, który trzyma w ręku. Czystość jest piękną rzeczą! Biała suknia wisi na wieszadle, i ona też została uprana w imbryczku, i wisi, schnie na dachu. Kładzie ją na siebie, szafranowym szalem owiazuje szyję, wtedy suknia połyskuje jeszcze śnieżniejszą bielą. Noga podniesiona. Patrz, jak ona krąży na jednej nodze! Widzę samego siebie. Widzę samego siebie!

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziała Gerda. – Po co mi to opowiadasz? – I pobiegła na kraniec ogrodu. Furtka była zamknięta, ale dziewczynka potrząsnęła zardzewiałym zamkiem, a wtedy furtka odskoczyła i mała Gerda pobiegła boso w daleki świat. Obejrzała się trzy razy, ale nikogo za nią nie było; w końcu nie mogła już dłużej biec, usiadła na dużym kamieniu. Kiedy się rozejrzała, zobaczyła, że lato już przeszło, była późna jesień, nie spostrzegła tego wcale tam, w wielkim ogrodzie, gdzie było tyle słońca i kwiaty kwitły o wszystkich porach roku.

– Mój Boże, jakże się zasiedziałam – powiedziała mała Gerda. – Przecież już jest jesień. Teraz nie wolno mi odpoczywać. – Wstała, aby pójść dalej. O, jakże obolałe i zmęczone były jej nóżki! Naokoło było tak zimno i pusto. Podłużne wierzbowe listki pożółkły zupełnie, mgła spływała z nich kroplami wody, jeden listek za drugim opadały na ziemię, tylko tarnina była pokryta owocami, i to takimi kwaśnymi, że cierpły od nich usta. O, jakże szaro i smutno było na dalekim świecie!

Opowiadanie czwarte - Księżę i księżniczka

Gerda musiała znowu odpocząć. Naprzeciw miejsca, gdzie siedziała, sfrunęła na śnieg duża wrona; przyglądała się dziewczynce i kręciła głową.

– Kra, kra – powiedziała. – Dź dobr. Dź dobr!

Lepiej nie umiała wymawiać, ale odniosła się życzliwie do małej dziewczynki i spytała ją, dokąd to idzie taka sama w daleki świat. Słowo „sama” zrozumiała bardzo dobrze mała Gerda i czuła, ile w tym się zawierało treści, opowiedziała wronie swoje całe życie, wszystko, co przeżyła, i spytała, czy nie widziała Kaya. A wrona kiwnęła w zamyśleniu głową i powiedziała:

– To możliwe, to bardzo możliwe, to bardzo możliwe!

– Naprawdę? – pytała mała dziewczynka i całowała wronę tak, że o mało nie zadusiła jej na śmierć.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziała wrona. – Myślę, że to mógł być mały Kay! Ale na pewno zapomniał o tobie przy księżniczce.

– Czy on mieszka u księżniczki? – spytała Gerda.

– Tak, posłuchaj – powiedziała wrona. – Ale będzie mi trudno mówić twoim językiem. Czy rozumiesz wroni język? Byłoby mi łatwiej opowiadać.

– Nie, nie uczyłam się go – powiedziała Gerda – ale babka zna ten język i język innych ptaków też. Gdybym to ja się go była nauczyła!

– Nic nie szkodzi – rzekła wrona. – Opowiem, jak potrafię, ale nie będzie to dobrzeopowiedziane! – I zaczęła mówić to, co wiedziała.

– W państwie, w którym teraz jesteśmy, mieszka księżniczka; jest tak niebywale mądra, że przeczytała wszystkie gazety świata, a potem zapomniała to, co przeczytała, taka jest mądra.

Teraz siedzi na tronie, ale podobno to wcale nie jest takie przyjemne; więc zaczęła śpiewać taką piosenkę! „Dlaczegoż bym nie miała wyjść za mąż! Naprawdę, to dobra myśl.” Tak, postanowiła wyjść za mąż, ale za takiego, który potrafiłby odpowiedzieć na zadane mu pytania, nie takiego, co tylko stoi i wytwornie wygląda, bo to jest nudne. I księżniczka zawołała wszystkie damy dworu, a kiedy usłyszały, o co chodzi, były bardzo zadowolone. „To się nam nadzwyczajnie podoba – powiedziały – myślałyśmy o tym niedawno! „Możesz mi wierzyć, że każde słowo, które mówię, jest prawdą – dodała wrona. – Mam oswojoną narzeczoną, która wchodzi swobodnie do zamku, i ona mi to wszystko opowiedziała!

Narzeczona była naturalnie także wroną, gdyż swój ciągnie do swego, czyli wrona do wrony!

– Tego dnia gazety wyszły z obwódką w kształcie serc i z podpisem księżniczki, można w nich było przeczytać, że każdy dobrze prezentujący się młodzieniec może przyjść na zamek i rozmawiać z księżniczką, a ten, który będzie się tam zachowywał tak jak u siebie w domu i będzie najmądrzej mówił, zostanie mężem księżniczki.

– Tak, tak – powiedziała wrona – wszystko, co mówię, to święta prawda. Więc ludzie ciągnęli gromadnie, był tłok i ścisk, ale nikomu nie poszczęściło się ani pierwszego dnia ani drugiego.

Kiedy wszyscy razem stali na ulicy, rozmawiali swobodnie, ale gdy tylko wchodzili w bramę zamkową, tracili głowy na widok gwardii w srebrze, lokajów w złocie na schodach, wielkich oświetlonych sal; stali przed tronem, na którym siedziała księżniczka, i nie umieli nic powiedzieć prócz ostatniego słowa przez nią wymówionego, a jej nie zależało przecież na tym, aby usłyszeć powtórzone własne słowa. Miało się wrażenie, że ci ludzie zażyli tabaki na czczy żołądek i zapadli w sen, dopóki nie znaleźli się znowu na ulicy, gdzie odzyskiwali mowę. Od bram miasta aż do zamku stał długi ogon. Ja sam tam byłem, aby się im przyjrzeć – dodała wrona. – Czuli już głód i pragnienie, ale na zamku nie dostali nawet szklanki wody. Wprawdzie niektórzy mądrzejsi zabrali ze sobą zapasy, ale nie dzielili się ze swym sąsiadem; myśleli sobie:

„Niech wygląda na głodomora, to wtedy księżniczka go nie weźmie!”

– A Kay! Mały Kay! – spytała Gerda. – Kiedy on przyszedł? Czy był między nimiwszystkimi?

– Miej cierpliwość! – powiedziała wrona. – Zaraz do niego dojdziemy. Było to trzeciego dnia, na zamek przyszedł mały chłopiec bez konia i bez pojazdu, szedł wesoło, oczy błyszczały mu jak twoje, miał prześliczne długie włosy, ale był ubogo ubrany.

– To był Kay! – cieszyła się Gerda. – Ach, nareszcie go znalazłam! – I klasnęła w ręce.

– Na plecach miał mały tornister – opowiadała wrona.

– Nie, to były pewnie jego sanki – zauważyła Gerda – zniknął z sankami!

– To możliwe! – powiedziała wrona. – Tak dokładnie nie widziałem. Ale wiem od mojej oswojonej narzeczonej, że kiedy przechodził przez zamkowe wrota i zobaczył srebrną gwardię i lokajów w złocie na schodach, zupełnie się nie zmieszał, skinął do nich głową i mówił: „Jakże to musi być nudno tak stać na schodach, lepiej wejść do środka”.

Salę błyszczały od świateł, radcy i ministrowie chodzili boso i roznosili złote półmiski; nastrój był uroczysty. Buciki tego chłopca skrzypiały okropnie, ale on nic sobie z tego nie robił.

– To na pewno był Kay! – zawołała Gerda. – Wiem, że ma nowe buciki; słyszałam w pokoju babci, jak skrzypiały!

– Tak, skrzypiały porządnie – powiedziała wrona. – Chłopiec z uradowaną miną poszedł wprost do księżniczki, która siedziała na perle tak wielkiej jak kołowrotek; wszystkie damy dworu ze swymi służebnymi i służebne służebnych, i wszyscy marszałkowie dworu ze swymi paziami i służącymi paziów, którzy mieli swoich chłopców na posyłki, wszyscy stali dookoła i im który stał bliżej drzwi, tym dumniej wyglądał. Twarz pachółka sługi służącego za ledwie można było dojrzeć, tak dumnie stał w drzwiach!

– To musiało być straszne! – powiedziała małą Gerda. – A jednak Kay zdobył księżniczkę?

– Gdybym nie był wroną, zdobyłbym ją również, nie bacząc na to, że jestem zaręczony. On mówił równie dobrze jak ja, kiedy mówię wronim językiem, wiem to od mojej oswojonej narzeczonej. Był swobodny i miły i wcale nie przyszedł po to, aby starać się o jej rękę, przyszedł jedynie, aby posłuchać mądrości księżniczki; spodobała mu się i on jej spodobał się także!

– Tak, to był na pewno Kay – powiedziała Gerda. – Był taki mądry, że potrafił rachować z pamięci, i to z ułamkami. Ach, czy zaprowadzisz mnie na zamek?

– To łatwo powiedzieć – powiedziała wrona – ale jak to zrobimy? – Pomówię o tym z moją oswojoną narzeczoną; na pewno nam poradzi; bo muszę ci powiedzieć, że takiej małej dziewczynki jak ty nie przepuszczą nigdy do pałacu!

– A jednak się tam dostanę – powiedziała Gerda. – Gdy Kay usłyszy, że ja tu jestem, zaraz przyjdzie i zabierze mnie!

– Czekaj na mnie przy sztachetkach! – powiedziała wrona, pokiwała głową i odleciała.

Dopiero kiedy nadszedł wieczór, wrona wróciła z powrotem.

– Kra, kra! – powiedziała. – Dużo pozdrowień od mojej narzeczonej, a oto bułeczka dla ciebie, wzięłam ją z kuchni, tam jest dość chleba, a ty jesteś na pewno głodna. To zupełnie niemożliwe, abyś weszła do pałacu, jesteś przecież bosa, srebrna gwardia i lokaje w złości nie pozwalają na to, ale nie płacz, jakoś wejdziemy. Moja narzeczona zna pewne tylne schody, prowadzące do sypialnych pokojów, i wie, gdzie można znaleźć klucze!

Weszły więc do ogrodu, w wielką aleję, gdzie z drzew spadały liście; kiedy w pałacu jedne za drugimi pogasty światła, wrona zaprowadziła małą Gerdę do tylnych drzwi, które były uchylone.

O, jakże biło serce Gerdy ze strachu i tęsknoty! Zupełnie tak, jakby chciała zrobić coś złego, a przecież pragnęła tylko wiedzieć, czy tu był mały Kay: tak, musi tam być; myślała z takim przejęciem o jego mądrych oczach, o jego długich włosach, widziała wyraźnie jego uśmiech, kiedy siedział z nią w domu pod różami. Ucieszy się na pewno, gdy ją zobaczy i usłyszy, jaką długą drogę odbyła do niego, kiedy się dowie, jak martwili się wszyscy w domu, gdy on nie wrócił! O, jakże się bała i cieszyła zarazem!

Oto weszli już na schody; na szafie paliła się mała lampa; pośrodku na podłodze stała oswojona wrona, kręciła głową na wszystkie strony i patrzyła na Gerdę, która dygnęła tak, jak ją uczyła babcia.

– Mój narzeczony opowiadał mi tyle dobrego o pani, miła panienczko! – powiedziała oswojona wrona. – Dzieje pani życia, jak to mówią, są również bardzo wzruszające. Niech pani weźmie lampę. Wtedy ja pójde przodem. Gdy pójdziemy prosto przed siebie, to nie spotkamy nikogo!

– Wydaje mi się, że ktoś idzie tuż za nami! – powiedziała Gerda; rzeczywiście coś obok zaszeleściło; zupełnie jakby cienie prześlizgiwały się po ścianie, konie o rozwichrzonych grzywach i smukłych nogach, myśliwi, panowie i damy na koniach.

– To są tylko sny! – powiedziała wrona – przychodzą i zapraszają myśli księcia i księżniczki na polowanie; to dobrze, bo potem może im się pani w łóżku lepiej przyjrzeć. Ale spodziewam się, że kiedy pani dojdzie do zaszczytów i godności, okaże mi pani wdzięczność!

– To się samo przez się rozumie – wtrąciła druga wrona. Weszły do pierwszej sali o ścianach z różowego atlasu w kwiaty; obok nich zaszeleściły sny, ale przeleciały tak prędko, że Gerda nie zdążyła obejrzyć tego czcigodnego towarzystwa. Jedna sala była wspanialsza od drugiej; było tam co podziwiać. Wreszcie znaleźli się w sypialni. Sufit przypominał wielką palmę, o liściach ze szkła, z kosztownego szkła, a pośrodku pokoju na grubym sznurze ze złota wisiały dwa łoża, każde wyglądało jak lilia; jedno było białe, leżała na nim księżniczka, drugie było czerwone i tam Gerda miała szukać małego Kaya; uchyliła jeden czerwony płatek i zobaczyła brązową szyję. Tak, to był Kay! Krzyknęła głośno jego imię trzymając lampę tuż nad nim – sny znowu wtargnęły konno do pokoju, księżę obudził się, odwrócił głowę i – to nie był mały Kay.

Miał tylko podobny do niego kark; był młody i piękny. Z łożka, które wyglądało jak biała lilia, wyjrzała księżniczka i spytała, co się stało. Wtedy mała Gerda zapłakała i opowiedziała całą swoją historię i wszystko, co zrobiły dla niej wrony.

– Biedna dziewczynka! – powiedzieli księżę i księżniczka, a potem pochwalili wrony, zapewnili je, że nie gniewają się wcale, ale żeby tego częściej nie robiły. Tym razem zostaną wynagrodzone.

– Czy chcecie latać na wolności – spytała księżniczka – czy wolicie mieć stałe miejsce jako dworskie wrony i korzystać ze wszystkich odpadków z kuchni?

Obie wrony dygnęły nisko i poprosiły o stałe miejsce; myślały o starości i powiedziały:

– To dobrze, kiedy człowiek – tak powiedziały – ma spokój na stare lata!

Księżę wstał z łożka i ustąpił je Gerdzie, taki był dla niej dobry. Dziewczynka splotła swoje małe rączki i myślała: „I ludzie, i zwierzęta są dobrzy” – a potem zamknęła oczy i zasnęła słodko. Przyleciały znowu wszystkie sny w postaci aniołów, przyniosły małe sanki, na których siedział Kay i kiwał na nią; ale to był tylko sen i dlatego znikł, gdy tylko się obudziła.

Na drugi dzień ubrano ją od stóp do głów w jedwab i aksamit; pozwolono jej zostać w pałacu i spędzać przyjemnie czas, ale Gerda poprosiła, aby jej dali tylko wózek z koniem i parę małych trzewiczków, bo chciała jechać znowu w daleki świat odszukać Kaya.

Dostała i buciki, i mufkę; ubrano ją ślicznie, a kiedy miała odjechać, czekała na nią przed bramą kareta z czystego złota, herb księcia i księżniczki błyszczał na drzwiczkach jak gwiazda, stangret, służba i forysie, gdyż byli tam także i forysie, mieli złote korony na głowie. Książę i księżniczka pomagali jej sami wsiąść do karety i życzyli wiele szczęścia. Leśna wrona, która właśnie pobrała się z oswojoną, odprowadziła Gerdę trzy mile; siedziała obok niej, bo nie znosiła jazdy tyłem do konia; druga wrona stała we wrotach i biła skrzydłami, nie odprowadzała Gerdy, bo cierpiała na bóle głowy, od czasu kiedy miała stałe miejsce i przejadała się. Kareta wysadzana była w środku obwarzankami z cukru, a siedzenie napchane było owocami i piernikami.

– Żegnaj, żegnaj! – wołali książę i księżniczka, a mała Gerda płakała i wrona także; tak przeszła pierwsza mila podróży. Potem i wrona musiała się pożegnać i to było najcięższe rozstanie. Pofrunęła na drzewo i trzepotała czarnymi skrzydłami, dopóki kareta, błyszcząca jak jasny promień słońca, nie zniknęła jej z oczu.

Opowiadanie piąte - Mała rozbójniczka

Jechali przez ciemny las, ale kareta błyszczała jak pochodnia; kłuło to rozbójników w oczy, nie mogli tego znieść.

– Złoto, złoto! – wołali, pchali się naprzód, schwycili konie za uzdy, zabili małych forysiów, stangreta i służących i wyciągnęli małą Gerdę z karety.

– Jest tłusta, śliczna i karmiona orzechami – powiedziała stara rozbójniczka, która miała długą, sterczącą brodę i brwi opadające na oczy. – Jest taka smaczna jak małe, tłuste jagniątko, to dopiero będzie uczta! – I wyciągnęła nóż, który błysnął tak, że aż ciarki po ciele przeszły.

– Ach! – zawołała nagle stara; jej własna mała, dzika i niezdolna córeczka, którą niosła na plecach, ugryzła ją w ucho. – Ty przekłety bachorze – zawołała matka i nie zdążyła zamordować Gerdy.

– Ona będzie się ze mną bawiła – powiedziała mała rozbójniczka. – Niech mi odda swoją mufkę i śliczną sukienkę i niech śpi ze mną w łóżku. – I ugryzła matkę parę razy tak, że żona rozbójnika aż skoczyła do góry i zaczęła się kręcić w kółko; wszyscy rozbójnicy śmieli się i mówili:

– Patrzcie, jak to tańczy ze swym bachorem!

– Ja chcę siedzieć w karecie – powiedziała mała rozbójniczka – chciała i musiała postawić na swoim, bo była rozpieszczona i uparta. Usiadła obok Gerdy w karecie i potem pojechały przez pnie i krzaki coraz głębiej w las. Mała rozbójniczka była taka duża jak Gerda, ale silniejsza, o szerszych ramionach i ciemniejszej cerze. Jej oczy były czarne i patrzyły prawie smutno. Objęła ramieniem małą Gerdę i powiedziała:

– Nie powinni cię zabijać, dopóki się na ciebie nie pogniewam. Jesteś pewnie księżniczką?

– Nie – odrzekła mała Gerda i opowiedziała jej wszystko, co przeżyła, i jak bardzo kocha małego Kaya.

Córeczka rozbójników patrzyła na nią zupełnie poważnie, pokiwała trochę głową i odezwała się:

– Nie powinni cię zabijać, nawet gdybym była na ciebie zła; sama to wtedy zrobię! – Otarła Gerdzie oczy i włożyła obie swoje ręce do ślicznej mufki, która była taka ciepła i miękka. Wtem karetę się zatrzymała; znajdowali się w środku podwórza starego, zbójckiego zamku, był on pęknięty od góry do dołu. Kruki i wrony wyfruwały z otwartych szczelin, a wielkie buldogi, które wyglądały tak, jakby miały połknąć człowieka, skakały wysoko do góry, ale nie szczekały, bo to było zabronione.

W wielkiej, starej, zadymionej sali palił się na środku kamiennej podłogi duży ogień, dym wznosił się aż do sufitu i musiał sobie sam szukać wyjścia; gotował się duży kocioł z zupą, a na różnie piekły się zające i króliki.

– Musisz przespać się w nocy tu, obok mnie, razem ze wszystkimi moimi zwierzątkami – powiedziała mała rozbójniczka. Dano im jeść i pić i poszły potem w ką, gdzie leżała słoma i koce. Wysoko na żerdziach i belkach siedziało prawie sto gołębi, zdawało się, że śpią, ale gdy obie dziewczynki weszły, poruszyły się trochę.

– Wszystkie są moje – powiedziała mała rozbójniczka i schwyciła prędko jednego z najbliższych siedzących gołębi; złapała go za nogę i potrząsnęła nim tak, że zatrzepotał skrzydłami. – Pocałuj go – zawołała i uderzyła Gerdę ptakiem po twarzy. – Tam siedzą leśne dzikusy – mówiła dalej i pokazała cały szereg żelaznych prętów, wbitych wysoko w murze, nad otworem. – Musimy ich pilnować, to są kanalie z lasu, uciekają, gdy tylko nie są dobrze zamknięte, a tutaj stoi mój stary, kochany Ba. – I przyciągnęła za rogi rena, naokoło szyi miał błyszczący, miedziany pierścień i był przywiązany. – Tego też musimy trzymać na uwięzi, bo inaczej by uciekł. Co wieczór łechcę go w szyję moim ostrym nożem, bo się tego bardzo boi. – I dziewczynka wyciągnęła długi nóż ze szpary w murze i przesunęła go po szyi rena; biedne zwierzę kopało tylnymi nogami, a mała rozbójniczka śmiała się i wciągnęła Gerdę do łóżka.

– Czy będziesz miała nóż przy sobie w czasie snu? – spytała Gerda i spojrzała z przestraszeniem na nóż.

– Ja zawsze śpię z nożem – powiedziała mała rozbójniczka. – Nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić. Ale powtórz jeszcze raz to, co mi opowiadałaś o małym Kayu, i dlaczego poszłaś w daleki świat. – I Gerda opowiedziała od początku, a dzikie gołębie w klatce

gruchały, inne gołębie spały. Mała rozbójniczka objęła ramieniem Gerdę za szyję, w drugiej ręce trzymała nóż i zasnęła, tak że było słycać jej oddech; ale Gerda nie mogła zamknąć oczu, nie wiedziała, czy będzie żyła czy też umrze. Rozbójnicy siedzieli naokoło ognia, śpiewali i pili, a żonarozbójnika fikała koziołki. O, jakże strasznie było małej dziewczynce na to patrzeć!

Wtem gołębie leśne powiedziały:

– Gurr, grr! Widziałyśmy małego Kaya. Biała kura niosła saneczki, on siedział w saniach Królowej Śniegu, które unosiły się nad lasem, podczas gdy my siedziałyśmy w naszym gnieździe; dmuchnęła na nas i prócz nas dwóch umarły wszystkie pisklęta. Grr, grr!

– Co wy tam w górze mówicie? – zawołała Gerda. – Dokąd pojechała Królowa Śniegu? Czy wiecie coś o tym?

– Pewnie pojechała do Laponii, bo tam jest zawsze śnieg i lód. Spytaj rena, co stoi na postronku.

– Tam jest lód i śnieg, tam jest dobrze i pięknie – powiedział ren. – Skacze się swobodnie po wielkich, błyszczących dolinach. Królowa Śniegu ma tam swój letni namiot, ale jej stary zamek stoi wysoko nad biegunem północnym, na wyspie, która się nazywa Szpicberg!

– Ach, Kay, kochany Kay! – westchnęła Gerda.

– Leż teraz spokojnie – powiedziała mała rozbójniczka – inaczej zakłuję cię nożem!

Rano opowiedziała jej Gerda wszystko, co mówiły dzikie gołębie, a mała rozbójniczka słuchała uważnie, ale potem pokręciła głową i powiedziała:

– Właśnie! Właśnie! Czy wiesz, gdzie leży Laponia? – spytała rena.

– Któż ma lepiej wiedzieć ode mnie? – powiedziało zwierzę, a oczy mu zabłysły. – Tam się urodziłem i wyrosłem, tam skakałem po polach.

– Słuchaj no! – powiedziała mała rozbójniczka do Gerdy. – Widzisz, że wszyscy nasi mężczyźni już wyszli, ale matka jest jeszcze tutaj i zostanie; później, rano, pije zawsze z dużej butelki i ucina sobie drzemkę; wtedy będę mogła coś zrobić dla ciebie! – Wskoczyła z łóżka, rzuciła się matce na szyję, skubnęła ją w brodę i powiedziała: – Mój najśłodszy koziołku, dzień dobry! – A matka dała jej szcztka w nos, tak że jej nos poczerwieńiał i posiniał, ale to wszystko jedynie z miłości.

Kiedy potem matka napiła się z dużej flaszki i ucięła sobie drzemkę, mała rozbójniczka zbliżyła się do rena i powiedziała:

– Miałabym straszną ochotę polechtać cię jeszcze kilka razy ostrym nożem, bo jesteś taki zabawny, ale trudno, odwiążę twój sznur i pomogę ci dostać się do Laponii, tylko nie wolno ci oszczędzać nóg, musisz zaprowadzić tę małą dziewczynkę do pałacu Królowej Śniegu, gdzie jest jej towarzysz zabaw. Słyszałeś pewnie to, co ona opowiadała, bo mówiła dosyć głośno, a ty zawsze podsłuchujesz!

Ren wysoko podskoczył z radości. Dziewczynka rozbójników podniosła do góry małą Gerdę i była na tyle przezorna, że ją mocno przywiązała, a nawet dała jej małą poduszczkę, aby miała na czym siedzieć.

– Właśnie! – powiedziała. – Masz z powrotem swoje futrzane trzewiki, bo będzie ci zimno, ale mufkę zatrzymam sobie, bo jest za ładna! Chyba nie zmarzniesz! Masz tu wielkie rękawice mojej matki, sięgają aż do łokci; kładź je! Twoje ręce wyglądają teraz jak ręce mojej wstrętnej matki!

A Gerda płakała z radości.

– Nie mogę znieść tego, że beczysz! – powiedziała mała rozbójniczka. – Teraz właśnie powinnaś mieć zadowoloną minę! Masz tu dwa bochenki chleba i szynkę, nie będziesz głodna! – Wszystkie zapasy przywiązano renowi za siodłem; mała rozbójniczka otworzyła drzwi, zawołała do środka wszystkie wielkie psy, potem przecięła nożem postronek i powiedziała do rena:

– Teraz pędź, ale uważaj na dziewczynkę!

A Gerda wyciągnęła ręce w wielkich rękawicach do małej dziewczynki rozbójników i powiedziała:

– Do widzenia – a potem ren puścił się przez krzaki i kamienie, przez wielki las, przez błota i stopy tak prędko, jak tylko mógł. Wilki wyły, a kruki krakały.

– Fut, fut! – dźwięczało w powietrzu. Brzmiało to tak, jakby ktoś pluł czerwonym ogniem.

– To moja stara zorza północna! – powiedział ren. – Patrz, jak błyszczy! – I potem biegł jeszcze prędzej, coraz dalej, dniem i nocą; Gerda zjadła chleby, szynkę także, i już byli w Laponii.

Opowiadanie szóste - Laponka i Finka

Zatrzymali się przed małym, bardzo nędznym domkiem; dach pochylał się aż do ziemi, a drzwi były takie niskie, że mieszkańcy musieli pełzać na czworakach chcąc wejść lub wyjść. W domu nie było nikogo prócz starej Laponki, która, stojąc przy lampie z tranu, smażyła rybę. Ren opowiedział całą historię Gerdy, ale najpierw swoją własną, bo uważał, że ta jest o wiele ważniejsza, a Gerda była tak zmarznięta, że nie mogła wcale mówić.

– Ach, wy biedacy! – powiedziała Laponka. – Macie jeszcze daleką drogę przed sobą.

Musicie przebiec jeszcze przeszło sto mil równiną finmarku, aż tam, gdzie rozsiadła się Królowa Śniegu i puszcza co wieczór bengalskie ognie. Napiszę parę słów na wysuszonym

dorszu, nie mam papieru, a chcę napisać do Finki, tam na Północy, ona da wam lepsze wskazówki niż ja!

Kiedy Gerda ogrzała się, najadła i napiła, Laponka napisała na wysuszonym dorszu parę słów, kazała Gerdzie dobrze tego pilnować, przywiązała ją znowu do rena, który popędził razem z nią.

„Fut, fut!”, zabrzmiało wysoko w powietrzu, przez całą noc płonęła najpiękniejsza niebieska zorza polarna i potem przyjechali do Finmarku, i zapukali do komina Finki, bo w chacie nie było nawet drzwi wejściowych.

Wewnątrz był tak straszny upał, że Finka sama chodziła prawie zupełnie nago; była mała i bardzo brudna; zaraz rozebrała małą Gerde, zdjęła z niej rękawice i buciki, aby nie było jej za gorąco; renowi położyła na głowie kawałek lodu i potem przeczytała to, co było napisane na skórze dorsza; przeczytała trzy razy, tak że nauczyła się tego na pamięć, i wrzuciła rybę do gotującego się garnka, bo nadawała się do jedzenia, a ona nigdy niczego nie marnowała.

Ren opowiedział jej najpierw swoją historię, a potem dzieje małej Gerdy, a Finka błyskała mądrymi oczami, ale nic nie mówiła.

– Jesteś taka mądra! – powiedział ren. – Wiem, że potrafisz związać wszystkie wiatry świata jedną nitką; kiedy żeglarz rozplątuje jeden węzeł, wieje przyjazny wiatr, kiedy rozluźnia drugi, wieje ostry wicher, a kiedy rozwiązuje trzeci i czwarty, zrywa się taka burza, że lasy się przewracają. Czy zechciałabyś dać małej dziewczynce do wypicia taki napój, aby zrobiła się silna jak dwunastu mężczyzn i aby zwyciężyła Królową Śniegu?

– Silna jak dwunastu mężczyzn? – zapytała Finka. – Na cóż to się może jej przydać? – Potem podeszła do łóżka, wzięła dużą, zwiniętą skórę i rozwinęła ją; były tam napisane dziwaczne litery. Finka zaczęła czytać, aż jej pot spływał z czoła.

Ale ren wstawiał się tak gorąco za małą Gerdą, a Gerda patrzyła takimi błagalnymi, pełnymi łez oczami, że Finka zaczęła znowu błyskać spojrzeniem, zaciągnęła rena w kąt pokoju i szeptała coś kładąc mu na głowę świeży lód.

– Mały Kay jest co prawda u Królowej Śniegu, ma tam wszystko, czego tylko duszazapragnie, i jest pewien, że to najlepsze miejsce na świecie, ale dzieje się to dlatego, że ma w sercu odłamek szkła i okruszynę szkła w oku; trzeba mu to wyjąć, inaczej nie stanie się nigdy prawdziwym człowiekiem, i Królowa Śniegu zachowa nad nim swą moc.

– Ale czy nie mogłabyś dać małej Gerdzie czegoś takiego, żeby stała się mocniejsza od wszystkich?

– Nie mogę jej użyczyć więcej mocy od tej, którą posiada. Czyż nie widzisz, jaka jest potężna? Czy nie widzisz, jak jej muszą służyć ludzie i zwierzęta, jak udało jej się przejść przez świat na bosych nóżkach? Nie powinna myśleć, że to myśmy użyczyli jej tej potęgi, ona tkwi w jej sercu, pochodzi stąd, że Gerda jest dobrym, niewinnym dzieckiem. Skoro jej samej

nie uda się dostać do Królowej Śniegu i uwolnić Kaya od odłamków szkła, to my jej nic nie pomożemy.

O dwie mile stąd zaczyna się ogród Królowej Śniegu, tam możesz zanieść małą dziewczynkę; posadź ją na śniegu koło wielkiego krzaka, pełnego czerwonych jagód; nie marudź długo, tylko pośpiesz się i wróć tu znowu. – Potem Finka uniosła małą Gerde, posadziła ją na grzbiecie rena, a ren popędził, jak tylko mógł najprędzej.

– Ach, nie zabrałam moich trzewików, nie mam rękawic! – zawołała mała Gerda; spostrzegła to, bo było przeraźliwie zimno, ale ren nie odważył się zatrzymać, pędził, aż przybiegł do dużego krzaka z czerwonymi jagodami; tam posadził Gerde, pocałował ją w usta, a wielkie, jasne łzy popłynęły z oczu po policzkach zwierzęcia; potem pobiegł z powrotem tak prędko jak tylko mogły go unieść nogi. A mała Gerda stała bez trzewików i bez rękawiczek pośrodku straszliwego, lodowato zimnego pola Finmarku.

Biegła przed siebie, jak tylko mogła najszybciej; nagle nadciągnął cały pułk śnieżnych płatków; ale nie padały z nieba, niebo było zupełnie jasne i błyszczące od zorzy północnej; płatki śniegu biegły tuż przy ziemi i im się bardziej zbliżały, tym były większe. Gerda pamiętała jeszcze, jakie wielkie i kunsztowne wydawały jej się płatki wtedy, gdy je oglądała przez powiększające szkło, ale tu były jeszcze o wiele większe i bardziej przerażające; były żywe, stanowiły przednią straż Królowej Śniegu; miały najdziwniejsze kształty; niektóre wyglądały jak szkaradne, wielkie jeżozwierze, inne jak sploty węzów, wysuwających głowy, a znowu inne – jak małe, grube niedźwiedzie o nastroszonej sierści, wszystkie były oślepiająco białe, wszystkie były żywymi płatkami śniegu.

Mała Gerda zmówiła Ojcze nasz; a mróz był tak wielki, że widziała swój własny oddech; parował z jej ust jak gęsty dym; oddech ten stawał się coraz gęstszy i gęstszy i ułożył się w kształt jasnych aniołów, które w miarę zbliżania się do ziemi, stawały się coraz większe; wszystkie miały na głowach hełmy, a w rękach dzidy i tarcze; było ich coraz więcej, i kiedy Gerda skończyła mówić Ojcze nasz, stał naokoło niej cały legion; uderzały swymi mieczami w szkaradne płatki śniegu, tak że te rozpadały się na tysiączne kawałki, a mała Gerda szła pewnie i radośnie naprzód. Aniołki gładziły jej nogi i ręce; wtedy nie czuła wcale zimna i szła prędko naprzód do pałacu Królowej Śniegu.

A teraz zobaczymy, co się działo z Kayem. Nie myślał on wprawdzie o małej Gerdzie, a już najmniej o tym, że stała na dworze przed pałacem.

Opowiadanie siódme - Co się działo w pałacu Królowej Śniegu i co się później stało

Ściany pałacu były zrobione ze śnieżnej zawiei, a okna i drzwi z ostrych wiatrów; było tam przeszło sto sal, zależnie od tego, jak zawaiał śnieg; największa sala rozciągała się na wiele

mil, wszystkie oświetlało silne światło zorzy polarnej; były wielkie, puste, lodowato zimne i błyszczące! Nie panowała tu nigdy radość, nie odbył się tu nawet ani razu balik niedźwiedzi, na którym mógłby zagrać wicher i gdzie by białe niedźwiedzie mogły chodzić na tylnych nogach i popisać się swoimi dobrymi manierami; nie było tu nigdy towarzyskich zabaw ani otwierania paszcz i bicia łapami; białe liście nie plotkowały tu nigdy przy herbatce; puste, wielkie i zimne były sale Królowej Śniegu. Zorza północna paliła się tak równomiernie, że można było według jej światła oznaczyć, kiedy znajdowała się na najwyższym punkcie, a kiedy na najniższym.

Pośrodku pustej, nieskończonej, śnieżnej sali leżało zamrożone jezioro, które popękało na tysiące kawałków, ale jeden kawałek był podobny do drugiego, było to prawdziwe dzieło sztuki; pośrodku tego jeziora siadywała Królowa Śniegu, wtedy gdy była w domu, i wówczas mówiła, że siedzi na zwierciadle rozsądku i że to jest jedyne i najlepsze zwierciadło na świecie.

Mały Kay był zupełnie siny z mrozu, prawie czarny, ale nie spostrzegł tego wcale, gdyż Królowa Śniegu odjęła mu swym pocałunkiem wrażliwość na zimno, a jego serce stało się kawałkiem lodu. Chodził i zbierał płaskie, ostre kawałki lodu, które składał w ten sposób, aby coś z nich wyszło, zupełnie tak samo jak my, kiedy z kawałków drzewa składamy figury, co się nazywa chińską grą. Kay układał najkunsztowniejsze wzory, była to lodowa łamigłówka, w jego oczach figury te były nadzwyczajne i niezwyklej wagi, przyczyniał się do tego okruczeństwa, który Kay miał w oku. Kay składał całe figury, które tworzyły napis, ale nie udawało mu się ułożyć słowa, na którym mu właśnie zależało. Słowem tym była „Wieczność”, a Królowa Śniegu oświadczyła:

– Jeżeli uda ci się ułożyć to słowo, staniesz się zupełnie niezależny, podaruję ci cały świat i na dodatek parę nowych łyżew. – Ale Kay nie mógł w żaden sposób ułożyć tego właśnie słowa.

– Teraz pomknę sobie daleko, do ciepłych krajów – powiedziała Królowa Śniegu

– chcę zajrzeć raz do tych czarnych garnków. – Miała na myśli góry ziejące ogniem, które się nazywają Etna i Wezuwiusz. – Pobieję je trochę. To im się należy, zresztą wyjdzie to na dobre cytrynom i winogronom! – I Królowa Śniegu odfrunęła, a Kay został zupełnie sam w olbrzymiej lodowej sali, przyglądał się kawałkom lodu i myślał, myślał, aż coś w nim zatrzeszczało, siedział zupełnie sztywno i cicho, mogło się zdawać, że zamarzał.

I wtedy właśnie mała Gerda weszła przez wielkie wrota do pałacu; wiały właśnie ostre wichry, ale dziewczynka odmówiła wieczorną modlitwę i wtedy wiatry ułożyły się, jak gdyby chciały spać, a dziewczynka weszła do wielkiej, pustej, zimnej sali. Zobaczyła Kaya, poznała go, rzuciła mu się na szyję, objęła go mocno i wołała:

– Kay, drogi, mały Kay! Nareszcie cię odnalazłam!

Ale on siedział zupełnie cicho, sztywny i zimny.

Wtedy zapłakała mała Gerda gorącymi łzami, które spłynęły na jego pierś, dostały się aż do jego serca, roztopiły kawałki lodu i wchłonęły okruszynę szkła; Kay spojrzął na nią, ona zaśpiewała mu pieśń:

Róża przekwita i minie,

Pójdź, pokłońmy się Dziecinie.

Wtedy Kay wybuchnął płaczem i odłamek szkła wypadł mu z oka, poznał Gerdę i zawołał radośnie:

– Gerdo, kochana, mała Gerdo! Gdzieś była tak długo? I gdzie ja byłem? – Rozejrzał się wokoło. – Jakże tu zimno! Jak pusto i rozległe!

I przytulił się mocno do Gerdy, a ona śmiała się i płakała z radości; było to takie piękne, że nawet kawałki lodu zaczęły tańczyć z radości, a kiedy się zmęczyły i położyły, utworzyły właśnie te litery, o których mówiła Królowa Śniegu, że jeżeli Kay je ułoży, stanie się niezależnym panem, a ona podaruje mu cały świat i parę nowych łyżew.

Gerda pocałowała go w policzki, które zaróżowiły się; całowała jego oczy, które zabłysły tak jak jej oczy; całowała jego ręce i nogi, które stały się mocne i zdrowe. Gdyby Królowa Śniegu nawet teraz wróciła, to i tak słowo wyzwalające Kaya wypisane było błyszczącymi kawałkami lodu.

A oni wzięli się za ręce i wywędrowali z wielkiego pałacu, rozmawiali o babce i o różach kwitnących wysoko na dachu; wszędzie, gdzie przechodzili, układały się wiatry do spoczynku i układało się słońce; kiedy przyszedli do krzaka z czerwonymi jagodami, stał tam ren i czekał; obok niego stał drugi młody ren, o pełnych wymionach, dał dzieciom ciepłego mleka i ucałował je.

Potem reny zawiozły Gerdę i Kaya najpierw do Finki, gdzie ogrzali się w ciepłej izbie i otrzymali wskazówki na drogę powrotną, potem do Laponki, która uszyła im nowe ubrania i przygotowała swoje sanki do drogi.

Oba reny skakały obok sań i dotrzymywały im towarzystwa aż do granic kraju; kiełkowała tam pierwsza zieleń. Wtedy pożegnali się z renami i z Laponką.

– Bądźcie zdrowi! – powiedzieli wszyscy. Pierwsze małe ptaszki zaczęły ćwierkać, drzewa miały zielone pączki i z lasu wyjechała na wspaniałym koniu, którego Gerda знаła (był to jeden z koni zaprzęgniętych do złotej karety), dziewczynka w jaskrawoczerwonej czapeczce na głowie i z pistoletami za pasem; była to mała rozbójniczka, której znudziło się w domu i chciała pojechać na północ, a w razie gdyby jej się tam nie spodobało, wybrałaby się w innym kierunku.

Poznała od razu Gerdę i Gerda ją również poznała; ucieszyły się bardzo.

– Ładny z ciebie nicpoń, że się tak po świecie włóczysz – powiedziała do Kaya – chciałabym wiedzieć, czy zasługujesz na to, żeby z twojego powodu pędzić na koniec świata!

Ale Gerda pogłaskała ją po twarzy i spytała o księcia i księżniczkę.

– Pojechali do obcych krajów! – powiedziała rozbójniczka.

– A wrona? – spytała mała Gerda.

– Wrona umarła! – odpowiedziała dziewczynka. – Oswojona małżonka została wdową, nosi opaskę z czarnej krepy na nodze i skarży się żałości! Ale opowiedz lepiej, jak tobie się powiodło i jak go odnalazłaś!

Wtedy Gerda i Kay opowiedzieli wszystko.

– Ta-ra-ra, ta-ra-ra! – zawołała mała rozbójniczka, schwyciła oboje za ręce i obiecała, że jeżeli kiedyś będzie przejeżdżała przez ich miasto, przyjedzie do nich w odwiedziny; potem pojechała w daleki świat, a Kay i Gerda poszli trzymając się za ręce, a gdy tak szli, zrobiła się cudna wiosna; wszystko kwitło i zieleniało; dzwony biły w kościołach i dzieci poznały wysokie wieże i wielkie miasto; było to miasto, w którym mieszkali; poszli przez ulice aż do drzwi babki, weszli na schody i znaleźli się w pokoju, gdzie wszystko stało na tym samym miejscu co dawniej, a zegar mówił: tik, tak! i wskazówki poruszały się, ale, przechodząc przez drzwi, spostrzegli, że byli już dorosłymi ludźmi. Róże w rynnie na dachu kwitły i zaglądały w otwarte okna – stały tam małe, dziecinne krzeselka; Kay i Gerda usiedli na nich i wzięli się za ręce; zapomnieli jak o złym śnie o zimnej, pustej wspaniałości u Królowej Śniegu. Babka siedziała w jasnym blasku słońca i czytała z Biblii: „A jeśli nie staniecie się jako dzieci, nie osiągniecie Królestwa Bożego!” A Kay i Gerda spojrzeli sobie w oczy i nagle zrozumieli starą pieśń:

Róża przekwita i minie,

Pójdź, pokłońmy się Dziecinie.

Siedzieli więc oboje, dorośli, a jednak dzieci, dzieci w sercach, i było lato, gorące błogosławione lato.

Krzesiwo

Szedł sobie drogą żołnierz: raz, dwa! Raz, dwa! Na plecach miał tornister, a u boku szablę, bo wracał właśnie z wojny do domu.

Na środku drogi spotkał starą czarownicę; była obrzydliwa, dolna warga zwisała jej aż na piersi. - Dobry wieczór, żołnierzu! - powiedziała. - Jaka piękną masz szablę, jaki duży tornister! Prawdziwy żołnierz z ciebie! Dam ci tyle pieniędzy, ile tylko zechcesz.

- Dziękuję ci, stara czarownico! - odpowiedział żołnierz.

- Widzisz tamto duże drzewo? - spytała czarownica wskazując mu drzewo stojące na uboczu. - Jest ono zupełnie puste w środku. Wdrapiesz się na jego wierzchołek, a wówczas zobaczysz otwór, przez który się wślizniesz głęboko do środka. Obwiążę cię w pasie sznurem, a kiedy zawołasz, będę cię mogła wciągnąć z powrotem na górę.

- A po cóż mam wleźć do tego drzewa? - spytał żołnierz.

- Po pieniądze! - powiedziała czarownica. - Musisz wiedzieć, mój żołnierzu, że jak wejdiesz do środka, znajdziesz się w dużym korytarzu, będzie tam jasno, bo pali się tam przeszło sto lamp. Potem zobaczysz troje drzwi. Możesz je otworzyć, klucze tkwią w zamkach. Wejdiesz w pierwsze drzwi. Tam na środku izby, na skrzyni, siedzi pies, ma on oczy jak filiżanki, ale nic się nie bój. Dam ci mój fartuch w niebieskie paski, rozłożysz go na podłodze; potem podejdziesz szybko do psa, posadzisz go na fartuchu, otworzysz skrzynię i wyjmiesz tyle pieniędzy, ile zechcesz; będą to same miedziaki. Jeśli zechcesz mieć srebrne pieniądze, musisz iść do sąsiedniej izby; siedzi tam pies z oczyma jak młyńskie koła, ale nic się nie bój, posadź go na moim fartuchu i bierz pieniądze! Jeśli zechcesz złota, to możesz je także mieć, i to tyle, ile zdołasz udźwignąć, ale musisz wejść do trzeciej izby. Pies, który siedzi na skrzyni ze złotem, ma dwoje oczu, a każde z tych oczu jest tak wielkie jak Okrągła Wieża w Kopenhadze. To jest dopiero pies! Ale nic się nie bój! Posadź go tylko na moim fartuchu, a nic ci nie zrobi; potem łap ze skrzyni tyle złota, ile ci się podoba!

- To byłoby wcale niezłe - powiedział żołnierz - ale co ci mam dać za to, stara czarownico, bo czegoś przecież na pewno będziesz chciała!

- Nie - odrzekła czarownica - nie chcę ani grosika! Przynieś mi tylko stare krzesiwo, którego zapomniała moja babka, kiedy ostatni raz tam była.

- Zgoda - powiedział żołnierz. - Przewiąż mnie sznurem.

- Tu masz sznur - powiedziała czarownica - a tu mój niebieski fartuch w paski.

A więc żołnierz wlaź na drzewo, dał się spuścić na sznurze do środka i oto, jak mu wiedźma powiedziała, stał już w długim korytarzu, gdzie płonęły setki lamp.

Otworzył pierwsze drzwi. Brrr! Siedział tam pies z oczami jak filiżanki i gapił się na niego.

– Podobasz mi się, bratku - powiedział żołnierz, posadził go na fartuchu czarownicy i wziął tyle miedziaków, ile zmieściło mu się w kieszeni. Potem zamknął skrzynię, posadził na niej psa z powrotem i poszedł do drugiego pokoju. I doprawdy! Siedział tam pies z oczyma jak młyńskie koła.

– Nie patrz tak na mnie! - powiedział żołnierz. - Jeszcze cię oczy zabolą! - i posadził psa na fartuchu wiedźmy; a gdy zobaczył tyle srebra w skrzyni, wyrzucił wszystkie miedziaki i napchał sobie kieszenie i tornister samym srebrem. Potem przeszedł do trzeciej izby. Ach, to było okropne! Pies miał doprawdy dwoje oczu tak wielkich jak Okrągła Wieża w Kopenhadze, a kręciły się one w głowie niby koła.

– Dobry wieczór! - powiedział żołnierz i sięgnął do czapki, gdyż nigdy przedtem nie widział takiego psa; ale gdy mu się trochę przyjrzał, pomyślał sobie, że to wystarczy, posadził go na podłodze i otworzył skrzynię. Ach, mój Boże! Ileż tam było złota! Za te pieniądze mógł kupić całą Kopenhagę i wszystkie świnki z cukru od przekupek, wszystkich ołowianych żołnierzy i wszystkie baciki, i konie na biegunach z całego świata. To były pieniądze! Wtedy żołnierz wyrzucił wszystkie srebrne pieniążki, którymi miał napełnione kieszenie i tornister, a na to miejsce nabrał złota; wszystkie kieszenie, tornister, czapka i buty tak były pełne, że ledwo mógł się poruszać. Teraz miał pieniądze! Posadził psa z powrotem na skrzynię, zatrzasnął drzwi za sobą i zawołał w górę:

– Wyciągnij mnie teraz na górę, ty stara wiedźmo!

– A masz krzesiwo? - spytała czarownica.

– To prawda! - powiedział żołnierz - zupełnie zapomniałem! - Wrócił i zabrał krzesiwo. Wiedźma wciągnęła go na górę i oto stał już znowu na drodze, z kieszeniami, tornistrem, butami i czapką pełnymi pieniędzy.

– Po co ci to krzesiwo? - spytał żołnierz.

– Nic ci do tego, masz pieniądze! - powiedziała wiedźma - a teraz dawaj krzesiwo!

– Gadu! Gadu! - zawołał żołnierz - w tej chwili mi powiesz, po co ci to krzesiwo! Inaczej utnę ci głowę tą szablą!

– Nie - powiedziała czarownica.

Wtedy żołnierz odrąbał jej głowę. Miała za swoje! Żołnierz zawiązał całe swoje złoto w jej fartuch, zarzucił sobie, jak węzełek, na plecy, wsadził krzesiwo do kieszeni i ruszył prosto do miasta.

Piękne to było miasto. Wstąpił tam do najpiękniejszej gospody, zażądał najlepszych pokojów i potraw, bo był przecież bardzo bogaty teraz, gdy miał tyle pieniędzy.

Służący, który wziął mu buty do czyszczenia, dziwił się co prawda trochę, że taki bogaty pan nosi takie śmieszne, stare buty, ale on nie zdążył jeszcze kupić nowych; na drugi dzień

kupił sobie buty, w których można było się pokazać, i takie piękne ubranie! Teraz z żołnierza zrobił się wytworny pan. Ludzie opowiadali mu o wszystkich cudach miasta, o swoim królu i o tym, jaką śliczną księżniczką jest jego córka.

– Gdzie ją można zobaczyć? - spytał żołnierz.

– Nie można jej wcale zobaczyć - powiedzieli wszyscy razem - mieszka w wielkim, krytym miedzią pałacu, otoczonym mnóstwem murów i wież. Nikt prócz króla nie może do niej wchodzić, bo wywróżono jej, że wyjdzie za mąż za zwykłego żołnierza, a o tym król nie chce słyszeć!

"Chciałbym ją zobaczyć" - pomyślał żołnierz; ale to przecież było niemożliwe.

Tymczasem więc pędził wesołe życie, chadzał do teatru, zwiedzał ogród królewski, a biednym dawał zawsze dużo pieniędzy, co było bardzo ładnie z jego strony: pamiętał bowiem z dawnych czasów, jak to niedobrze być bez grosza!

Teraz był bogaty, miał piękne ubrania, wielu przyjaciół, którzy mówili mu, że jest dobrym człowiekiem i prawdziwym panem, a to się podobało żołnierzowi.

Ale pieniędzy wydawał codziennie dużo, a nowych nie przybywało, więc wkrótce wydał już prawie wszystko. Zostały mu tylko dwa szylingi; musiał wyprowadzić się z pięknych pokojów, w których mieszkał, zajął małą nędzną izdebkę na poddaszu, sam czyścił sobie buty i zeszywał je igłą do cerowania, a żaden z przyjaciół go nie odwiedzał, bo za wysoko było wchodzić.

Pewnego razu był ciemny wieczór, a żołnierz nie miał pieniędzy nawet na świecę, wtedy przypomniał sobie nagle, że w krzesiwie przyniesionym z dziupli, do której spuściła go czarownica, był mały ogarek; wyjął więc krzesiwo i ogarek, ale w tej samej chwili, gdy uderzył o krzemień, iskry posypały się z krzesiwa, drzwi otworzyły się z trzaskiem, stanął przed żołnierzem pies z oczyma jak filiżanki, którego widział w dziupli drzewca, i spytał:

– Co mi rozkaże mój pan?

– A to ci historia! - powiedział żołnierz. - A to dopiero zabawne krzesiwko, mogę mieć z niego, co zechcę. Przynieś mi trochę pieniędzy! - rozkazał psu, i hyc! już psa nie było! hyc! już był z powrotem i dźwigał w pysku dużą torbę pełną miedziaków!

Teraz żołnierz wiedział już, jakie to cudowne krzesiwa! Kiedy uderzał w nie raz, zjawiał się pies, który siedział na skrzyni z miedziakami; gdy uderzył dwa razy, przychodził ten, który miał srebro, a za trzykrotnym uderzeniem krzesiwa zjawiał się pies, który miał złoto.

Więc żołnierz wprowadził się z powrotem do pięknych pokojów, sprawił sobie znowu śliczne stroje i znowu pamiętali o nim wszyscy jego serdeczni przyjaciele i bardzo go kochali.

Pewnego razu żołnierz pomyślał sobie: "To jest jednak śmieszne, że nie mogę zobaczyć księżniczki. Wszyscy mówią, że jest prześliczna; co z tego, kiedy wciąż siedzi zamknięta pod

miedzianym dachem w zamku z tyłoma wieżami? Ale gdzie jest moje krzesiwo?" Zakrzesał ognia, hyc! już stał przed nim pies z oczyma jak filiżanki.

– Jest teraz co prawda północ - powiedział żołnierz - ale tak bardzo chciałbym zobaczyć księżniczkę, chociaż na chwileczkę!

Pies wypadł natychmiast za drzwi i zanim się żołnierz obejrzał, już był z powrotem, a na grzbiecie niósł księżniczkę; spała i była śliczna, że od razu można było poznać, iż jest to prawdziwa księżniczka; a żołnierz nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie pocałować, bo to był prawdziwy żołnierz.

A pies wrócił z księżniczką do zamku, a gdy nastał ranek i król i królowa pili herbatę poranną, księżniczka opowiadała, że miała tej nocy dziwny sen o psie i o żołnierzu. Pies niósł ją na grzbiecie, a żołnierz ją pocałował.

– To byłaby dopiero ładna historia! - zawołała królowa.

Następnej nocy jedna ze starych dam dworu czuwała przy łóżku księżniczki, aby się przekonać, czy to był sen, czy też coś innego.

Żołnierz tęsknił bardzo za widokiem ślicznej księżniczki, więc pies zabrał ją znowu i biegł z nią, jak najszybciej go nogi niosły, ale stara dama dworu włożyła kalosze i biegła za nimi; gdy zobaczyła, że znikają w bramie dużego domu, pomyślała: "No, teraz już wiem, gdzie to jest", i kawałkiem kredy nakreśliła na bramie duży krzyż. Potem wróciła do domu i położyła się z powrotem, a pies odniósł księżniczkę. Kiedy pies zobaczył, że na bramie domu, w którym mieszkał żołnierz, narysowano kredą krzyż, wziął kawałek kredy i tak samo naznaczył bramy wszystkich domów w całym mieście; było to bardzo mądre, gdyż w ten sposób dama dworu nie mogła znaleźć właściwych drzwi, ponieważ na wszystkich były krzyże.

Wczesnym rankiem król i królowa, dama dworu i wszyscy oficerowie przyszli, by zobaczyć to miejsce, gdzie była w nocy księżniczka.

– To tu! - powiedział król, gdy ujrzał pierwsze drzwi oznaczone krzyżem.

– Nie, to tu, mój drogi mężu! - powiedziała królowa wskazując drugie drzwi oznaczone krzyżem.

– Ale tu jest także krzyż, i tu, i tu! - zawołali wszyscy; gdziekolwiek spojrzeli, widzieli drzwi oznaczone krzyżem. Więc zrozumieli, że szukanie na nic się nie zda.

Ale królowa była bardzo mądrą kobietą, umiała ona nie tylko jeździć kareta.

Wzięła więc swe duże, złote nożyczki, pokrajała nimi kawałek jedwabiu na części i uszyła z nich śliczny woreczek, miszek ten napełniła drobną kaszą i przywiązała księżniczkę na plecach, a gdy wszystko było gotowe, wycięła w woreczku otworek, tak aby kasza znaczyła całą drogę, którą będzie jechała księżniczka.

W nocy zjawił się znowu pies, wziął księżniczkę na grzbiet i pobiegł z nią do żołnierza, który ją tak bardzo kochał i tak chciał być księciem, by móc się z nią ożenić.

Pies nie zauważył wcale kaszy, która sypała się od zamku aż do okna żołnierza, dokąd dostał się po murze razem z księżniczką.

Rano król i królowa już wiedzieli, gdzie była ich córka, schwytali żołnierza i wsadzili go do więzienia.

Siedział więc. Och, jak tam było ciemno i nudno!

Powiedzieli mu: "Jutro cię powieszają". Nie była to bardzo zabawna wiadomość, a krzesiwo zapomniał w gospodzie. Rankiem mógł widzieć przez żelazne kraty okienka lud śpieszący z miasta, aby przyglądać się, jak go będą wieszali. Słyszał werble bębnow i widział maszerujących żołnierzy. Wszyscy ludzie pędzili, a wśród nich mały szewczyk w skórzanym fartuchu i pantoflach; biegł tak szybko, że jeden pantofel spadł mu z nogi i uderzył o mur, za którym siedział żołnierz i wyglądał zza krat.

– Słuchaj, szewczyku! - zawołał żołnierz. - Nie śpiesz się tak bardzo i tak nic z tego nie będzie, póki ja nie przyjdę; jeżeli pobiegiesz tam, gdzie ja mieszkałem, i przyniesiesz mi krzesiwo, dostaniesz cztery szylingi. Ale musisz wziąć nogi za pas!

Szewczyk chciał bardzo zarobić cztery szylingi, pobiegł po krzesiwo, przyniósł je żołnierzowi, no a teraz posłuchajcie!

Za miastem zbudowano wysoką szubienicę, wokoło stali żołnierze i setki tysięcy ludzi. Król i królowa siedzieli na wspianiałym tronie, właśnie na wprost sędziów i całej rady.

Żołnierz stał już na drabinie; ale gdy mieli mu założyć stryczek na szyję, powiedział, że przecież przed wykonaniem wyroku powinno się spełnić każde niewinne życzenie grzesznika. On zaś pragnie wypalić fajkę, będzie to przecież ostatnia fajka w jego życiu.

Król nie chciał mu tego odmówić, żołnierz wyjął swe krzesiwo i zakrzesał ognia: raz! dwa! trzy! I oto już stały przed nim trzy psy: i ten z oczami jak filiżanki, i ten z oczami jak koła młyńskie, i ten z oczami jak Okrągła Wieża.

– Ratujcie mnie przed powieszeniem! - powiedział żołnierz. Wtedy psy rzuciły się na sędziów i na całą radę, schwyciły jednego za nogi, drugiego za nos i podrzuciły tak wysoko w powietrze, że upadli na ziemię i rozlecieli się na kawałki.

– Nie chcę! - powiedział król, ale już największy pies schwycił i jego, i królową, i podrzucił do góry jak innych. Wtedy to przestraszyli się żołnierze i cały lud, i krzyknęli:

– Drogi żołnierzu, bądź naszym królem, weź sobie śliczną księżniczkę!

I wsadzili żołnierza do karety króla, a wszystkie trzy psy tańczyły przed nią i wołały: "Hura!", chłopcy gwizdali na palcach, a żołnierze prezentowali broń. Księżniczka wyszła z zamku o miedzianym dachu i została królową, a to jej się bardzo podobało.

Wesele trwało cały tydzień, a psy siedziały przy stole razem ze wszystkimi i wytrzeszczały oczy.

Księżniczka na ziarnku grochu

Był raz sobie pewien książę, który chciał pojąć za żonę PRAWDZIWA księżniczkę. Jeździł po całym świecie i szukał tej jedynej, ale zawsze coś stawało mu na przeszkodzie.

Nie brakowało co prawda księżniczek, ale młodzieniec patrząc na wszystkie te piękne panny, nie mógł pozbyć się wrażenia, że nie są one stuprocentowymi księżniczkami.

Nie znalazłszy tej, której szukał, wrócił do ojcowskiego zamku smutny i zniechęcony.

Aż pewnego wieczora rozszalała się burza. Błyskało się i grzmiało, a deszcz lał się strumieniami. Nagle ktoś zastukał do bram miasta. Gdy je otworzono, oczom zdumionych mieszkańców ukazała się młoda dziewczyna.

Jak ona wyglądała! Woda ściekała z jej włosów i sukni, lała się do trzewików i wytryskiwała z ich końców w górę. Nie był to jednak koniec niespodzianek na ten wieczór - nieznajoma oświadczyła, że jest tą jedyną prawdziwą, poszukiwaną księżniczką!

– Ano, przekonamy się zaraz - pomyślała królowa-matka, ale głośno nie rzekła nic.

Poszła razem ze służkami, które przygotowywały sypialnię dla niespodziewanego gościa, zdjęła z łóżka całą pościel i położyła na deskach jedno małe ziarenko grochu. Potem przykryła je dwudziestoma materacami i jeszcze ułożyła na nich dwanaście puchowych pierzyn, jedną na drugiej.

Łóżko dla księżniczki było gotowe.

Rano królowa spytała ją, czy dobrze spała.

– O, niestety nie! - odparła księżniczka - Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Leżałam na czymś strasznie twardym, aż mam całe ciało posiniaczone i obolałe.

Po tym poznano, że to rzeczywiście jest PRAWDZIWA księżniczka. Bo tylko prawdziwa księżniczka mogła poczuć ziarenko grochu przez dwadzieścia materacy i dwanaście puchowych pierzyn!

Uszczęśliwiony książę wziął ją za żonę, a ziarenko grochu umieszczono w państwowym muzeum osobliwości i pewnie jest ono tam dziś (o ile gdzieś nie przepadło).

Taka to jest prawdziwa historia o prawdziwej księżniczce.

Latający kufer

Był raz kupiec tak bogaty, że mógł wybrukować talarami całą ulicę. Ale nie zrobił tego, bo używał pieniędzy w inny sposób. Ile razy dał talara, dostawał z powrotem trzy. Był to w istocie dobry kupiec, ale mimo to musiał umrzeć.

Jego syn odziedziczył dużo pieniędzy i żył wesoło, po całych nocach tańczył na maskaradach, a puszczając po wodzie kaczki, używał talarów zamiast kamieni. Wkrótce zostało mu ledwo kilka groszy, para butów i stary kubrak. Przyjaciele go opuścili, nie mogąc się z nim pokazać na ulicy; ale jeden z nich podarował mu stary kufer z napisem: "Pakuj się!". Była to bardzo życzliwa rada, ale nie do wykonania z powodu braku rzeczy do spakowania.

Kufer ten posiadał dziwną właściwość. Gdy się nacisnęło zamek, leciał na oślep w każdym żądanym kierunku, przy czym trzeszczał tak, jakby się miał zaraz rozpaść na drobne kawałki. Chłopiec siadł w kufer i pofrunął do kraju Turków. Ukrył kufer w lesie, a sam wyruszył do pobliskiego miasta.

Po pewnym czasie spotkał kobietę z małym dzieckiem.

– Przepraszam bardzo, cóż to za wielki pałac, z oknami tak wysoko umieszczonymi?

– Tam mieszka królowna! - odrzekła kobieta - Wyprorokowano jej, że będzie nieszczęśliwa z winy narzeczonego, dlatego pod nieobecność króla i królowej nie wolno się nikomu do niej zbliżać.

– Dziękuję! - powiedział syn kupca, wsiadł do kufra, osiadł na dachu pałacu i wszedł oknem do komnaty królowej.

Królowna spała na sofie, a była tak piękna, że ją pocałował. Zbudziła się bardzo przestraszona, ale chłopiec powiedział jej, że jest bogiem tureckim i to jej bardzo pochlebiło.

Usiedli obok siebie, a on wychwalał jej oczy, podobne ciemnym jeziorom, po których płyną myśli. Mówił, że jej czoło jest piękne i białe jak góra śnieżna. Opowiedział jej też bajkę o bocianie, który przynosi małe dzieci i wiele innych bajek. Potem oświadczył się jej i został przyjęty.

– Musisz przyjść w sobotę na herbatę - powiedziała - Ojciec i matka będą bardzo radzi, że wychodzę za boga. Tylko pamiętaj, żeby opowiedzieć piękną bajkę. Matka lubi tematy podniosłe i pouczające, a ojciec wesołe, z których można się śmiać.

– Tak, tak! Bajki to mój jedyny podarunek ślubny! - odparł. Potem rozstali się, a królowna podarowała mu szablę wysadzaną dukatami.

Chłopiec odleciał, kupił sobie nowe ubranie, siadł w lesie i zaczął pisać bajkę. Miała być gotowa do soboty.

Na dworze przyjęto go na uroczystej herbacie bardzo gościnnie, a królowa rzekła:

– Opowiedz nam, proszę, bajkę o treści podniosłej i pouczającej wielce.

– A jednocześnie śmieszną - dodał król.

– I owszem - odparł syn kupca i zaraz zaczął opowiadanie:

Była sobie raz paczka zapalek, dumna wielce ze swego pochodzenia. Jej prababką była ogromna, stara jodła. Kiedy zapalki były jeszcze zielonymi gałązkami, piły brylantową rosę, kapały się w promieniach słońca i kazały ptakom opowiadać bajki. Były bogatsze od innych drzew, gdyż stać je było nawet zimą na zieloną szatę. Pewnego dnia przyszli drwale i nastąpiło wielkie zamieszanie. Wódz rodu został jako maszt ustawiony na wielkim okręcie, grubsze konary stały się belkami, a drobne gałązki - zapalkami.

Wszystko to opowiadały zapalki staremu, żelaznemu garnkowi i krzesiwu, z którymi leżały razem na półce.

– Moja historia jest całkiem inna - oświadczył garnek. Od chwili urodzenia czyszczono mnie niezliczoną ilość razy i do dziś lubię, gdy po jedzeniu stanę sobie czysty na półce, by pogwarzyć rozsądnie z sąsiadami. Bardzo lubię kubel, z którym się czasem spotykam, a kosz targowy przynosi mi z miasta nowiny.

– Gaduła z ciebie - rzekło krzesiwo i uderzyło tak stalą w krzemień, że sygnął iskrami - Urządzmy sobie wesoły wieczór. - Tak, pomówmy o tym, kto z nas jest najdostojniejszy!

– Nie! Musiałbym mówić o sobie - rzucił gliniany garnek - a tego nie lubię. Niech każdy z nas opowie, co przeżył w świecie. A więc zaczynam. Nad morzem, w pobliżu duńskich zatok...

– Prześliczny początek! - zabrzczały talerze - To się na pewno wszystkim spodoba.

– Tak! Tam przeżyłem młodość u pewnej skromnej rodziny. Meble ciągle polerowano, czyszczono posadzki, a co dwa tygodnie zawieszano świeże firanki.

– Jak przejrzyste i barwne jest to opowiadanie! - powiedziała szczotka do zamykania - Czuć w tym kobiecie zamiłowanie do porządku.

– To prawda - przyznało wiadro i podskoczyło z brzękiem.

Garnek ciągnął dalej, a koniec był całkiem podobny do początku. Talerze zaszczękały z radości, a szczotka dobiła z kąta gałązkę pietruszki i uwieńczyła garnek w nadziei na rewanż. Krzesiwo postanowiło tańczyć i huknęło, podnosząc ciągle jedną nogę, tak że ze strachu pękło obicie na starym fotelu.

– Czy także zostaną uwieńczone? - spytało po skończeniu. I tak też się stało.

– Ach, cóż za hołota! - mruknęły do siebie zapalki.

Potem poproszono maszynkę do kawy, żeby zaśpiewała. Odmówiła jednak, tłumacząc się chrypką oraz tym, że może śpiewać tylko w gorącym stanie. Były to tylko wykręty, bo wołała śpiewać przy gościach, w jadalni...

Na oknie leżało stare pióro służącej. Nie posiadało innej zalety nad to, że tkwiło zbyt głęboko w atramencie.

– Jeśli maszynka do kawy nie chce śpiewać - odezwało się pióro - to można zaprosić słowika.

– Rzecz niesłychana, mielibyśmy słuchać jakiegoś przybłądy spoza kuchni! - zawołał czajnik, krewny maszynki.

– Jestem oburzony! - zawołał kosz targowy - Nudzimy się, zamiast się bawić. Dalej, niech każdy robi, co chce!

– Tak, hałasujmy! - zawołały wszystkie sprzęty.

Ale nagle weszła służąca. Całe zebranie zmartwiało. Każdy sprzęt był pewny, że gdyby jego posłuchano, wieczór wypadłby wspaniale. Służąca zaświeciła zapalną i roznieciła ogień. Ach, jakże trzaskał i świecił!

– Każdy widzi teraz, że jesteśmy pierwsze w całej kuchni - rzekły z dumą zapalną i zgasły.

– Prześliczna to bajka - powiedziała królowa - Duchem jestem po stronie zapalek. Tak, dostaniesz naszą córkę!

– Tak, dostaniesz królową - dodał król.

Ustalono dzień ślubu i oświetlono uroczyście całe miasto. Mieszkańcy dostali cukierki i ciasteczka, a ulicznicy gwizdali radośnie na palcach.

– Muszę i ja się przyczynić do uświetnienia tego dnia! - rzekł syn kupca, nakupił rakiet i najrozmaitszych sztucznych ogni, potem zaś wyleciał w powietrze swoim kufrem.

Zrobił się niesłychany zamęt. Ognie bengalskie napełniły powietrze hukami i światłem, jakiego dotąd nie widziano. Wszyscy byli pewni, że królowa poślubia boga.

Wysiadłszy w lesie ze swego kufra, chłopak chciał zasięgnąć wieści, co o nim mówią w mieście.

Każdy głosił co innego, ale wszyscy byli zachwyceni.

– Widziałem samego boga! - wołał jeden - Oczy jego błyszczały jak gwiazdy, a broda przypominała spieniony górski potok!

– Leciał okryty płaszczem z płomieni, a pośród zwojów widniały głowy aniołów!

Nazajutrz miało się odbyć wesele.

Syn kupca wrócił do lasu chcąc zabrać kufer... ale cóż się okazało? Oto mała isierka zatliła stare, suche drzewo i cudowny kufer doszczętnie spłonął! Nie mógł już latać i udawać boga! Nie mógł się pokazać na oczy narzeczonej! Ona zaś stała przez cały dzień na dachu, czekając na niego. Stoi tam jeszcze pewnie do dziś. A chłopak wędruje po świecie i opowiada bajki, ale żadna nie jest już tak wesoła, jak bajka o zapalkach.

Mała Syrena

Daleko na morzu woda jest tak błękitna jak płatki najpiękniejszych bławatków i tak przezroczysta jak najczystsze szkło, ale jest bardzo głęboka, tak głęboka, że jej dna nie sięga żadna kotwica; trzeba by ustawić wiele wież kościelnych jedne na drugich, aby sięgnęły od dna aż ponad wodę. Tam na dole mieszka lud morski.

Ale nie myślcie, że jest tam tylko nagie, piaszczyste dno, nie - rosną tam najpiękniejsze drzewa i rośliny o łodygach i liściach tak giętkich, że poruszają się przy najlżejszym ruchu wody tak jak żywe stworzenia. Wszystkie ryby małe i duże przemykają pomiędzy gałęziami jak ptaki w powietrzu. W najgłębszym miejscu stoi zamek króla mórz mury ma z koralu, wysokie spiczaste okna z najczystszej bursztynu, a dach tworzą muszle, które otwierają się i zamykają, w miarę jak faluje woda; wygląda to prześlicznie, bo w każdej muszli znajdują się promienne perły, jedna jedyna byłaby już skarbem w koronie królewskiej. Król mórz, tam na dole, był od wielu lat wdowcem, a jego stara matka zajmowała się gospodarstwem; była to mądra kobieta, ale dumna ze swego pochodzenia i dlatego nosiła w ogonie dwanaście ostróg, gdy inne wykwintne damy mogły nosić tylko sześć. Lecz poza tym była godna szacunku, gdyż kochała bardzo małe morskie księżniczki, swoje wnuczki. Było ich sześć, wszystkie były ładne, ale najmłodsza była najładniejsza ze wszystkich, cerę miała tak przezroczystą i delikatną jak płatek róży, oczy tak błękitne jak najgłębsze morze, ale tak samo jak inne nie miała nóg, jej ciało kończyło się rybim ogonem.

Przez cały długi dzień dzieci mogły się bawić na dole w zamku, gdzie żywe kwiaty wyrastały wszędzie ze ścian. Otwierano wielkie, bursztynowe okna i wtedy podpływały do nich ryby, tak jak do nas przylatują jaskółki, kiedy otwieramy okna, ale ryby przyplływały zupełnie blisko do małych księżniczek, jadły z ich ręki i dawały się głaskać.

Przed zamkiem był duży ogród z płomiennoczerwonymi i ciemnobłękitnymi drzewami, owoce błyszcząły jak złoto, a kwiaty jak płonący ogień i ciągle poruszały łodygami i listkami.

Grunt tworzył najdelikatniejszy piasek, niebieski jak płomień siarki. Nad wszystkim zaś unosił się cudowny, błękitny blask, wydawać się mogło raczej, że jesteśmy wysoko w powietrzu i że mamy pod sobą i nad sobą tylko niebo, a nie, że to dno morza. Kiedy nie było wiatru, widać było słońce; wyglądało ono jak purpurowy kwiat, z którego kielicha lało się światło.

Każda z małych księżniczek miała w ogrodzie swoją grządkę, na której mogła sadzić i kopać, jak jej się podobało; jedna nadała swojej kształt wieloryba, inna wolała, by jej grządka przypominała małą syrenę, ale najmłodsza zrobiła swoją grządkę zupełnie okrągłą jak słońce i zasadziła na niej tylko czerwone kwiaty, tak czerwone jak słońce. Była ona niezwykle dzieckiem, cicha i zamyślona; podczas gdy inne siostry ozdabiały swoje grządki najdziwniejszymi przedmiotami, które znajdowały w zatopionych okrętach, ona prócz czerwonych kwiatów, podobnych do słońca tam w górze, wybrała sobie tylko jeden posąg.

Był to przepiękny chłopiec, wyrzeźbiony z białego marmuru, który spadł na dno morza przy zatonięciu okrętu. Obok posągu syrenka zasadziła czerwoną wierzbę płaczącą, która rosła pięknie i zwieszała swoje giętkie gałęzie aż do piaszczystego, błękitnego dna, gdzie cień zdawał się fioletowy i kołysał się bezustannie, tak samo jak gałęzie; wyglądało to, jak gdyby wierzchołek i korzenie bawiły się w pocałunki.

Nie było dla syrenki większej radości, jak słuchać o świecie ludzi mieszkających w górze; stara babka musiała wszystko opowiadać, co wiedziała o statkach i miastach, ludziach i zwierzętach, wydawało jej się to cudownie piękne, że tam na górze, na ziemi, pachną kwiaty; na dnie morza one nie pachniały - i że lasy są zielone, i że ryby, które przepływały tu pomiędzy drzewami, tam tak głośno i pięknie śpiewają, aż rozkoszą jest słuchać; miały to być ptaszki, ale babka nazywała je rybami, bo księżniczki inaczej nie zrozumiałyby, nie widziały przecież nigdy żadnego ptaka.

– Kiedy skończycie piętnaście lat - powiedziała babka - pozwolę wam wynurzyć się z wody i będziecie mogły usiąść na skałach i patrzeć przy blasku księżyca na wielkie przepływające okręty, i zobaczycie lasy i miasto!

Następnego roku jedna z sióstr skończy piętnaście lat, ale inne?... Każda z nich była o rok młodsza od poprzedniej, a więc najmłodsza miała przed sobą jeszcze całe pięć lat do czasu, kiedy będzie mogła wypłynąć na powierzchnię i zobaczyć świat. Ale jedna siostra obiecywała drugiej opowiedzieć o tym, co widziała pierwszego dnia i co uważała za najładniejsze, bo stara babka nie opowiedziała im jeszcze wszystkiego i pozostało jeszcze tyle rzeczy, o których chciały się dowiedzieć.

Żadna nie była tak niecierpliwa jak najmłodsza, ta właśnie, która musiała najdłużej czekać i która była taka cicha i zamyślona. Czasami w nocy stawała przy otwartym oknie i patrzyła w górę poprzez ciemnobłękitne morze, gdzie ryby pluskały swymi płetwami i ogonami. Widziała księżyc i gwiazdy, połyskiwały wprawdzie bardzo słabo, ale poprzez wodę wydawały się blade i o wiele większe, niż się nam wydają; gdy prześlizgiwała się pod nimi czarna chmura, syrena wiedziała, że to jest albo wieloryb, albo statek z wieloma ludźmi, przepływający nad zamkiem; z pewnością nie wiedzieli oni, że śliczna, mała syrena stała tam na dole i wyciągała białe ręce do okrętu.

Wreszcie najstarsza księżniczka skończyła piętnaście lat i mogła wypłynąć na powierzchnię.

Kiedy wróciła, miała do opowiedzenia tysiące rzeczy, ale mówiła, że najpiękniej jest leżeć na piaszczystym brzegu w blasku księżyca, kiedy morze jest spokojne, w pobliżu zatoki i wielkiego miasta, gdzie światła błyszczą jak tysiące gwiazd; słuchać muzyki, gwaru ludzi, turkotu pojazdów; patrzeć na liczne wieże i iglice, słuchać, jak biją dzwony kościelne; właśnie dlatego że nie mogła być tam, podobało jej się to najbardziej.

Ach, jakże przysłuchiwała się tym opowiadaniom najmłodsza siostra! Kiedy potem wieczorem stała przy otwartym oknie i patrzyła w ciemnobłękitną wodę, myślała o wielkim

mieście, o ruchu i gwarze, i wtedy wydawało jej się, że aż tutaj dolatuje odgłos kościelnych dzwonów.

W rok potem druga siostra otrzymała pozwolenie wydostania się nad wodę i popłynięcia, dokąd będzie chciała. Wypłynęła właśnie wtedy, kiedy zachodziło słońce, i tę chwilę uważała za najpiękniejszą. Całe niebo wyglądało jak złoto, opowiadała, a chmury - ich piękności nie mogła dość opisać; płynęły nad nią czerwone i fioletowe, ale o wiele prędej od nich płynęło, jak długi biały welon, stado dzikich łabędzi wprost w słońce; i ona płynęła do słońca, ale słońce zaszło, a różany odblask zgasł na powierzchni morza i w obłokach.

W rok później siostra wypłynęła w górę, ta była najodważniejsza i dlatego popłynęła aż do wielkiej rzeki, która wpadała do morza. Widziała śliczne, zielone pagórki okryte winnicami, zamki, dwory wśród wspaniałych lasów; słyszała, jak śpiewały ptaki, a słońce grzało tak mocno, że musiała często zanurzać się w wodzie, aby ochłodzić rozpaloną twarz. W małej zatoczce spotkała całą gromadę małych ludzkich dzieci; biegały zupełnie nago dookoła i pluskały się w wodzie, chciała się z nimi bawić, ale uciekły przerażone i wtedy przyszło małe, czarne zwierzątko, był to pies, ale ona nigdy jeszcze nie widziała psa, a szczekał tak strasznie, że przestraszyła się go i uciekła na otwarte morze. Ale nigdy nie zapomni wspaniałych lasów, zielonych wzgórz i ślicznych dzieci, które pływały w wodzie, chociaż nie miały rybiego ogona.

Czwarta siostra nie była taka odważna, została na pełnym morzu i mówiła, że właśnie tam było najpiękniej; widzi się naokoło siebie wielomilową przestrzeń, a niebo rozpościera się jak wielki szklany dzwon. Widziała okręty, ale z daleka wyglądały jak mewy; zabawne delfiny fikały koziołki, a wielkie wieloryby parskały wodą z dziurek od nosa. Wyglądało to jak tysiące fontann dookoła.

Przyszła kolej na piątą siostrę; jej urodziny wypadały właśnie w zimie, i dlatego widziała to, czego inne nie widziały. Morze było zupełnie zielone i naokoło pływały wielkie lodowe góry.

Mówiła, że każda z nich wyglądała jak perła, a jednak były o wiele, o wiele większe niż wieże kościelne, które budują ludzie. Ukazywały się w najdziwniejszych postaciach i błyszczały jak diamenty. Usiadła na największej z nich, wszyscy żeglarze okrążali z przerażeniem górę lodową, na której siedziała, a wiatr bawił się jej długimi włosami. Pod wieczór niebo zaciągnęło się chmurami, błyskało i grzmiało, góry lodowe na czarnym morzu wznosiły się i połyskiwały w jaskrawym blasku błyskawic. Na wszystkich okrętach zwinięto żagle, ogarnął wszystkich strach i przerażenie, ale ona siedziała spokojnie na pływającej górze lodowej i widziała niebieską błyskawicę, spadającą zygzakami na błyszczące morze.

Gdy która z siostr wypływała po raz pierwszy na morze, zachwycona była nowością i pięknem tego, co widziała, ale ponieważ teraz jako dorosłe dziewczyny mogły wypływać na morze, kiedy tylko chciały, było im to już zupełnie obojętne, tęskniły znowu do domu i po upływie miesiąca mówiły, że tam u nich na dole jest najpiękniej i że w domu jest najlepiej.

Często o wieczornej godzinie wszystkie siostry brały się za ręce i wznosiły się rzędem wysoko na wodzie; miały przepiękne głosy, piękniejsze niż jakikolwiek człowiek, a kiedy zbierało się na burzę i myślały, że okręty rozbiją się, podpływały pod statek i śpiewały o tym, jak pięknie jest na dnie morza, prosiły marynarzy, aby nie bali się zejść na dno; ale ci nie rozumieli ich słów i myśleli, że to burza szumi, zresztą nie oglądaliby cudów dna morskiego, bo kiedy okręt się pograżał, ludzie tonęli i przybywali już tylko jako trupy do zamku morskiego króla.

Kiedy wieczorem siostry wypływały ręka w rękę na powierzchnię morza, ich mała siostrzyczka zostawała zupełnie sama i czuła, że jej się zbiera na płacz, ale syreny nie znają łez i dlatego o wiele bardziej cierpią.

– Ach, kiedy już będę miała piętnaście lat! - mówiła. - Wiem, że pokocham ten świat i ludzi, którzy tam mieszkają!

Wreszcie skończyła piętnaście lat.

– Oto i ty pójdziesz własnymi drogami - powiedziała babka, stara królowa-wdowa. - Chodź, niech cię ubiorę tak jak twoje siostry. - I włożyła jej na włosy wianek z białych lili, każdy płatek kwiatu był połową perły, potem przymocowała księżniczce do ogona osiem dużych ostrzyg na znak jej wysokiego pochodzenia.

– To boli - powiedziała syrena.

– Trzeba cierpieć, aby godnie wyglądać - odpowiedziała babka.

Ach, jakże chętnie mała syrena zrzuciłaby z siebie ten cały przepych i pozbyła się ciężkiego wianka; czerwone kwiaty z jej ogródka ozdobiłyby ją o wiele ładniej, ale nie odważyła się tego zrobić. - Do widzenia - powiedziała i uniosła się jasna i powiewna jak mydlana bańka nad powierzchnią wody.

W chwili kiedy wynurzyła głowę nad wodę, słońce zaszło, ale chmury połyskiwały jeszcze jak róże i złoto, a w różowym powietrzu błyszcząca wieczorna gwiazda, jasna i piękna; powietrze było łagodne i świeże, morze spokojne. W pobliżu stał wielki statek z trzema masztami, tylko jeden żagiel był rozwinięty, bo nie było najmniejszego wiatru, a na rejach siedzieli marynarze. Rozlegała się muzyka i śpiew, a w miarę jak się ściemniało, zapalano setki kolorowych latarni; wyglądało tak, jakby w powietrzu powiewały flagi wszystkich narodów. Mała syrena podpłynęła tuż do okienka i za każdym razem, kiedy woda podnosiła ją do góry, mogła zajrzeć przez przejrzyste szyby do wnętrza, gdzie stało wiele pięknie ubranych ludzi, ale najpiękniejszy ze wszystkich był młody książę o dużych, czarnych oczach; nie miał na pewno więcej niż szesnaście lat, i to właśnie jego urodziny obchodzono z taką paradą. Marynarze tańczyli na pokładzie, a kiedy młody książę wyszedł do nich, wystrzeliły w powietrze niezliczone rakiety, świeciły jak jasny dzień, tak że mała syrena przestraszyła się i schowała pod wodę, ale zaraz potem wysunęła znowu głowę i wtedy wydawało jej się, że spadają na nią wszystkie gwiazdy z nieba. Nigdy dotąd nie widziała sztucznych ogni. Wielkie słońca obracały się z sykiem, wspaniałe, ogniste ryby wylatywały w błękitne powietrze, a wszystko to odbijało się w pogodnym, cichym morzu. Na samym statku

było tak jasno, że widać było każdą kroplę rosy, nie mówiąc już o ludziach. A jakże piękny był młody książę, ścisnął ludzi za ręce, uśmiechał się radośnie, a muzyka rozbrzmiewała wśród cudnej nocy.

Było już późno, ale mała syrena nie mogła oderwać oczu od statku i od pięknego księcia. Zgaszono kolorowe latarnie, rakiety przestały tryskać w górę, nie słychać było wystrzałów, tylko w głębi morza coś szumiało i grzmiało. Syrena siedziała na wodzie kołysząc się w górę i na dół, tak że mogła zaglądać do kajuty; statek popłynął szybciej, rozwijano jeden żagiel za drugim, fale stawały się coraz to silniejsze, nadciągały wielkie chmury i w oddali błyskało. Cóż to będzie za straszna burza! Toteż marynarze zwinęli żagle. Wielki statek kołysał się, szybował po rozhukanym morzu; fale podnosiły się jak wielkie, czarne góry usiłując runąć na maszty, lecz statek zanurzał się tylko między wysokie bałwany, jak łabędź, i znowu wypływał na powierzchnię spiętrzanej wody. Syrenę bawił ten widok, ale żeglarze byli innego zdania. Statek trzeszczał i jęczał, grube belki gięły się pod ciężkimi uderzeniami fal, maszt przelamał się pośrodku jak trzcina, statek przechylił się na bok i woda zaczęła wlewać się do wnętrza. Dopiero teraz syrenka dostrzegła, że ludzie byli w niebezpieczeństwie; sama musiała się mieć na baczności przed belkami i deskami okrętu, unoszącymi się na wodzie. Przez chwilę było zupełnie ciemno, tak że nic nie było widać, ale kiedy potem błysnęło, zrobiło się znowu jasno i mogła rozpoznać wszystkich na statku. Każdy myślał tylko o sobie, a syrenka szukała przede wszystkim księcia i kiedy statek zaczął już tonąć, dostrzegła, jak się pogrążył w głębokiej wodzie. W pierwszej chwili ucieszyła się bardzo, że oto pójdzie na dno, do niej, ale potem przyszło jej na myśl, że przecież ludzie nie mogą żyć w wodzie i że książę dostanie się na zamek jej ojca jedynie jako trup. "Nie, on nie może umrzeć" - pomyślała. I przepłynęła pomiędzy belkami i deskami, unoszącymi się na wodzie, zapominając zupełnie, że mogą ją zmiażdżyć, zanurzała się głęboko w wodę i wznosiła znowu na falach; w ten sposób udało się jej dotrzeć do młodego księcia, który nie mógł już utrzymać się na wzburzonym morzu; ręce i nogi zaczynały mu omdlewać, piękne oczy zamknęły się; gdyby mała syrena nie przybyła do niego, musiałby umrzeć. Trzymała jego głowę nad wodą i dawała się unosić falom, dokąd chciały.

Nad ranem burza przeszła; ze statku nie zostało ani śladu; słońce wzeszło czerwone i jarzące nad wodą. Wydawało się przy jego świetle, że policzki księcia nabierają życia, ale oczy pozostały zamknięte; syrena pocałowała go w wysokie, piękne czoło i odgarnęła jego mokre włosy; wydawało jej się, że był podobny do marmurowego posągu w jej małym ogródku, pocałowała go jeszcze raz, życząc mu, aby odzyskał przytomność.

A wreszcie zobaczyła przed sobą stały ląd, wysokie, błękitne góry, na których wierzchołkach lśnił biały śnieg, jak gdyby spoczywały tam łabędzie; w dole na wybrzeżu ciągnęły się śliczne, zielone lasy, a wśród nich stał gmach - kościół czy też klasztor, co trudno było odróżnić. W ogrodzie rosły cytrynowe i pomarańczowe drzewa, a przed bramą stały wysokie palmy. Morze tworzyło tu małą, cichą, ale głęboką zatokę, która błyszczała jak zwierciadło i kończyła się pod skałą ławicą ślicznego, białego piasku; tutaj przyplęnęła syrena z pięknym księciem i ułożyła go na piasku tak, aby głowa była wyżej, w ciepłym blasku słońca.

W dużym, białym gmachu zabrzmiały dzwony i do ogrodu przyszło dużo młodych dziewcząt. Wtedy syrena odpłynęła znowu dalej, za wysokie kamienie wystające z wody, okryła swe włosy i piersi mokrą pianą, aby nikt nie zauważył jej małej twarzyczki, i patrzyła uważnie, kto zbliży się do biednego księcia.

Wkrótce podeszła do niego jakaś młoda dziewczyna; z początku wydawała się przerażona, ale tylko przez chwilę; potem sprowadziła ludzi i syrena zobaczyła, że księżę wraca do życia, że uśmiecha się do wszystkich dookoła; tylko do niej nie uśmiechał się, bo nie wiedział przecież wcale, że to ona go uratowała. Zasmuciła się syrena i kiedy księcia wprowadzono do dużego gmachu, zanurzyła się zmartwiona w wodę i wróciła do domu, na zamek swego ojca.

Mała syrena była zawsze cicha i zamyślona, ale teraz stała się jeszcze cichsza. Siostry pytały ją, co widziała po raz pierwszy na powierzchni morza, ale nie opowiadała im nic.

Często wieczorem lub rano płynęła do tego miejsca, gdzie zostawiła księcia. Widziała, jak dojrzewały owoce w ogrodzie, widziała, jak je zrywano, widziała, jak na wysokich górach tajał śnieg, ale księcia nie widziała, i dlatego wracała do domu za każdym razem coraz bardziej smutna. Jej jedyną pociechą było siedzieć w ogródku i obejmować ramionami marmurowy posąg, który był podobny do księcia, ale nie pielęgnowała już swych kwiatów, rosły dziko, ich długie łodygi i liście posplatały się z gałęziami drzew tak, że w gąszczu tym było zupełnie ciemno...

Wreszcie mała syrena nie mogła już dłużej taić swego smutku i opowiedziała o nim jednej ze swoich sióstr, od niej zaś dowiedziały się wkrótce wszystkie inne, ale nie wiedział o tym nikt więcej prócz księżniczek i paru innych syren, które zwierzyły się z tą tajemnicą tylko swoim najlepszym przyjaciółkom. Jedna z syren miała dokładne wiadomości o księciu; ona również widziała święto na okręcie, wiedziała, skąd księżę pochodzi i gdzie leży jego królestwo.

– Pójdź, siostrzyczko! - powiedziały inne księżniczki i objawszy się wypłynęły sznurem na powierzchnię morza w tym miejscu, gdzie wiedziały, że stał zamek księcia.

Był zbudowany z jasnożółtego, błyszczącego kamienia, miał szerokie, marmurowe schody, prowadzące do samego morza. Wspaniałe, złożone kopuły wznosiły się na dachu, a pomiędzy kolumnami, otaczającymi cały budynek, stały marmurowe posągi, które wyglądały jak żywe. Przez przezroczyste szkło wysokich okien widać było wspaniałe komnaty, gdzie wisiały drogie jedwabne zasłony i dywany, a wszystkie ściany ozdobione były wielkimi obrazami, których widok sprawiał prawdziwą rozkosz. Pośrodku największej sali pluskała duża fontanna, strumienie wznosiły się aż do szklanej kopuły w suficie, słońce odbijało się w wodzie i oświetlało wspaniałe rośliny, rosnące w wielkim basenie.

Syrena wiedziała więc teraz, gdzie mieszka księżę, i często wieczorem i w nocy ukazywała się tu na wodzie; przyplýwała o wiele bliżej do brzegu, niż mogła się odważyć każda inna syrena; płynęła wąskim kanałem aż do wspaniałego, marmurowego balkonu, rzucającego długi cień na wodę. Siedziała tu i patrzyła na młodego księcia, któremu się zdawało, że jest zupełnie sam w jasnym blasku księżycy.

Nieraz wieczorem widywała go, jak płynął z muzyką w łodzi ubranej flagami; ukrywała się w zielonym sitowiu, a kiedy wiatr poruszał jej długim, srebrnobiałym welonem, mogło się zdawać, że to jest łabędź zrywający się do lotu.

Czasami w nocy słyszała, jak rybacy, łowiąc ryby na morzu przy świetle pochodni, opowiadali wiele dobrego o księciu, a wtedy cieszyła się, że uratowała mu życie, kiedy na pół martwy unosił się na falach, i myślała o tym, jak ciężko głowa jego spoczywała na jej piersiach i jak serdecznie go pocałowała; on jednak nic o tym nie wiedział i nie mógł nawet marzyć o niej.

Coraz bardziej zaczęła kochać ludzi, coraz silniej pragnęła przebywać między nimi, świat ludzi wydawał jej się o wiele większy niż jej świat, ludzie mogą przecież pływać statkami po morzu, mogą wspinać się na wielkie szczyty wysoko aż pod chmury, a kraje, które do nich należą, ciągną się lasami i polami o wiele dalej, niż sięga jej wzrok. Było tyle rzeczy, o których chciała się dowiedzieć, ale siostry nie potrafiły odpowiedzieć na jej pytania i dlatego spytała starą babkę; znała ona bardzo dobrze wyższy świat i słusznie nazywała go Ponadmorskim Krajem!

– Czy ludzie, którzy nie toną w morzu - spytała mała syrena - mogą żyć wiecznie, czy nie umierają, tak jak my, na dnie morskim?

– Gdzież tam - powiedziała stara - i ludzie umierają, ich życie trwa jeszcze krócej niż nasze. My możemy dożyć trzystu lat, ale kiedy kończymy życie, zmieniamy się w pianę morską i nie mamy nawet grobu tu, pomiędzy naszymi bliźnimi. Nie mamy nieśmiertelnej duszy, nie możemy się odrodzić, jesteśmy jak zielone sitowie: kiedy się je raz zerwie, nie może już nigdy być zielone; ludzie zaś mają duszę, która żyje wiecznie, żyje nawet wtedy, gdy ciało staje się prochem, wznosi się poprzez jasne przestworza aż do błyszczących gwiazd. Tak jak my wynurzamy się z morza by oglądać kraje i ludzi, podobnie oni wznoszą się do nieznanых, cudownych miejsc, których my nigdy nie zobaczymy.

– Dlaczego my nie mamy nieśmiertelnej duszy? - spytała zmartwiona syrena.

– Oddałabym te setki lat, które mam jeszcze do przeżycia, aby być przez jeden jedyny dzień człowiekiem i potem dostać się do niebiańskich krain.

– Nie trzeba, abyś sobie tym zaprzętała głowę - powiedziała stara - my jesteśmy o wiele szczęśliwsi i o wiele lepiej żyjemy niż ludzie tam w górze.

– Mam więc umrzeć i pływać jako piana na morzu, nie słyszeć więcej muzyki fal ani nie widzieć pięknych kwiatów i czerwonego słońca? Czyż nic nie mogę zrobić, aby zdobyć nieśmiertelną duszę?

– Nie - powiedziała stara. - Chyba że jakiś człowiek pokocha cię tak, że staniesz mu się droższa od ojca i od matki, przywiąże się do ciebie wszystkimi myślami i całą duszą, ksiądz zwiąże wasze ręce przysięgą wierności na ziemi na całą wieczność, wtedy jego dusza przejdzie do twojego ciała i będziesz dopuszczona do udziału w przyszłym ludzkim szczęściu. Obdarzy cię wówczas duszą, a zatrzyma jednak swoją własną.

Ale to się prawdopodobnie nie zdarzy. To, co tu w morzu jest takie ładne, twój rybi ogon, na ziemi uważane jest za brzydkie, nie rozumieją się na tym wcale; tam żeby być piękną, trzeba mieć dwie ciężkie podpory, które ludzie nazywają nogami.

Mała syrena westchnęła i ze smutkiem spojrzała na swój ogon.

– Nie martw się! - powiedziała stara. - Skaczymy i tańczmy przez trzysta lat, które mamy żyć, to chyba dosyć czasu, a potem tym przyjemniej będzie wypocząć w grobie. Dziś wieczór będziemy mieli dworski bal!

Była to wspaniała uroczystość, jakiej nikt nie ogląda na ziemi. Ściany i sufit w wielkiej sali do tańca były z grubego, ale przezroczystego szkła. Pod ścianą stały rzędem setki olbrzymich muszel, czerwonych jak róże i zielonych jak trawa, a w muszlach tych płonął błękitny ogień, oświetlający całą salę i prześwietlający przez szklane ściany całe morze dookoła, tak, że widać było niezliczone ryby, małe i duże, przyplływające do szklanych ścian; na niektórych połyskiwały purpurowe łuski, a inne wyglądały jak zrobione ze srebra i złota. Pośrodku sali przepływał szeroki, rwący strumień, a na nim syreny i trytony tańczyły przy dźwiękach własnego słodkiego śpiewu. Ludzie na ziemi nie mają tak pięknego głosu. Mała syrena śpiewała najpiękniej, wszyscy oklaskiwali jej śpiew; i przez chwilę syrena czuła radość w sercu, bo wiedziała, że ma najpiękniejszy głos ze wszystkich na ziemi i w morzu. Ale zaraz potem znowu przyszły myśli o świecie na górze; nie mogła zapomnieć o pięknym księciu i smutno jej było, że nie ma, tak jak on, nieśmiertelnej duszy. Dlatego też wymknęła się z zamku ojca i podczas gdy wszyscy śpiewali i bawili się, siedziała smutna w swoim małym ogródku. Nagle usłyszała dźwięk myśliwskiego rogu, dochodzący ku niej poprzez wodę, i pomyślała: "Oto płynie sobie tam w górze ten, którego kocham więcej niż ojca i matkę, ten, do którego należą moje myśli, ten, komu bym chciała powierzyć szczęście mojego życia. Odważę się na wszystko, by zdobyć jego nieśmiertelną duszę. Podczas gdy moje siostry tańczą na zamku, pójdę do czarownicy morza, do tej, której się tak zawsze bałam, tylko ona może mi poradzić i pomóc!" I oto mała syrena porzuciła swój ogródek i poszła w stronę gotującego się wiru, za którym mieszkała czarownica. Nigdy jeszcze nie szła tą drogą; nie rosły tu kwiaty ani morska trawa, goły, szary piasek ciągnął się aż do wiru, gdzie woda rwała jak szumiące młyńskie koła i porywała za sobą w głębię wszystko, co tylko mogła schwycić. Aby dostać się do państwa czarownicy, musiała syrena przejść przez rwące wiry, nie było tu innej drogi jak poprzez bulgocący gorący szlam, który czarownica nazywała swoją łączką. Dalej stał jej dom wśród osobliwego lasu. Wszystkie drzewa i krzaki tutaj były to polipy, na pół zwierzęta, na pół rośliny, wyglądały jak stugłowe węże wyrastające z ziemi. Gałęzie były to długie, lepkie ramiona o palcach jak giętkie robaki. Każdy kawałek tych drzew od korzeni aż do wierzchołków poruszał się bezustannie. Wszystko, co morze porwało, ścisnęły te potwory w swych objęciach i nie wypuszczały już nigdy.

Syrena zatrzymała się przerażona; serce biło jej ze strachu, o mało co nie zawróciła, ale pomyślała o księciu i o zdobyciu ludzkiej duszy i to jej dodało odwagi. Splotła mocno na głowie swe długie, puszyste włosy, aby polipy nie mogły ich schwycić, obie ręce złożyła na piersiach i pomknęła, jak ryba potrafi mknąć w wodzie, pomiędzy obrzydliwymi polipami, które wyciągały już do niej swoje giętkie ramiona i palce. Zauważyła, że każdy z tych

potworów trzyma coś w objęciach, tysiącem drobnych ramion ściskając jak żelazną obręczą. Ludzie, którzy zginęli w morzu i spadali głęboko na dno, wynurzali się z ramion polipów w postaci białych kości. Ścisnęły one wiosła i skrzynie, szkielety domowych zwierząt i nawet malutką syrenę, którą pojmały i zadęczyły na śmierć - to było chyba najstraszniejsze.

Przybyła wreszcie do dużego, błotnistej miejsca w lesie, gdzie kłębiły się wielkie, tłuste węże, pokazując wstrętne, białozółte podbrzusza. Pośrodku na tym miejscu stał dom zbudowany z kości topielców; siedziała tam czarownica i karmiła ze swych ust ropuchę, tak jak ludzie dają kanarkowi do zjedzenia cukier. Brzydkie, tłuste węże wodne nazywała swoimi kurczakami i pozwalała im pełzać po swoich wielkich, gąbczastych piersiach.

- Wiem dobrze, czego chcesz! - powiedziała czarownica - robisz głupstwo, zrobię jednak, co chcesz, bo to doprowadzi cię do nieszczęścia, moja piękna księżniczko. Chciałabyś się pozbyć rybiego ogona, zamiast tego mieć dwie podpory, na których mogłabyś chodzić jak ludzie, aby księżę się w tobie zakochał i abyś miała jego i nieśmiertelną duszę.

Tu czarownica zaśmiała się tak głośno i wstrętne, że ropucha i węże upadły na ziemię i wiły się u jej stóp.

- Przychodzisz w samą porę - powiedziała czarownica. - Gdybyś przyszła jutro po wschodzie słońca, nie mogłabym ci pomóc przed upływem roku. Przygotuję ci napój, musisz popłynąć z nim, zanim słońce wzejdzie, aż na ląd, usiąść na brzegu i wypić go, wtedy odpadnie ci ogon i skurczy się w to, co ludzie nazywają pięknymi nóżkami, ale to będzie bolało tak, jakby przeszył cię ostry miecz. Wszyscy, którzy cię zobaczą, będą mówili, że jesteś najpiękniejszym ludzkim stworzeniem, jakie widzieli. Zachowasz swój powiewny chód, żadna tancerka nie potrafi tak się kołysać jak ty, ale za każdym krokiem, jaki uczynisz, poczujesz ból, jakbyś stąpała po ostrzu noża, jakbyś doznawała krwawych ran. Jeżeli zgodzisz się to wszystko znieść, spełnię twoje życzenie.

- Tak - odpowiedziała mała syrena drżącym głosem i pomyślała o księciu i o nieśmiertelnej duszy.

- Ale pomyśl - powiedziała czarownica - kiedy otrzymasz ludzką postać, nigdy już nie będziesz mogła zamienić się z powrotem w syrenę. Nigdy nie będziesz mogła zstąpić poprzez wodę do twoich sióstr i do zamku twego ojca, a jeżeli nie zdobędziesz miłości księcia, jeżeli nie zapomni z twego powodu o swej matce i swoim ojcu, nie przywiąże się do ciebie wszystkimi myślami, jeżeli ksiądz nie połączy waszych rąk tak, abyście się stali mężem i żoną, dusza twoja nie stanie się nieśmiertelna. Pierwszego ranka po zaślubinach księcia z inną pęknie ci serce i zamienisz się w pianę morską.

- Tak chcę - powiedziała mała syrena i zbladła jak trup.

- Ale mnie musisz także zapłacić! - powiedziała czarownica. - A żądam nie byle czego. Masz najpiękniejszy głos ze wszystkich tu na dnie morskim, sądzisz, że tym mogłabyś oczarować księcia, ale oddasz mi twój głos. To, co masz najwartościowszego, oddasz mi za mój drogocenny napój. Muszę bowiem dodać do tego napoju własnej krwi, żeby był ostrzy jak obosieczny miecz.

– Cóż mi pozostanie, gdy mi odbierzesz głos? - spytała syrena.

–Twoja piękna postać - odpowiedziała czarownica - twój powiewny chód i wymowne oczy, którymi możesz oczarować ludzkie serce. No i cóż, straciłaś odwagę? Wysuń języczek, obetnę ci go jako zapłatę, a wtedy dostaniesz mocny napój.

– Niech się stanie - powiedziała syrenka, a czarownica postawiła kocioł, aby zgotować czarodziejski napój. - Czystość jest najważniejsza - powiedziała, szorując kocioł wężami, które związała w kłębek; potem zadrasnęła się w pierś, z której spadło parę kropel czarnej krwi; para tworzyła najdziwniejsze postaci, tak że strach brał patrzeć. Co chwila dorzucała czarownica coś nowego do kotła, a kiedy płyn się dobrze gotował, brzmiało to jakby krokodyl płakał. Wreszcie napój był gotów, wyglądał jak najczystsza woda.

– Oto go masz! - powiedziała czarownica i obcięła jej język, i z tą chwilą mała syrenka straciła mowę, nie mogła ani śpiewać, ani mówić.

– Jeśliby polipy chciały cię schwytać, gdy będziesz przechodziła przez mój las - powiedziała czarownica - wlej na nie jedną kroplę napoju, a wtedy ich ramiona i palce rozpadną się na tysięczne kawałki. - A małej syrenie nie było to wcale potrzebne, polipy widząc przezroczysty napój, błyszczący w jej rękę jak świecąca gwiazda, cofały się przed nią przerażone. W ten sposób prędko przeszła przez las, przez bagno i przez rwące wiry.

Widziała teraz zamek swojego ojca; światła w wielkiej sali tańca pogaszono, spali pewnie wszyscy, ale nie odważyła się tam pójść teraz, kiedy była niema i kiedy miała ich na zawrże porzucić. Serce jej pękało z bólu. Wśliznęła się do ogrodu, zerwała z każdej grządki, która należała do jej sióstr, po kwiatuszku, posłała ręką mnóstwo pocałunków w stronę zamku i wypłynęła na powierzchnię granatowej wody.

Słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy ujrzała zamek księcia i wdrapała się na wspaniałe, marmurowe schody. Księżyc świecił niezwykle jasno. Syrenka wypita ostro palący napój i poczuła, jakby obosieczny miecz przeszył jej delikatne ciało, zemdląca i leżała jak martwa. Kiedy słońce rozbłysło nad wodą, ocknęła się i poczuła piekący ból, ale przed nią stał piękny, młody książę, wpatrywać się w nią swymi czarnymi jak węgiel oczyma tak, że musiała spuścić swój wzrok; wtedy zobaczyła, że jej rybi ogon znikł i że miała najładniejsze, małe białe nóżki, jakie tylko może mieć mała dziewczynka; ale była zupełnie naga i dlatego otuliła się swoimi długimi, gęstymi włosami. Książę spytał ją, kim jest i skąd się tu wzięła, lecz ona spojrzała na niego słodko, a jednocześnie żałośnie swymi ciemnoniebieskimi oczami, nie mogła przecież mówić. Wtedy wziął ją za rękę i zaprowadził do zamku. Przy każdym kroku, jak jej to przepowiedziała czarownica, czuła ból, jakby chodziła po spiczastych sztychach i ostrych nożach, ale zносиła to chętnie; trzymając księcia za rękę stąpała tak lekko jak bańka mydlana, a on i wszyscy inni podziwiali jej czarowny, powiewny chód.

Ubrano ją w kosztowne suknie z jedwabiu i muślinu, na zamku była najpiękniejszą ze wszystkich, ale była niema i nie mogła śpiewać ani mówić. Piękne niewolnice, ubrane w jedwabie i złoto, wystąpiły przed księciem i jego królewskimi rodzicami; jedna z nich śpiewała piękniej od wszystkich innych, a książę uśmiechał się do niej i klaskał w ręce.

Wtedy małej syrenie zrobiło się smutno, wiedziała, że dawniej mogła śpiewać o wiele piękniej, i pomyślała: "Ach, gdyby on wiedział, że oddałam na zawsze mój głos po to, aby móc być przy nim!" Niewolnice tańczyły pięknie, kołysząc się w takt cichej muzyki; wtedy syrena wzniosła w górę cudne białe ramiona, stanęła na palcach i popłynęła po posadzce; tańczyła tak, jak nikt dotychczas nie tańczył; przy każdym poruszeniu piękność jej była bardziej widoczna, a jej oczy przemawiały do serc wymowniej niż śpiew niewolnic.

Wszyscy byli zachwyceni, a zwłaszcza książę, który nazwał ją swoją małą znajdką, a ona tańczyła dalej, chociaż za każdym razem, kiedy jej noga dotykała ziemi, czuła ból, jakby stąpała po ostrych nożach. Książę powiedział, że musi pozostać przy nim na zawsze, i pozwolił jej spać pod swoimi drzwiami na aksamitnych poduszkach. Kazał jej zrobić męskie ubranie, aby mu towarzyszyła w konnych wycieczkach. Jeździli przez pachnące lasy, gdzie zielone gałęzie uderzały ich po ramionach, a małe ptaszki śpiewały wśród zieleni liści. Wchodzili na wysokie góry i chociaż jej delikatne nóżki krwawiły i wszyscy to widzieli, śmiała się i biegała za nim aż tam, gdzie przepływały pod nimi obłoki jak stada ptaków lecących do ciepłych krajów.

Dopiero nocą w pałacu księcia, kiedy inni spali, wychodziła na szerokie marmurowe schody, chłodziła swoje rozpalone nogi w zimnej morskiej wodzie i myślała o swoich, tam w głębi morza.

Pewnej nocy jej siostry trzymając się za ręce wynurzyły się z wody i śpiewały tak smutnie, mała syrena przesłała im ręką pozdrowienia, a one poznały ją i opowiedziały, jak bardzo ich wszystkich zasmuciła. Odtąd odwiedzały ją codziennie, a jednej nocy zobaczyła w dali starą babkę, która od wielu lat nie była ponad morzem, i króla mór w koronie na głowie. Wyciągali do niej ręce, ale nie odważyli się podплыwać blisko lądu jak siostry.

Z dnia na dzień książę coraz bardziej cenił małą syrenkę i pokochał ją tak, jak się kocha dobre, drogie dziecko, ale nie przychodziło mu wcale na myśl, aby uczynić z niej królową, a przecież musiała zostać jego żoną, aby zdobyć nieśmiertelną duszę, inaczej w dzień jego zaślubin stanie się pianą morską...

"Czyż mnie nie kochasz więcej od wszystkich!" - zdawały się mówić oczy syreny, kiedy brał ją w swe ramiona i całował jej piękne czoło.

– Tak, ty jesteś mi najdroższa - mówił książę - bo ty masz najlepsze serce ze wszystkich, ty jesteś mi najwierniejsza i jesteś podobna do jednej młodej dziewczyny, którą kiedyś widziałem, ale której pewnie już nigdy nie zobaczę. Byłem na tonącym statku, fale rzuciły mnie na brzeg, przed świątynią, gdzie wiele dziewcząt służyło Bogu; najmłodsza znalazła mnie na brzegu i uratowała mi życie, widziałem ją tylko dwa razy, jest jedyną istotą, którą na tym świecie mógłbym pokochać, ale ty jesteś do niej podobna, ledwie że nie zacierasz jej obrazu w mojej duszy; ona jest poświęcona Bogu i dlatego jakaś dobra gwiazda zesłała mi ciebie, nie rozłączymy się nigdy.

"Ach, on nie wie, że to ja uratowałam mu życie - myślała syrena - zaniiosłam go przez morze aż do lasu, gdzie stoi świątynia, siedziałam okryta morską pianą i czekałam, aż przyjdą

ludzie. Widziałam piękną dziewczynę, którą on kocha bardziej ode mnie. - I mała syrena westchnęła głęboko, gdyż płakać nie mogła. - Ta dziewczyna jest poświęcona Bogu, nigdy nie wróci do świata, nie spotkają się nigdy, a ja jestem przy nim, widzę go codziennie, będę o niego dbała, będę go kochała, poświęcę mu swoje życie!"Lecz oto rozeszła się wieść, że księżę ma się żenić z piękną córką króla ościennego państwa, i dlatego tak wspaniale wyposażył swój statek. Mówiło się, że księżę jedzie oglądać ziemie króla ościennego państwa, miał zabrać ze sobą wielką świętę, ale w istocie jechał, aby poznać jego córkę. Syrena potrząsnęła głową i śmiała się, znała myśli księcia o wiele lepiej niż wszyscy inni.

- Muszę jechać - powiedział do niej. - Mam zobaczyć piękną księżniczkę, moi rodzice tego pragną, ale nie zmuszą mnie nigdy, abym ją wprowadził do domu jako moją żonę; nie mogę jej kochać, bo nie jest podobna do pięknej dziewczyny ze świątyni, do której ty jesteś podobna; gdybym miał się ożenić, wolałbym raczej ciebie, moja ty mała, niema znajdko, z tymi twoimi wymownymi oczami. - I całował jej czerwone usta, bawił się jej długimi włosami i kładł swoją głowę na jej sercu, które marzyło o ludzkim szczęściu i nieśmiertelnej duszy.

- Nie boisz się przecież wody, moja mała niemowo - powiedział księżę, kiedy stali na wspaniałym statku, który ich wiozł do sąsiedniego kraju; opowiadał jej o burzy i o ciszy morskiej, o dziwnych rybach w głębinach morza i o tym, co tam widzi nurek, a ona słysząc to uśmiechała się, wiedziała przecież lepiej niż ktokolwiek inny, jak wygląda dno morza.

W jasną księżycową noc, kiedy wszyscy spali na okręcie, nie wyłączając sternika stojącego przy sterze, syrena siedziała na dziobie statku i patrzyła w głąb. Wydawało jej się, że widzi przez przezrocze wód zamek swego ojca, a na najwyższej wieży stała stara babka w srebrnej koronie na głowie i wpatrywała się poprzez rwący prąd wody w górę, w dno okrętu. Potem wynurzyły się z wody jej siostry, patrzyły na nią ze smutkiem i załamywały białe ręce, a ona wychylała się do nich z uśmiechem i chciała im opowiedzieć, jak jej się dobrze wiedzie i jaka jest szczęśliwa, ale nadszedł chłopiec okrętowy, siostry zanurzyły się w wodę, a chłopiec był pewien, że biel, którą widział, to piana morska. Następnego ranka statek przyplłynął do przystani wspaniałej stolicy sąsiedniego państwa. Wszystkie dzwony dzwoniły w kościołach, z wysokich wież grzmiąły trąby, a żołnierze stali z powiewającymi chorągwiami i błyszczącymi bagnietami. Co dzień było inne święto. Bale i przyjęcia następowały po sobie, ale księżniczki wciąż jeszcze nie było, mówiono, że przebywała daleko od rodzinnego miasta, wychowała się bowiem w klasztorze i ćwiczyła się tam we wszelkich królewskich cnotach. Wreszcie przyjechała.

Mała syrena bardzo pragnęła ją ujrzeć i musiała przyznać, że nigdy jeszcze nie widziała tak uroczej istoty. Płeć miała delikatną i piękną, a spod długich i ciemnych rzęs uśmiechały się ciemnoniebieskie, szczerze oczy.

- To jesteś ty - powiedział księżę. - To ty mnie uratowałaś, kiedy leżałem jak martwy na brzegu. - I chwycił swoją zarumienioną narzeczoną w ramiona. - Ach, jestem zbyt szczęśliwy! - powiedział do syreny. - Spełniło się moje najgorętsze marzenie! Prawda, że cieszysz się z mego szczęścia, bo kochasz mnie najbardziej ze wszystkich! - A mała syrena

pocałowała go w rękę i myślała, że serce już jej pęka. Poranek po jego weselu będzie przecież dniem jej śmierci, przemiany w pianę morską.

Wszystkie dzwony dzwoniły w kościołach, heroldowie jeździli po ulicach i obwieszali zaślubiny. Na wszystkich ołtarzach płonęły srebrne lampy napełnione wonnym olejem, księża obnosili kadzielnice, a państwo młodzi trzymając się za ręce odebrali błogosławieństwo samego biskupa. Mała syrena ubrana w złoto i jedwabie niosła tren panny młodej, ale jej uszy nie słyszały uroczystej muzyki, jej oczy nie widziały świętej ceremonii; myślała o nocy swej śmierci, o szczęściu, które straciła.

Jeszcze tego samego wieczoru państwo młodzi weszli na pokład okrętu; armaty strzelały, powiewały wszystkie chorągwie, a pośrodku stał królewski namiot ze złota i purpury, usłany najpiękniejszymi poduszkami, tam miała spać młoda para w cichą, chłodną noc.

Żagle wyduły się na wietrze i statek płynął lekko i spokojnie po jasnym morzu.

Gdy się ściemniło, zapalono kolorowe lampy i marynarze tańczyli wesołe tańce na pokładzie. Mała syrena przypomniała sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy wynurzyła się z morza i widziała takie samo radosne święto. A potem tańczyła wśród innych unosząc się lekko jak jaskółka, wszyscy zachwycali się nią, bo nigdy jeszcze nie tańczyła tak pięknie. Przy każdym stąpieniu jakby ostre noże kłuły ją w delikatne nóżki, ale nie czuła tego, o wiele boleśniej kłuło ją serce. Wiedziała, że spędza ostatni wieczór z tym, dla którego porzuciła rodzinę i ojczyznę, oddała piękny głos i zносиła codziennie niezliczone męki, podczas gdy on nawet tego nie przeczował. Była to ostatnia noc, kiedy oddychała tym samym co on powietrzem; widziała gwiazdziste niebo i głębokie morze; teraz ogarnąć ją miała wieczna noc, bez myśli i bez snów, bo nie miała nieśmiertelnej duszy i nigdy już jej zdobyć nie mogła. A na statku panowała radość i wesele aż do późnej nocy, syrena tańczyła i śmiała się czując śmierć w sercu. Książę całował swą piękną oblubienicę, a ona bawiła się jego czarnymi włosami i razem udali się na spoczynek do wspaniałego namiotu.

Na statku zapanowała cisza i spokój; tylko sternik stał przy sterze; syrenka oparła się białymi dłońmi o poręcz statku i spoglądała na wschód, ku jutrzence; wiedziała, że zabije ją pierwszy promień słońca. Wtedy ujrzała siostry wyłaniające się z morza, były blade jak ona, ich długie, piękne włosy nie powiewały już na wietrze, były obcięte.

– Oddaliśmy je czarownicy, aby uratowała tej nocy twoje życie. Dała nam nóż, oto jest! Czy widzisz, jaki jest ostry? Zanim wszędzie słońce, musisz przebić nim serce księcia i kiedy gorąca krew opryska twoje nogi, zrosną się w ogon, staniesz się znowu syreną i będziesz mogła zejść do wody, do nas, i żyć trzysta lat, zanim nie zmienisz się w martwą, słoną morską pianę. Spiesz się, ty albo on musicie umrzeć, zanim wszędzie słońce. Nasza stara babka martwi się tak, że jej białe włosy wypadły, tak jak nasze spadły pod nożycami czarownicy. Zabij księcia i wracaj do domu. Spiesz się, czy widzisz czerwoną smugę na niebie? Za parę minut wszędzie słońce i wtedy umrzesz! - Westchnęły głęboko i zanurzyły się w falach.

Mała syrena odsunęła purpurową zasłonę namiotu i ujrzała piękną pannę młodą śpiącą z głową wspartą na piersi księcia; schyliła się i pocałowała go w cudne czoło, spojrzała w

niebo, gdzie coraz jaśniej świeciła jutrzienka, spojrzała na ostry nóż i znowu zwróciła oczy na księcia, który we śnie wymówił imię swojej oblubienicy, tylko ona żyła w jego myślach; nóż zadrzął w rękę syreny, odrzuciła go daleko w fale, które zabłyśły czerwonym blaskiem; tam gdzie nóż upadł, wydawało się, że krople krwi wytryskują z wody. Raz jeszcze spojrzała żalnym wzrokiem na księcia, a potem skoczyła ze statku do morza i czuła, jak jej ciało zmienia się w pianę.

Teraz słońce weszło nad morzem, promienie jego padały tak łagodnie, ogrzewając śmiertelnie zimną pianę morską, mała syrenka nie czuła wcale śmierci, ujrzała jasne słońce, a wysoko nad nią unosiły się tysiące pięknych, przezroczystych istot. Poprzez te istoty widziała białe żagle statku i czerwone obłoki na niebie; głosy tych istot były melodią, ale tak delikatną, że ucho żadnego człowieka nie mogło jej usłyszeć, jak również żadne ziemskie oko nie mogło ich widzieć, bez skrzydeł, własną lekkością, unosiły się one w powietrzu. Mała syrenka zobaczyła, że ma ciało podobne do nich, i wzniosła się coraz wyżej i wyżej z piany ku górze.

– Dokąd ja idę? - spytała, a jej głos brzmiał jak głos tych cudnych duchów, tak nieziemsko, że żadna ziemska muzyka nie mogłaby go naśladować.

– Do cór powietrza! - odpowiedziały tamte. - Syreny nie mają nieśmiertelnej duszy i nie mogą jej mieć, chyba że zdobędą miłość człowieka. Jej wieczne trwanie zależy od obcych mocy. Córy powietrza także nie mają wiecznej duszy, ale przez dobre uczynki mogą na nią zasłużyć. Lecimy do ciepłych krajów, gdzie dzuma zabija ludzi; tam niesiemy ożywczy chłód. Rozpylamy w powietrzu zapach kwiatów, koimy i leczymy. Kiedy przez trzysta lat dążyć będziemy do tego, aby w miarę naszych sił czynić dobro, wtedy osiągniemy nieśmiertelność i będziemy brały udział w ludzkim wiecznym szczęściu. Biedna mała syrenko, dążyłaś całym swym sercem do tego samego co my celu! Cierpiełaś tak jak my i wzniosłaś się do świata powietrznych duchów, a po trzystu latach możesz przez dobre uczynki zdobyć nieśmiertelną duszę.

Mała syrena wzniosła ku Bożemu słońcu białe ramiona i po raz pierwszy poczuła w oczach łzy.

Na statku znowu zawrzało życie i gwar, syrena widziała księcia wraz z jego piękną małżonką, jak szukał jej; spoglądali smętnie na pieniającą się wodę, jak gdyby wiedzieli, że syrenka rzuciła się na fale. A ona niepostrzeżenie pocałowała oblubienicę w czoło, uśmiechając się do księcia i wraz z innymi dziećmi powietrza wzniosła się ku górze, ku różowym obłokom szybującym w powietrzu.

– Za trzysta lat wzniesiemy się do królestwa Bożego!

– Jeszcze wcześniej możemy się tam dostać! - szepnęła jedna z nieziemskich istot. - Niewidzialne, dostajemy się do domów ludzi, gdzie są dzieci, i widok każdego dziecka sprawiającego swoim rodzicom radość i zasługującego na ich miłość skraca czas naszej próby. Dziecko nie wie, kiedy przelatujemy przez pokój, a gdy się uśmiechamy z radości, jaką nam sprawiło, Bóg odlicza nam jeden rok z trzystu lat; ale jeśli napotkamy niegrzeczne i złe dziecko, wylewamy łzy smutku, i każda łza przedłuża o jeden dzień czas naszej próby!

Nowe szaty Cesarza

Przed wielu laty żył cesarz, który tak bardzo lubił nowe, wspaniałe szaty, że wszystkie pieniądze wydawał na stroje. Nie dbał o swoich żołnierzy, nie zależało mu ani na teatrze ani na łowach, szło mu tylko o to, by obnosić przed ludźmi coraz to nowe stroje. Na każdą godzinę dnia miał inne ubrania, i tak samo, jak się mówi o królu, że jest na naradzie, mówiono o nim zawsze: "Cesarz jest w garderobie".

W wielkim mieście, gdzie mieszkał cesarz, było bardzo wesoło; codziennie przyjeżdżało wiele cudzoziemców. Pewnego dnia przybyło tam dwu oszustów, podali się za tkaczy i powiedzieli, że potrafią tkać najpiękniejsze materie, jaki sobie tylko można wymarzyć. Nie tylko barwy i wzór miały być niezwykle piękne, ale także szaty uszyte z tej tkaniny miały cudowną własność: były niewidzialne dla każdego, kto nie nadawał się do urzędu albo też był zupełnie głupi.

"To rzeczywiście wspaniałe szaty! - pomyślał cesarz. - Gdybym je miał na sobie, mógłbym się przekonać, którzy ludzie w moim państwie nie nadają się do swoich urzędów; odróżniłbym mądrych od głupich. Tak, ten materiał muszą mi utkać jak najprędzej". I dał obu oszustom z góry dużo pieniędzy, aby mogli rozpocząć pracę.

Oszuści ustawili warsztaty tkackie, udawali, że pracują, ale nie mieli nic na warsztatach. Zażądali od razu najdroższych jedwabów i najwspanialszego złota; chowali je do własnej kieszeni i pracowali przy pustych warsztatach, i to często do późnej nocy.

"Chciałbym jednak wiedzieć jak postąpiła robota" - pomyślał cesarz, ale zrobiło się mu nieswojo na myśl, że człowiek głupi albo niezdatny do urzędu, który piastuje, nic nie zobaczy; uspokoił się wprawdzie, że o sobie nie potrzebuje się obawiać, ale postanowił jednak posłać kogoś aby dowiedzieć się jak rzeczy stoją. Wszyscy ludzie w mieście wiedzieli jaką cudowną własność miała mieć ta materia, i wszyscy pragnęli się przekonać, że ich sąsiad jest głupi lub zły.

"Poślę do tkaczy mojego starego, poczciwego ministra - pomyślał cesarz - ten będzie mógł najlepiej ocenić ich pracę, bo ma dużo rozumu i nikt lepiej niż on nie sprawuje swojego urzędu".

I oto stary poczciwy minister poszedł do sali, gdzie siedzieli dwaj oszuści i pracowali przy pustych warsztatach tkackich. "Boże drogi - pomyślał stary minister i wytrzeszczył oczy - ależ ja nic nie widzę". Ale głośno nie przyznał się do tego.

Obaj oszuści prosili go, aby łaskawie zbliżył się do nich, i pytali, czy wzór nie jest piękny i barwa wspaniała. Wskazywali przy tym na puste warsztaty i biedny, stary minister otwierał w dalszym ciągu oczy, ale nie mógł nic dostrzec, bo nic tam nie było. "Wilki Boże! - pomyślał. - Czyżbym był głupi? Tego nigdy nie przypuszczałem i nikt nie powinien się o tym

dowiedzieć. Czyżbym nie nadawał się do swojego urzędu? Nie, nie mogę nikomu powiedzieć, że nie widziałem tkaniny".

– No i co, nic pan nie mówi? - powiedział jeden z tkaczy.

– O, to jest śliczne, bardzo ładne! - powiedział stary minister i patrzył przez okulary. - Co za wzór i jakie kolory! Tak, powiem cesarzowi, że mi się tkanina niezwykle podoba.

– To nas cieszy - powiedzieli tkacze i wymienili nazwę barwy oraz objaśnili rysunek wzorów.

Stary minister pilnie uważał, aby móc dokładnie powtórzyć wszystko cesarzowi, co też uczynił.

Po czym oszuści zażądali więcej pieniędzy i nowego zapasu jedwabiu i złota, potrzebnego jakoby do dalszej pracy. Ale znów wszystko schowali do kieszeni, a na warsztatach tkackich nie było ani jednej nitki. Pomimo to siedzieli jak przedtem przy pustych warsztatach.

Cesarz posłał wkrótce innego uczciwego urzędnika, aby zobaczył, jak postępuje praca tkaczy i czy tkanina będzie już wkrótce skończona. Powiodło mu się zupełnie tak samo jak ministrowi. Patrzył i patrzył, ale ponieważ nie było nic na warsztatach, nie mógł więc nic zobaczyć.

– Czyż to nie cudowna tkanina? - zapytali obaj oszuści i pokazali mu, objaśniając, wspaniałą wzór, który wcale nie istniał.

"Głupi nie jestem - pomyślał posłany człowiek. - A więc chyba nie nadaję się do mojego świetnego stanowiska. Było to dość dziwne, ale nie trzeba tego po sobie okazać". Pochowali tkaninę, której nie widział, i zapewnił oszustów, jak bardzo mu się podobają piękne barwy i ładny wzór.

– Tak, to przepiękne - powiedział do cesarza.

Wszyscy ludzie w mieście mówili o wspaniałej tkaninie.

Wreszcie cesarz sam zapragnął zobaczyć materię na warsztacie. Wybrał się więc z całą gromadą oddanych mu ludzi, wśród których znajdowali się tamci dwaj dzielni urzędnicy, którzy już tu byli, i zastał sprytnych oszustów pracujących jak najgorliwiej, lecz bez nici i bez osnowy.

– Czyż to nie wspaniałe? - powiedzieli dwaj dostojni urzędnicy. - Niech jego cesarska mość tylko spojrzy, co za wzór, co za barwy! - I pokazali puste krosna, gdyż myśleli, że wszyscy prócz nich widzą tkaninę.

"Cóż to? - pomyślał cesarz. - Nic nie widzę. To straszne! Czyżbym był głupi? Czy jestem niewart tego, aby być cesarzem? To byłoby najstraszniejsze, co mi się mogło przytrafić".

– O tak, to jest bardzo piękne - powiedział cesarz - raczę to bardzo pochwalić! - kiwnął z zadowoleniem głową i zaczął oglądać puste krosna, bo nie chciał powiedzieć, że nic nie

widzi. Cały orszak, który otaczał cesarza, patrzył i patrzył, ale także nic nie widział, wszyscy, wszyscy jednak mówili tak jak cesarz:

– Tak to jest bardzo piękne.

I radzili monarsze, aby szaty z tego nowego wspaniałego materiału włożył po raz pierwszy na wielką procesję, która miała się wkrótce odbyć.

– Magnifique, zachwycające, excellent! - powtarzał jeden za drugim, i wszyscy byli niezwykle radzi.

Cesarz ofiarował każdemu z oszustów krzyż do noszenia w dziurce od guzika i nadał każdemu tytuł nadwornego tkacza.

Przez całą noc poprzedzającą procesję oszuści nie spali i szyli szaty przy szesnastu świecach. Ludzie widzieli, jak się śpieszyli, aby wykończyć szaty cesarza. Wykonywali takie ruchy, jakby zdejmowali materiał z krosien, cięli wielkimi nożycami w powietrzu, szyli igłami bez nici i wreszcie powiedzieli:

– Oto szaty gotowe.

Cesarz przyszedł do nich z najdostojniejszymi dworzaninami, a dwaj oszuści podnosili ramiona takim ruchem, jakby coś trzymali w ręku, i mówili:

– Oto spodnie, oto frak, a oto płaszcz! - I tak dalej. Wszystko takie lekkie jak pajęczyna; takie cienkie, że się nic na ciele nie czuje, ale na tym polega cała zaleta tych szat.

– Istotnie - powiedzieli wszyscy dworzanie, ale nie mogli nic zobaczyć, bo przecież nic nie było.

– Może jego cesarska mość raczy łaskawie zdjąć swoje suknie - powiedzieli oszuści - przymierzmy nowe szaty tu przed tym wielkim lustrem!

Cesarz zdjął ubranie, a oszuści udawali, że wkładają na niego różne części nowo uszytych szat. Objęli go wpół tak, jak gdyby coś zawiązywali, niby to tren; cesarz zaś kręcił się i obracał przed lustrem.

– Boże, jak to dobrze leży, jak cesarzowi w tym do twarzy - mówili oszuści.

– Jaki wzór, jakie barwy! To wspaniały strój!

– Baldachim, który będą nieść podczas procesji nad jego cesarską mością, czeka przed domem - oznajmił najwyższy mistrz ceremonii.

– Dobrze, jestem gotów - powiedział cesarz. - Czy dobrze leży? - I wykręcił się jeszcze raz przed lustrem, żeby się wydawało, że ogląda swój wspaniały strój.

Dworzanie, którzy mieli nieść tren, schylili się do ziemi i czynili takie ruchy rękami, jakby ów tren podnosili; a potem szli i udawali, że coś niosą w powietrzu; nie ośmielili się okazać, że nic nie widzą.

I tak oto kroczył cesarz w procesji pod wspaniałym baldachimem, a wszyscy ludzie na ulicy i w oknach mówili:

– Boże, jakież te nowe szaty cesarza są piękne! Jaki wspaniały tren, jaki świetny krój.

Nikt nie chciał po sobie pokazać, że nic nie widzi, bo wtedy okazałoby się, że nie nadaje się do swego urzędu albo że jest głupi. Żadne szaty cesarza nie cieszyły się takim powodzeniem jak te właśnie.

– Patrzcie, przecież on jest nagi! - zawołało jakieś małe dziecko.

– Boże, słuchajcie głosu niewiniątka - powiedział wtedy jego ojciec i w tłumie jeden zaczął szeptem powtarzać drugiemu to, co dziecko powiedziało.

– On jest nagi, małe dziecko powiedziało, że jest nagi!

– On jest nagi!- zawołał cały lud. Cesarz zmieszał się, bo wydało mu się, że jego podwładni mają słuszość, ale pomyślał sobie: "Muszę wytrzymać do końca procesji". I wyprostował się jeszcze dumniej, a dworzanie szli za nim, niosąc tren, którego wcale nie było.

Opowieść o Matce

Pewnego razu matka siedziała przy kołysce swego dziecięcia i była bardzo smutna, obawiała się, że dziecina umrze. Dziecko było takie blade, oczki miało zamknięte i oddychało tak słabo, to znowu ciężko wciągało powietrze, jak gdyby wzdychało; a matka spoglądała coraz niespokojniej na swoje maleństwo. Aż tu ktoś puka do drzwi; przyszedł ubogi staruszek, okryty końską derką, aby się ogrzać, bo była surowa zima. Wszystko na dworze pokryte było lodem i śniegiem, a wiatr dał mocno i szczypał w policzki. A ponieważ starzec drżał z chłodu, a dziecko zdrzemnęło się na chwilę, matka wyszła, aby wstawić do pieca garnuszek z piwem; chciała, by człowiek mógł się ogrzać; stary siedział w izbie kołysząc kołyskę, a matka usiadła na krześle tuż obok; spoglądała na chore dziecko, które tak ciężko oddychało i poruszało rączną.

– Jak myślisz, czy ono umrze? - powiedziała kobieta. - Chyba Bóg nie zechce mi go zabrać? A starzec, a była to śmierć sama, tak dziwnie pokiwał głową, co mogło równie dobrze oznaczać "tak" jak i "nie". A matka opuściła głowę i łzy pociekły jej po policzkach; głowa jej ciążyła bardzo, trzy noce i trzy dni nie zmrzyła oka, więc zasnęła, ale tylko na chwileczkę, zaraz się przebudziła i wzdrygnęła z chłodu.

– Cóż to znaczy? - powiedziała i obejrzała się na wszystkie strony. Ale starca nie było i dziecka nie było w pokoju. Zabrał je z sobą! A w kacie stary zegar brzęczał i brzęczał, wielki, ołowiany ciężar osunął się aż na podłogę i zegar nagle stanął. Biedna matka wybiegła z domu wołając swego dziecka. Na dworze, w śniegu, siedziała kobieta odziana w długie, czarne suknie i powiedziała:

– To śmierć była u ciebie w izbie, widziałam, jak spieszenie wychodziła z dzieckiem na rękę; ona jest szybsza od wiatru i nigdy nie przynosi z powrotem tego, co raz zabrała.

– Powiedz mi tylko, którądy poszła! - powiedziała matka - pokaz mi tylko drogę, a ja już ją znajdę!

– Znam ja drogę! - powiedziała kobieta w czarnych sukniach - ale nim ci ja wskażę, musisz mi zaśpiewać wszystkie te pieśni, które śpiewałaś swojemu dziecku. Bardzo je lubię, słuchałam ich nieraz; jestem nocą, widziałam, jak płakałaś śpiewając.

– Zaśpiewam ci je wszystkie, wszystkie! - powiedziała matka - ale mnie nie zatrzymuj, dogonię ją i odnajdę moje dziecko! Ale noc siedziała cicha i milcząca, a wtedy matka załamała dłonie, śpiewała i płakała, i wiele było tam pieśni, ale lez jeszcze więcej; wtedy noc powiedziała:

– Idź na prawo przez ten ciemny, sosnowy las, tamtędy, widziałam, poszła śmierć z twoim dziecięciem. W głębi lasu drogi krzyżowały się i matka nie wiedziała, w którą stronę ma iść. A stał tam krzak cierniowy, który nie miał na sobie ani listka, ani kwiatka, bo przecie to była zima i śnieg okrywał gałęzie.

– Czy nie przechodziła tędy śmierć z moim małym dzieckiem?

– Przechodziła - powiedział krzak cierniowy. - Ale ci nie powiem, w którą poszła stronę, zanim nie ogrzejesz mnie twoim sercem. Zamarzam całkiem, zmieniam się w czysty lód! Wtedy matka przycisnęła krzak cierniowy do swojej piersi mocno, ażeby mógł się dobrze ogrzać, a ciernie wpijały się w jej ciało i krew popłynęła wielkimi kroplami, i krzak cierniowy wypuścił świeże, zielone liście, i kwiaty pojawiły się na nim w ciemna, zimowa noc, tak było gorące zrozpaczone matczyne serce. I krzak cierniowy wskazał jej drogę, którą miała iść. Wtedy przyszła nad wielkie jezioro, na którym nie widać było ani okrętu, ani żadnej łódki. Jezioro nie było tak zamrożone, aby mogło ja utrzymać, ani tak płytkie, aby można było przez nie przebrnąć, a musiała przedostać się na drugi brzeg, jeżeli chciała znaleźć swoje dziecko; położyła się więc i chciała wypić jezioro, a to przecież niemożliwe dla człowieka. Ale zrozpaczona matka myślała, że może jednak nastąpi cud.

– Nie, tak nic nie poradzisz - powiedziało jezioro - lepiej się jakoś pogódźmy! - Bardzo lubię zbierać perły, a twoje oczy są najczystszyimi perłami, jakie widziałem. Wypłacz je do mnie, to cię przewiozę na drugą stronę aż do wielkiej cieplarni, gdzie mieszka śmierć i hoduje kwiaty i drzewa, a każde z nich jest życiem ludzkim.

– O, czegoż ja nie oddam, byle tylko dostać się do mego dziecka! - powiedziała płacząca matka i zapłakała jeszcze bardziej, i oczy jej spłynęły na dno wody, i stały się dwiema kosztownymi perłami, a jezioro podjęło ją, tak jakby siedziała na huśtawce, i przeniosło ją z falą na drugi brzeg, gdzie stał na mile obszerny dom, dziwny, bo nie wiadomo było, czy to jest góra pełna lasów i grot, czy też wzniesiona budowla; ale biedna matka nie widziała tego, bo przecież wyplakała swoje oczy.

– Gdzież ja znajdę śmierć, która zabrała mi moje dzieciątko? - zapytała.

– Jeszcze nie wróciła - powiedziała stara grabarka, która pilnowała wielkiej cieplarni śmierci. - Jakaś tu się dostała i kto ci pomagał w drodze?

– Pan Bóg mi pomagał! - powiedziała matka - jest On miłosierny, bądź więc i ty miłosierna! - Gdzie mogę znaleźć moje dziecko?

– Nie znam twego dziecka - powiedziała kobieta - a ty jesteś niewidoma. Wiele kwiatów i drzew zwiędło dzisiejszej nocy. Śmierć przyjdzie wkrótce i przesadzi je! Wiesz przecie, że każdy człowiek ma drzewo swego życia albo kwiat w zależności od tego, jak mu się życie toczy. Wyglądają one jak inne rośliny, tylko że bije w nich serce. Dziecięce serduszko także bije. Przysłuchaj się, może poznasz twoje dziecko po tym! Ale co mi oddasz, jeżeli ci powiem, co masz dalej czynić?

– Już nic nie mam do oddania - powiedziała zrozpaczona matka - ale mogę pójść dla ciebie choć na koniec świata.

– Nie mam tam nic do roboty - powiedziała kobieta - ale możesz mi dać twoje długie, czarne włosy, sama wiesz, jakie są piękne, a mnie się bardzo podobają! Oddam ci w zamian moje siwe, zawsze coś będziesz miała!

– Nie chcesz nic innego? - powiedziała matka - włosy oddam ci z radością. - I oddała jej swój piękny, czarny warkocz, i otrzymała w zamian siwe włosy staruszki. A potem weszła do wielkiej cieplarni śmierci, gdzie kwiaty i drzewa bujnie rosły, jedno przez drugie. Stały tam piękne hiacynty pod szklanymi kloszami, a obok wielkie, mocne peonie; rosły tam wodne rośliny, niektóre świeże, inne na pół zwiędłe, ślimaki wodne oblepiały je, a czarne raki przywierały do ich łodyg. Stały tam wspaniałe palmy, dęby i platany, rosła pietruszka i kwitnął tymianek; każde drzewo i każdy kwiat nosiły jakieś nazwisko, bo każde było ludzkim życiem, życiem ludzi żyjących jeszcze to w Chinach, to w Grenlandii, rozsypanych po całym świecie. Były tam wielkie drzewa w małych doniczkach, stały ściśnięte i rozsadzały prawie doniczki korzeniami, a w wielu miejscach stały małe, słabe kwiatki w tłustej ziemi, otoczone mchem, starannie pielęgnowane i polewane. Zrozpaczona matka pochylała się nad każdą najmniejszą roślinką i przysłuchiwała się, jak w nich bije ludzkie serce; i pośród milionów poznała serce swego dziecka.

– Oto ono! - krzyknęła i wyciągnęła rękę do małego, liliowego krokusa, który, całkiem chory, pochylił się w jedną stronę.

– Nie ruszaj kwiatu! - powiedziała stara - tylko stan tutaj, a kiedy śmierć nadejdzie, a już nadchodzi, czuje to, nie pozwól jej wyrwać tego kwiatka i zagroź jej, że wyrwiesz wtedy wkoło inne kwiaty, wówczas śmierć się przestraszy; za każdy kwiat bowiem odpowiada przed Panem Bogiem i żadnego nie można zerwać, zanim On nie da rozkazu. Nagle powiało chłodem w całym budynku i ślepa matka zrozumiała, że to śmierć nadchodzi.

– Jakaś znalazła drogę aż tutaj - spytała śmierć - jak mogłaś przybyć tu prędzej ode mnie?

– Jestem matka - odpowiedziała tamta. I śmierć wyciągnęła swą rękę ku małemu kwiatkowi, ale matka schwyciła ją za rękę i trzymała je mocno starając się nie dotknąć płatków krokusa. Wtedy śmierć dmuchnęła na jej dłoń i matka poczuła, że powiew ten jest chłodniejszy od najchłodniejszego wiatru, i rękę jej zwisły bezwładnie.

– Nie możesz sobie poradzić ze mną! - powiedziała śmierć.

– Ale Bóg sobie poradzi!

– Czynie tylko to, co On chce - powiedziała śmierć. - Jestem tylko stróżem jego ogrodu! Wszystkie jego kwiaty i drzewa zabieram stąd i przesadzam do wielkiego rajskiego ogrodu w nieznanym kraju. Ale jak one tam rosną i jak tam jest, nie mogę ci powiedzieć.

– Oddaj mi moje dziecko! - powiedziała matka i płakała, i prosiła; nagle schwyciła w dłonie dwa kwiaty rosnące w pobliżu i zawołała do śmierci: - Zerwę wszystkie twoje kwiaty, nic innego nie pozostaje już mojej rozpacz.

– Nie rusz ich! - powiedziała śmierć. - Powiadasz, że jesteś nieszczęśliwa, a teraz chcesz unieszczęśliwić tak samo inną matkę...

– Inną matkę? - powiedziała biedaczka i wypuściła natychmiast oba kwiaty z dłoni.

– Masz tu twoje oczy - powiedziała śmierć. - Wyłowiłam je z jeziora, tak błyszczały na dnie, nie wiedziałam, że to są twoje oczy. Weź je z powrotem, są teraz jeszcze jaśniejsze niż przedtem. Spójrz tylko w głęboka studnie obok ciebie, ja wymienię nazwiska tych dwóch kwiatków, które chciałaś zniszczyć, i ujrzysz całą ich przyszłość, całe ich życie; patrz, co chciałaś zniszczyć i co miałaś zepsuć. Matka spojrzała do studni i zobaczyła, że jeden z tych ludzi stał się błogosławieństwem dla świata; jak wiele szczęścia i radości otaczało go zewsząd! A potem ujrzała życie innego i była to troska i nędza, zbrodnia i nędza.

– I jeden los, i drugi zależą od woli boskiej - powiedziała śmierć.

– Któryż kwiat jest kwiatem nieszczęsnym, a który szczęśliwym? - spytała matka.

– Tego ci nie powiem - rzekła śmierć - ale dowiesz się ode mnie, że jeden z tych kwiatów był kwiatem twego dziecka, widziałaś losy twego dziecka, twego rodzonego dziecka przyszłość. Wtedy matka wydała okrzyk przerażenia:

– Który z nich był moim dzieckiem? Powiedz mi to! Ocal niewinnego! Ocal moje dziecko od nędzy! Raczej je zabierz! Zabierz do krainy bożej! Zapomnij łzy moje, zapomnij modlitwy i wszystko, co powiedziałam i co uczyniłam!

– Nie rozumiem cię - powiedziała śmierć. - Czy chcesz odebrać dziecko, czy mam z nim odejść do nieznanej tobie krainy? A wtedy matka załamała ręce, upadła na kolana i modliła się do Pana Boga:

– Nie słuchaj mnie, jeżeli modle się przeciw Twojej woli! Ona jest najdoskonalsza. Nie słuchaj mnie? Nie słuchaj mnie! I głowa jej opadła na piersi. A śmierć z jej dziecięciem w ramionach odeszła do nieznanej krainy.

Rzecz całkiem pewna

– Straszliwa to historia! - powiedziała kura, zamieszkała na przeciwległym krańcu wsi - Straszliwa rzecz zdarzyła się w jednym z kurników. Nie mogłabym zasnąć w nocy sama. Na szczęście jest nas sporo gromadka!

Potem opowiedziała wszystko co wiedziała - innym kurom z wrażenia wstawały pióra. A kogutowi opadał grzebień.

Było to tak:

O zachodzie słońca kury przygotowywały się do snu. Była wśród nich pewna biała, krótkonoga i wielce szanowana kura. Zawsze zносиła jaja jak należy i zachowywała się bardzo poprawnie. Zająwszy swój szczebel, musnęła dziobem ogon tracąc przy tym jedno pióro.

– Nic nie szkodzi! - zażartowała - Im bardziej się pierzę, tym jestem piękniejsza!

Po czym smacznie zasnęła, podobnie jak większość kur w kurniku. Jedna z kurek nie mogła jednak zasnąć. Ruszyła się raz i drugi na swojej grzędzie, w końcu szepnęła do sąsiadki:

– Słyszałaś, co tu powiedziano? Nie powtórzę tego oczywiście, ale jedna z naszych koleżanek wyskubuje sobie pióra, żeby być piękniejszą. Nasz kogut powinien nią wzgardzić!

Tuż nad kurami siedziała cała sowa rodzina: ojciec, mama i dzieci. Sowy mają - jak wszystkim wiadomo - bardzo dobry słuch, więc żadne słowo nie uszło ich uwadze. Matka-sowa zatrzepotała skrzydłami, przewróciła parę razy ogromnymi oczami tam i z powrotem, po czym rzekła do męża:

– Słyszałeś pewnie wszystko dokładnie tak, jak ja - jedna z kur zapomniała do tego stopnia o przyzwoitości, że wyskubuje sobie pióra i to w obecności koguta!

– Cicho! Dzieci słyszą! - szepnął do małżonki ojciec-puchacz.

– Muszę to opowiedzieć sąsiadce! - zdecydowała matka-sowa i bezgłośnie odleciała.

Po burzliwej rozmowie obie zawiadomiły o nowinie gołębie:

– Słyszałyście?! Jest w pobliżu kura, która wyskubała sobie wszystkie pióra, żeby zwrócić uwagę koguta! Zmarźnie na śmierć, a może nawet już nie żyje!

– Gdzież to, gdzie? - zagruchały gołębie.

– W jednym kurniku na przeciwległym krańcu wsi. Same to prawie widziałyśmy. Rzecz co prawda nieprzyzwoita, ale całkiem pewna!

Gołębie natychmiast przekazały tę wiadomość śpiącym poniżej kurom:

– Słuchajcie! Jedna kura - a niektórzy powiadają, że nawet dwie - wyskubały sobie wszystkie pióra, żeby wyglądać inaczej niż inne i zyskać sobie względy koguta. Obie kury dostały dreszczy, potem gorączki i zmarły.

– Hej, wstawajcie! - zapiał młody kogucik - Jest nowina! Trzy kury zmarły na skutek nieszczęśliwej miłości do koguta! Wyskubały sobie nawzajem wszystkie pióra. Straszna historia! Ale podajcie ją dalej dla przestrogi.

– Podajmy ją dalej! - pisnęły nietoperze i pomknęły co żywo.

We wszystkich kurnikach gdakały o tym kury i piały koguty. Wkrótce historia obiegła całą wieś i wróciła tam, skąd przyszła.

– Pięć kur stanęło do zawodów - mówiono - o to, która z nich najbardziej schudnie z miłości do koguta. Wyskubały sobie wszystkie pióra i zginęły marnie, ku hańbie swoich rodzin i wielką stratą dla właściciela.

A biała kureczka, której wypadło jedno piórko, nie poznała w tej historii własnej przygody.

Będąc zaś wielce szanowaną osobą, zawołała z oburzeniem:

– Gardzę nimi! Niestety dużo jest takich kur na świecie. Tego faktu nie wolno przemilczeć - trzeba go koniecznie ogłosić w gazetach. Niech się dowie cały kraj! Wymaga tego honor naszego kurzego rodu!

I dzienniki wydrukowały tę straszliwą nowinę. Tak z jednego piórka zrobiło się pięć kur.

Słowik

W Chinach, wiesz pewnie o tym, cesarz jest Chińczykiem i wszyscy, którzy go otaczają, są również Chińczykami. Historia, którą opowiem, działa się przed wielu laty, ale właśnie dlatego trzeba jej wysłuchać, zanim o niej nie zapomną. Zamek cesarza był najwspanialszym zamkiem na świecie, cały zrobiony z delikatnej porcelany, niezwykle kosztownej, a tak kruchej, że lada dotknięcie mogło ja stłuc, więc trzeba było bardzo uważać. W ogrodzie rosły najdziwniejsze kwiaty, a do najwspanialszych przywiązano srebrne dzwonki, które dzwoniły po to, aby nikt nie minął ich nie zwróciwszy na nie uwagi. Niezwykły był ogród cesarski, a tak wielki, że nawet ogrodnik nie wiedział, gdzie się kończy. Za ogrodem zaczynał się piękny las z wysokimi drzewami i głębokimi jeziorami. Las schodził aż do morza, które było niebieskie i głębokie; wielkie okręty mogły wjeżdżać aż pod zwisające gałęzie, a na jednej z takich gałęzi mieszkał słowik. Słowik śpiewał tak pięknie, że nawet biedny rybak, który ma przecież tyle innej roboty, kładł się i słuchał jego śpiewu, gdy nocą wychodził wyciągać sieci.

– Mój Boże, jakie to piękne! - mówił, lecz potem musiał już pilnować swojej roboty i zapominał o ptaszku; ale następnej nocy, kiedy ptak znowu śpiewał, a on wychodził, powtarzał to samo:

– Mój Boże, jakież to piękne! Ze wszystkich stron świata zjeżdżali do cesarskiego miasta podróżni, podziwiali zamek i ogród, ale gdy słyszeli śpiew słowika, mówili:

– To jest jednak najpiękniejsze! Podróżni po powrocie do domu opowiadali, co widzieli, uczeni pisali wiele książek o mieście, zamku i ogrodzie; nie zapominali też o słowiku i chwalili go najbardziej, a ci, którzy byli poetami, pisali piękne wiersze, wszystkie o słowiku śpiewającym nad głębokim jeziorem w lesie. Książki te czytano na całym świecie i niektóre z nich dostały się do rąk cesarza. Cesarz siedział na złotym tronie, czytał i czytał, a co pewien czas kiwał z zadowoleniem głową, kiedy opisywano miasto, zamek i ogród. "Ale słowik jest najpiękniejszy!", pisano w książkach.

– Co to jest? - powiedział cesarz. - Nie znam wcale tego słowika! Czy naprawdę taki ptak żyje w moim cesarstwie, i w dodatku w moim ogrodzie? Nigdy o tym nie słyszałem! Dowiaduje się o tym dopiero z książek! I natychmiast zawołał swego marszałka; był on tak wytworny, że kiedy ludzie niżsi od niego pochodzeniem ośmielili się zadać mu jakieś pytanie, odpowiadał im tylko "p!", a to przecież nic nie znaczy.

– Podobno jest tu jakiś niezwykły ptak, który nazywa się słowik! - powiedział cesarz - podobno jest on najpiękniejszą rzeczą z całego mego wielkiego państwa! Dlaczego nikt mi nigdy o nim nic nie mówił?

– Nigdy o nim nie słyszałem! - odpowiedział marszałek. - Nie przedstawiono go nigdy u dworu!

– Chce, żeby przyszedł dziś wieczorem i śpiewał przede mną! - powiedział cesarz. - Cały świat wie, co posiadam, tylko ja o tym nie wiem!

– Nigdy o nim nie słyszałem! - powiedział marszałek. - Będę go szukał i znajdę! Ale gdzie go znaleźć? Marszałek biegał w górę i na dół po wszystkich schodach, przebiegał wszystkie sale i krużganki, ale nikt z napotkanych nie słyszał o słowiku. Wrócił więc marszałek do cesarza i powiedział, że to z pewnością bajka wymyślona przez tych, co napisali książki.

– Wasza cesarska mość niechaj nie wierzy temu, co piszą, bo to wszystko wymysły, po prostu czarna magia!

– Ależ kiedy książkę, w której to przeczytałem, przysłał mi potężny cesarz Japonii, więc musi zawierać prawdę. Chce słyszeć słowika. Ma tu być dzisiaj wieczorem! Obdarzam go moja laska! Musi przyjść! A jeżeli się nie zjawi; to każe moim ludziom deptać po brzuchach wszystkich dworzan, i to zaraz po kolacji!

– Tsing pe! - powiedział marszałek i zaczął znowu biegać po schodach na dół i w górę, i po wszystkich salach i krużgankach, a połowa dworzan biegała za nim, bo bynajmniej nie mieli ochoty, by im deptano po brzuchach. Więc wszędzie pytano o słowika, którego znalazł cały świat, ale nikt nie znalazł na dworze. Wreszcie w kuchni znaleźli małą, biedną dziewczynkę, która powiedziała:

– Mój Boże, słowik! Znam go doskonale! Jakże cudnie śpiewa! Co wieczór wolno mi zabierać z kuchni trochę resztek, zanoszę je mojej biednej, chorej matce, która mieszka na wybrzeżu; a kiedy w nocy wracam od niej i zmęczę się, to kładę się w lesie i słucham słowika! Łzy płyną mi wówczas z oczu i jest mi tak, jak gdyby mnie matka całowała!

– Mała pomywaczko! - powiedział marszałek. - Dam ci stałą posadę w kuchni i pozwolę ci przyglądać się, jak cesarz jada, jeśli zaprowadzisz nas do słowika, bo dziś wieczorem muszę go tu mieć! Poszli więc wszyscy do lasu, gdzie zwykle śpiewał słowik; pół dworu im towarzyszyło; po drodze usłyszeli ryk krowy.

– O! - powiedział jeden z dworzan. - Macie słowika! Ileż to siły w tak małym stworzeniu! Słyszałem go - całą pewnością już dawniej!

– Nie, to krowy ryczą! - powiedziała mała pomywaczka. - Jeszcześmy daleko od słowika! Teraz żaby zarechotały w bagnisku.

– Cudownie! - powiedział chiński kapelan. - Nareszcie go słyszę. Śpiew jego brzmi jak dzwonki kościelne.

– Nie, to żaby! - powiedziała mała pomywaczka. - Ale myślę, że już wkrótce go usłyszymy! W tej chwili słowik zaczął kląskać.

– To on! - powiedziała dziewczynka. - Słuchajcie! Słuchajcie! Oto tam siedzi! - I pokazała małego, szarego ptaszka wysoko na gałęzi.

– Czyż to możliwe! - zawołał marszałek. - Inaczej go sobie wyobrażałem! Jakże pospolicie wygląda! A może stracił swą barwę na widok tylu wytwornych osób?

– Słowiczku! - zawołała głośno dziewczynka. - Nasz łaskawy cesarz życzy sobie, abyś przed nim zaśpiewał!

– Z największą przyjemnością - powiedział słowik i zaśpiewał tak pięknie, że aż rozkoszą było go słuchać.

– Zupełnie szklane dzwoneczki! - powiedział marszałek. - A jak pracuje to małe gardziolko! To dziwne, żeśmy go nigdy przedtem nie słyszeli! Będzie miał wielki sukces na dworze!

– Czy mam raz jeszcze zaśpiewać dla cesarza? - spytał słowik, który myślał, że cesarz jest obecny.

– Mój cudny słowiczku! - powiedział marszałek. - Mam zaszczyt zaprosić cię na uroczystość dworska, na której oczarujesz jego cesarską mość twym zachwycającym śpiewem.

– Brzmi on co prawda najlepiej na tle drzew! - powiedział słowik, ale poleciał chętnie za nimi, gdyż słyszał, że taka jest wola cesarza. Na zamku wszystko porządnie wyszorowano. Porcelanowe ściany i podłogi lśniły w blasku tysięcy złotych lamp; najpiękniejsze kwiaty, które umiały dzwonić, ustawiono w krużgankach i było tyle bieżaniny i przeciągów, a dzwonki tak głośno dzwoniły, że tłumilo to wszelkie rozmowy. Pośrodku dużej sali, w której znajdował się cesarz, umieszczono złoty pręt i na nim miał siedzieć słowik. Cały dwór zebrał się w sali, a małej pomywaczce pozwolono stać pod drzwiami, bo teraz była już kucharką nadworną. Wszyscy w swych najwspanialszych szatach przyglądali się małemu, szaremu ptaszкови, a cesarz skinął mu głową. A słowik śpiewał tak pięknie, że cesarzowi łzy stanęły w oczach, a gdy spłynęły mu po policzkach, słowik zaśpiewał jeszcze ładniej, tak że śpiew ten sięgał prosto do serca; cesarz cieszył się bardzo i powiedział, że zawiesi słowikowi swój złoty pantofel na szyi. Ale słowik podziękował i powiedział, że otrzymał już dostateczne wynagrodzenie.

– Widziałem łzy w oczach cesarza, a to jest dla mnie najdroższy skarb! Łzy cesarskie mają cudowną moc! Bóg świadkiem, że jestem dość nagrodzony! - I śpiewał dalej swym słodkim, cudownym głosem.

– Tak uroczej kokieterii nie spotkałyśmy jeszcze nigdy w życiu! - mówiły damy, a potem nabierały wody w usta i gdy ktoś do nich mówił, bulgotały i myślały, że są też słowikami. Cóż tu mówić! Nawet lokaje i pokojówki byli zadowoleni, a to dużo mówi, bo im najtrudniej dogodzić. Tak, słowik naprawdę zdobył powodzenie. Miał zostać na zawsze przy dworze, mieszkać we własnej klatce i dwa razy dziennie, a raz w nocy mógł wyfruwać na dwór. Dwunastu służących trzymało wówczas końce jedwabnych wstążek przywiązanych do jego nóżki. Taki spacer nie należał do przyjemności. Całe miasto mówiło o niezwykłym ptaszku. Kiedy dwoje ludzi się spotykało, jeden mówił: "sło", a drugi "wik!"; potem obaj wzdychali; rozumieli się doskonale. Jedenaścioro dzieci właścicieli sklepików z delikatesami nazwano

jego imieniem! ale żadne z nich nie umiało wydać ani jednej czystej nuty. Pewnego dnia do cesarza nadeszła duża paczka, na której było napisane: "Słowik".

– Pewnie nowe dzieło o naszym sławnym ptaku! - powiedział cesarz; lecz nie była to książka, tylko małe arcydzieło zamknięte w pudelku. Był to sztuczny słowik, podobny do prawdziwego, ale cały wysadzany brylantami, rubinami i szafirami; wystarczyło go nakręcić, a śpiewał te same piosenki co żywy ptak i przy tym poruszał ogonem w dół i w górę i błyszczał cały, i świecił srebrem i złotem, na szyi miał wstążeczkę, a na niej napis: "Słowik cesarza Japonii jest niczym wobec słowika cesarza Chin."

– Ach, jakie to piękne! - zachwycali się wszyscy, a ten, który przyniósł ptaka, otrzymał natychmiast tytuł: "cesarskiego naddostawcy słowików".

– Niech zaśpiewają razem! Cóż to będzie za cudowny duet! Wiec ptaki śpiewały razem. Ale nie szło im dobrze, bo prawdziwy słowik śpiewał na swój sposób, a sztuczny ptak gwizdał podług mechanizmu.

– To nie jego wina! - powiedział muzyk nadworny. - Ma świetne wyczucie taktu i śpiewa według mojej szkoły! Wiec sztuczny ptak miał sam śpiewać. Śpiew jego podobał się również jak śpiew prawdziwego słowika, a on sam o ileż piękniej wyglądał! Błyszczał przecież cały jak bransolety i brosze. Trzydzieści trzy razy prześpiewał ten sam kawałek i wcale się nie zmęczył; chciano go jeszcze słuchać, ale cesarz powiedział, że i żywy słowik musi coś zaśpiewać... Lecz gdzież on się podział? Nikt nie zwrócił uwagi, że słowik wyfrunął przez otwarte okno i poleciał do swych zielonych drzew.

– Cóż to znaczy? - zapytał cesarz; a wszyscy dworzanie ganili ptaka i mówili, że to niewdzięczne stworzenie. - Mamy przecież doskonalszego słowika! - mówili. I kazali mu znowu śpiewać; po raz trzydziesty czwarty usłyszeli te sama melodie, ale nie umieli jej jeszcze powtórzyć, bo była bardzo trudna, i muzyk nadworny chwalił sztucznego ptaka mówiąc, że przewyższa żywego słowika nie tylko swym ubiorem i brylantami, ale także i swą wewnętrzną wartością.

– Bo widzicie, moi państwo, a przede wszystkim, cesarzu, u prawdziwego słowika nigdy nie można przewidzieć, co nastąpi, a u sztucznego wszystko jest z góry określone! Tak będzie, a nie inaczej! Można wszystko objaśnić, można otworzyć mechanizm i pokazać, jak uczenie położone są walce, jak się kręcą sprężyny i jak co idzie za czym.

– Jesteśmy tego samego zdania! - zawołali wszyscy, a muzyk otrzymał pozwolenie na to, aby najbliższej niedzieli pokazać sztucznego ptaka ludowi.

– Niech także usłyszą, jak śpiewa! - rozkazał cesarz. Słyszeli więc i byli tak uszczęśliwieni, jak gdyby się upili na wesoło herbata, co jest prawdziwie chińskim obyczajem. Mówili wszyscy: "Oh!", i podnosili w górę wskazujące palce, i kiwali głowami. Ale ubodzy rybacy, którzy słyszeli prawdziwego słowika, mówili:

– To brzmi pięknie, i nawet podobnie do tamtego, ale czegoś tu brak, nie wiemy tylko czego. Prawdziwego słowika wygnano z kraju i z państwa. Sztucznego ptaka posadzono na

jedwabnej poduszce tuż przy łóżku cesarza, naokoło niego ułożono wszystkie dary, które otrzymał, złoto i drogie kamienie, dano mu tytuł: "śpiewaka cesarskiej sypialni", i otrzymał rangę pierwszego stopnia z lewej strony; lewa strona bowiem uważał cesarz za godniejszą, bo z lewej strony jest serce, nawet u cesarza. Muzyk nadworny napisał dwadzieścia pięć tomów o sztucznym słowiku; dzieło było tak uczone i tak długie, i tak pełne najtrudniejszych chińskich wyrazów, że wszyscy ludzie mówili, iż przeczytali je i zrozumieli; inaczej nazwano by ich głupcami i deptano by im po brzuchach. Tak przeszedł cały rok. Cesarz, dwór i wszyscy Chińczycy umieli na pamięć każdy najmniejszy dźwięk śpiewu sztucznego ptaka, ale to im się właśnie podobało, bo mogli śpiewać z nim razem. Nawet ulicznicy nucili: "Zizizi! Gluk, gluk, gluk!" A cesarz śpiewał tak samo. To było cudowne! Pewnego wieczora jednak, gdy sztuczny słowik śpiewał w najlepsze, a cesarz leżał w łóżku i słuchał, coś w ptaku chrupnęło "trach!", coś pękło "szurrrr!" i wszystkie kółka posypały się wokół, a muzyka umilkła. Cesarz wyskoczył natychmiast z łóżka i kazał zawołać nadwornego lekarza; ale cóż ten mógł pomóc! Wtedy zawołano zegarmistrza, który po długiej gadaninie i długim oglądaniu doprowadził ptaka nieco do porządku, ale powiedział, że trzeba go bardzo oszczędzać, bo tryby są wytarte, a nowych, takich, żeby dobrze grało, nie można sfabrykować. Było to wielkie zmartwienie. Raz tylko do roku nakręcano ptaka, i to już było za dużo. Ale wówczas muzyk nadworny wygłosił małą mowę, pełną dużych słów, o tym, że wszystko jest jak dawniej - i wszystko było rzeczywiście jak dawniej. Upłynęło pięć lat i cały kraj zasmucił się wielce, bo cesarz, którego Chińczycy bardzo w gruncie rzeczy kochali, zachorował i powiadano, że miał umrzeć; obrano już nowego cesarza, lud stał na ulicy przed pałacem i pytał marszałka, jak się stary cesarz miewa. "P!", odpowiadał marszałek i potrzasał głową. Zimny i blady leżał cesarz w swym wspaniałym łożu, cały dwór myślał, że już nie żyje; i jeden dworzanin za drugim wymykał się, by pozdrowić nowego cesarza; kamerdynerzy wyszli z sali na ploteczki, a pokojówki pałacowe zapraszały znajomych na kawę. Wszystkie komnaty i krużganki wyłożono suknem, ażeby stłumić odgłosy kroków, i wszędzie było cicho, cicho! Ale cesarz jeszcze żył; leżał sztywny i blady w swym wspaniałym łożu, przysłoniętym kotarami z aksamitu z ciężkimi, złotymi chwastami; wysoko pod sufitem jedno okno było otwarte i księżyc zaglądał przez nie, oświetlając cesarza i sztucznego ptaka. Biedny cesarz ledwie oddychał, miał uczucie, jak gdyby coś usiadło mu na piersiach; otworzył oczy i zobaczył, że to była śmierć; siedziała na jego piersiach, włożyła na głowę jego złotą koronę, w jedną rękę wzięła złotą szablę cesarza, w drugą jego wspaniałą chorągiew, a naokoło ze wszystkich fałd kotary wyglądały ku cesarzowi dziwne twarze, niektóre brzydkie, inne znów mile i łagodne; były to złe i dobre uczynki cesarza, które patrzyły na niego, podczas gdy śmierć siedziała mu na sercu.

– Pamiętasz? - szeptały jedna za drugą. - Pamiętasz? - I opowiadały mu tyle, że aż pot spływał mu po czole.

– O tym nie wiedziałem - mówił cesarz. - Muzyka! Muzyka! Walcie w bęben chiński! Zagłuszyć to, co one tu mówią! - A one mówiły dalej i śmierć potakiwała głową, jak Chińczyk, na wszystko, co mówiono.

– Muzyka, muzyka! - krzyczał cesarz. - Mały, złoty ptaszku! śpiewaj mi, śpiewaj! Podarowałem ci tyle złota i kosztowności; zawiesiłem ci nawet mój złoty pantofel na szyi;

śpiewaj mi, śpiewaj! Ale ptak milczał; nie było nikogo, kto by go nakreślił, a on sam nie umiał przecież śpiewać; śmierć tymczasem spoglądała na cesarza wielkimi, pustymi oczodołami i było cicho, tak przeraźliwie cicho. Nagle tuż za oknem zabrzmiał najpiękniejszy głos: to mały, żywy słowik usiadł na gałązce za oknem. Dowiedział się o tym, że jego cesarz potrzebuje pomocy, i przyleciał, by mu śpiewem dodać otuchy i nadziei. A gdy śpiewał, bładły coraz bardziej i bardziej straszne postacie; krew zaczynała żywiej krążyć w słabym ciele cesarza i nawet śmierć, słuchając śpiewu powiedziała:

– śpiewaj, słowiczku, śpiewaj dalej.

– A dasz mi tę piękną, złotą szablę? Dasz mi wspaniałą chorągiew? Dasz mi koronę cesarza? - I śmierć po kolei oddawała każdą z kosztowności za jedna pieśń, a słowik śpiewał dalej o cichym cmentarzu, gdzie rosną białe róże, gdzie pachnie dziki bez, a trawa rozwija się, skraplana łzami tych, którzy żyją; wtedy śmierć poczuła nagle tęsknotę za swoim ogrodem i w kształcie białej, chłodnej mgły uniosła się za okno.

– Dzięki ci, dzięki! - powiedział cesarz - mały ptaszku z nieba! Znam cię przecież dobrze! Wygnałem cię z mego państwa! A jednak odpędziłeś twym śpiewem złe moce od mego łóża, a śmierć z mego serca! Jakże ci mam podziękować?

– Wynagrodziłeś mnie już, cesarzu! - powiedział słowik. - Widziałem łzy w twoich oczach, kiedy śpiewałem przed tobą po raz pierwszy, a tego nie zapomnę ci nigdy! To są klejnoty, które radują serce śpiewaka; ale spij teraz, obudź się silny i zdrow. Zaśpiewam ci coś jeszcze. Zaśpiewał, a cesarz pogrążył się w słodką drzemkę. Ach, jaki łagodny, pokrzepiający był ten sen! Słońce świeciło przez okno, gdy obudził się zdrow i pełen sił. Z jego służby nikt jeszcze nie wrócił, bo myśleli, że cesarz nie żyje, ale słowik był przy nim i wciąż jeszcze śpiewał.

– Musisz zostać ze mną na zawsze! - powiedział cesarz - będziesz śpiewał wtedy tylko, gdy sam zechcesz, a sztucznego ptaka każe rozbić na tysiąc kawałków.

– Nie czyn tego! - powiedział słowik - przecież zrobił tyle dobrego, ile mógł. Zatrzymaj go przy sobie jak dawniej! Nie mogę zbudować gniazdka mego i mieszkać w pałacu, ale pozwól mi przylatywać od czasu do czasu, gdy sam będę miał ochotę; będę wieczorami siadywał na gałązce za oknem i śpiewał ci pieśń, która napęlni cię radością i dobrymi myślami! Będę śpiewał o szczęśliwych i o tych, którzy cierpią! Będę śpiewał o złym i dobrym, i o wszystkim, co ukryte jest przed twymi oczyma! Mały ptak zagląda wszędzie: do biednych rybaków, pod dach wieśniaków, do wszystkich, którzy z dala są od ciebie i twego dworu! Kocham twe serce więcej od twej korony, ale jednak korona ma w sobie czar świętości! Będę przylatywał, aby ci śpiewać! Tylko jedno musisz mi przyrzec!

– Wszystko - powiedział cesarz i wyprostował się w swych cesarskich szatach, w które sam się obłąkł, a do serca przyciskał szablę okutą ciężkim złotem.

– O jedno tylko cię proszę! Nie mów nikomu, że masz małego ptaszka, który ci mówi o wszystkim. Tak będzie nam lepiej. - I słowik wyfrunął przez okno. Służba weszła do sypialni,

by popatrzeć na zmarłego cesarza. Stanęli jak wryci, a cesarz powiedział:

– Jak się macie?

Stary Dom

Na samym końcu ulicy stał stary, stary dom, miał prawie trzysta lat, można to było wyczytać na belce, gdzie wyrzeźbiono datę, opleciona tulipanami i gałązkami chmielu; były tam wyryte staroświeckim zwyczajem całe wierszyki, a nad każdym oknem widniała na belce jakaś wykrzywiona twarz; górne piętro znacznie występowało ponad dolne, a tuż pod dachem była blaszana rynna zakończona głową smoka; woda deszczowa miała wypływać z paszczy, ale ze w rynnie była dziura, ciekła z brzucha smoka.

Wszystkie inne domy na tej ulicy były nowiusieńkie i takie czyściutkie, miały duże okna i gładkie mury; widać było, że nie chcą mieć nic wspólnego ze starym domem; myślały zapewne: "Jak długo jeszcze będzie tu stała na ulicy na utrapienie ludzkie ta stara rudera? Gzyms wystaje tak daleko, że nikt z naszych okien nie może zobaczyć, co się dzieje na rogu ulicy, schody są tak szerokie jak w zamku, a wysokie jak na wieży. Żelazne odrzwia wyglądają jak brama wiodąca na stary cmentarz. I jeszcze w dodatku te mosiężne gałki, to doprawdy w złym guście!" Naprzeciw starego domu stały też nowe, śliczne kamienice i myślały tak samo jak tamte; ale przy oknie w jednej z nich siedział mały chłopiec o świeżych, rumianych policzkach i jasnych, błyszczących oczach; podobał mu się ten stary dom zarówno w blasku słonecznym, jak i w świetle księżyca. A kiedy tak siedział patrząc na mur, z którego odpadł tynk, widział w wyobraźni najprzeróżniejsze obrazy, jak wyglądała ulica dawniej, z szerokimi schodami, wykuszami i spiczastymi szczytami dachów; widział żołnierzy z halabardami i rynny wygięte niby smoki i węże. Tak, to był dom, który warto było obejrzeć! A mieszkał w nim stary pan, który chodził w krótkich, skórzanych spodniach, w surducie o wielkich, mosiężnych guzikach i nosił perukę; od razu można było poznać, że to prawdziwa peruka. Co rano przychodził do niego jakiś stary człowiek, który mu sprzątał i załatwiał zakupy, gdyby nie on, stary pan w skórzanych spodniach byłby zupełnie samotny w starym domu. Czasami ten pan podchodził na chwile do okna i wyglądał na ulicę, a mały chłopczyk kłaniał mu się i stary pan pozdrawiał go także; w ten sposób poznali się i zawarli przyjaźń, chociaż nigdy ze sobą nie rozmawiali. Ale nie o to przecież chodziło. Mały chłopczyk słyszał, jak jego rodzice mówili:

– Temu staruszkowi z przeciwka powodzi się doskonale, ale jest taki strasznie samotny! Następną niedzielę chłopczyk zawiązał coś w kawałek papieru, poszedł przed bramę i powiedział do służącego starego pana, który przechodził ulicą:

– Słuchaj, czy chcesz zanieść to ode mnie staremu panu? Mam dwóch ołowianych żołnierzy, to jest jeden z nich, daje mu go, bo wiem, że jest taki strasznie samotny. Stary służący miał bardzo zadowolona minę, kiwnął głową i zaniósł ołowianego żołnierza do starego domu. Po chwili wrócił z zapytaniem, czy chłopczyk nie ma ochoty przyjść sam w odwiedziny do starego pana; rodzice pozwolili i w ten sposób chłopczyk wszedł do starego domu. Mosiężne gałki na poręczach schodów błyszczały o wiele jaśniej niż zwykle, wyglądały, jak gdyby je wypolerowano na przyjęcie chłopca, i wydawało się, że wyrzeźbieni

trębacze (gdyż na drzwiach byli wyrzeźbieni trębacze stojący wśród tulipanów) dmuchają z całych sił, ich policzki wydawały się o wiele grubsze niż zazwyczaj. Trąbili: "Trarara, idzie mały chłopczyk, trarara!" A potem otworzyły się drzwi. Sień była zawieszona starymi portretami, byli tam rycerze w zbrojach i panie w jedwabnych sukniach, zbroje chrzęściły, a jedwab szumiał, następnie były tam schody, które prowadziły najpierw w górę, a potem nieco w dół i wychodziło się nimi na balkon bardzo zapuszczony, pełen dziur i szpar, w szczelinach rosła trawa i chwasty; balkon od strony podwórza i muru był tak obrosły zielenią, że wyglądał jak ogród, ale był to jednak tylko balkon. Stały tu stare doniczki, ozdobione ludzkimi twarzami i oślimi uszami, kwiaty rosły dziko; z jednej doniczki zwieszały się pęki goździków, a właściwie samych zielonych łodyg, rosnących gęsto jedna przy drugiej. Z doniczki rozlegał się wyraźny głos:

– Pieściło mnie powietrze, całowało mnie słońce, a na niedziele mam obiecany kwiatek, mały kwiatek na niedziele! A potem weszli do pokoju, którego ściany były obite świńską skórą wyciskaną w złote kwiaty. Pozłota zniknie na ścianie, A świńska skóra zostanie!

Tak mówiły ściany. Stały tam bogato rzeźbione fotele o wysokich oparciach, z poręczami z obu stron.

– Siadaj, siadaj - mówiły - och, jakże we mnie trzeszczy! Mam pewnie reumatyzm jak ta stara szafa. Reumatyzm w plecach, och!

A potem mały chłopczyk wszedł do pokoju z alkowa; siedział tam stary pan.

– Dziękuję ci za ołowianego żołnierza, przyjacielu! - powiedział stary pan.

– I dziękuję ci, żeś do mnie przyszedł. "Dziękuję, dziękuję!" albo "trach, trach!" mówiły wszystkie meble; było ich tak dużo, a wszystkie tak bardzo chciały zobaczyć małego chłopczyka, że aż prawie włożyły na siebie. Pośrodku ściany wisiał portret pięknej pani, była młoda i wesoła, ale ubrana jak za dawnych czasów, miała upudrowane włosy i sztywne suknie; nie mówiła ani "dziękuję", ani "trach", tylko patrzyła na chłopczyka swymi łagodnymi oczami.

– Skąd ja wzięłeś? - spytał chłopczyk starego pana.

– Od handlarza z przeciwka - powiedział stary pan. - Wisi tam wiele portretów, nikt ich nie zna, nikomu na nich nie zależy. Wszyscy ci ludzie dawno leżą już w grobie, ale ja znalazłem w dawnych czasach. Ona również już nie żyje. Pod obrazem za szkłem zatknięty był bukiet zwiędłych kwiatów, które miały już też pewnie pięćdziesiąt lat - tak przynajmniej wyglądały. A wahadło dużego zegara poruszało się tam i z powrotem, wskazówka obracała się i wszystko w pokoju stawało się z każdą chwilą starsze, ale nikt tego nie spostrzegał.

– Mówią w domu - powiedział chłopczyk - że jesteś strasznie samotny.

– O nie - odparł stary pan - odwiedzają mnie dawne myśli wraz ze wszystkim, co im towarzyszy. A teraz i ty do mnie przyszedłeś. Jest mi bardzo dobrze! Potem zdjął z polki książkę z obrazkami; były tam stare zaprzęgi, najdziwniejsze pojazdy, jakich się dziś już

wcale nie widzi, żołnierze wyglądający jak treflowe walety i mieszczanie z powiewającymi chorągwiami; krawcy mieli na swych chorągwiach nożyce trzymane przez dwa lwy; na chorągwi szewca nie było buta, tylko orzeł o dwóch głowach, gdyż szewcy muszą wszystko mieć do pary!

Tak, była to śliczna książka z obrazkami. Stary pan poszedł do sąsiedniego pokoju, aby przynieść konfitury, jabłka i orzechy. Było naprawdę przyjemnie w tym starym domu.

– Nie mogę tu wytrzymać - powiedział ołowiany żołnierz, stojący na komodzie.

– Tak tu samotnie i smutno, kiedy się poznało życie rodzinne, nie można się do tego przyzwyczaić. Nie mogę tu wytrzymać! Dzień jest taki długi, a wieczór jeszcze dłuższy. Nie jest tu wcale tak jak u ciebie, gdzie twój ojciec i twoja matka tak mile rozmawiają i gdzie ty i wszystkie kochane dzieci tak wesoło hałasujecie. Jakże bardzo samotny jest ten stary pan! Czy myślisz, że go ktoś całuje? Czy myślisz, że ktoś na niego przyjaźnie patrzy? że dostanie od kogo choinkę? Nie dostanie już nic nigdy prócz mogiły. Nie mogę tu dłużej wytrzymać!

– Nie przejmuj się tak bardzo - powiedział chłopczyk - uważam, że jest tu bardzo ładnie, i przychodzą tu przecież w odwiedziny dawne myśli wraz ze wszystkim, co im towarzyszy.

– Nie widzę ich, nie znam ich - odpowiedział ołowiany żołnierz - nie mogę tu wytrzymać!

– Musisz! - powiedział chłopczyk. Wszedł stary pan z rozjaśnioną twarzą, niosąc świetne konfitury, jabłka i orzechy, i chłopczyk nie myślał już o ołowianym żołnierzu. Szczęśliwy i zadowolony, wrócił chłopczyk do domu; przeszły dni, przeszły tygodnie, przesyłano sobie pozdrowienia ze starego domu i wzajemnie w stronę starego domu, a potem mały chłopczyk wybrał się w odwiedziny. Rzeźbione trąbki grały: "Trarara! Trarara! Przyszedł mały chłopczyk, trarara!" Miecze i zbroje na rycerskich obrazach chrzęściły, szumiały jedwabne suknie, mówiła świńska skóra, a stare fotele narzekały na reumatyzm w plecach: "Oj, jak boli!" Było zupełnie tak samo jak za pierwszym razem, gdyż w starym domu jeden dzień był podobny do drugiego i jedna godzina do drugiej.

– Nie mogę wytrzymać - powiedział ołowiany żołnierz. - Płakałem już ołowianymi łzami. Tu jest tak smutno. Wolałbym już iść na wojnę i stracić ręce i nogi. Byłaby to przynajmniej jakaś odmiana. Nie mogę wytrzymać. Teraz już wiem, co to znaczy, kiedy nawiedzają nas dawne myśli wraz ze wszystkim, co im towarzyszy. Odwiedziły mnie moje myśli i możesz mi wierzyć, że to żadna przyjemność na dłuższą metę, byłem już w końcu bliski zeskoczenia z komody. Widzę was wszystkich przed sobą tak dokładnie, jak gdybyście naprawdę byli tutaj. Pewnego niedzielnego poranka, pamiętasz, stałyście, wszystkie dzieci, przy stole i śpiewałyście psalm, który co rano śpiewacie; stałyście skupione ze złożonymi rękami, ojciec i matka byli również w uroczystym nastroju; wtem otworzyły się drzwi i wbiegła mała siostrzyczka Marynia, która jeszcze nie ma dwóch lat i zawsze tańczy, kiedy słyszy dźwięki muzyki lub śpiewu (nie powinna była zresztą tam wchodzić); zaczęła tańczyć, ale nie mogła pochwycić właściwego taktu, gdyż melodia była zbyt poważna, stała więc najpierw na jednej nóżce, z przechyloną główką, potem na drugiej, ale nie udawało jej się. Wy wszyscy zachowywaliście się poważnie, chociaż to było trochę trudne, ale ja śmiałem się w duchu i

dlatego spadłem ze stołu, i nabiłem sobie guza, którego mam jeszcze teraz; nie było to z mojej strony ładnie, że się śmiałem. Wszystko, co dawniej przeżyłem, powraca do mnie znowu i to są właśnie te dawne myśli wraz ze wszystkim, co im towarzyszy. Powiedz, czy jeszcze śpiewacie w niedzielę? Opowiedz mi coś o małej Maryni. I jak się powodzi mojemu koledze, drugiemu ołowianemu żołnierzowi? Tak, ten jest szczęśliwy. Nie mogę tu dłużej wytrzymać!

– Podarowałem cię - powiedział chłopczyk - musisz tu zostać. Czy nie możesz tego zrozumieć? Przyszedł stary pan i przyniósł skrzynkę, w której było dużo do oglądania: pudełko z kredkami, słoik z balsamem i stare karty, takie duże o złoconych brzegach, jakich się teraz wcale nie widzi. Stary pan wyciągnął duże szuflady i otworzył nawet fortepian; w środku na pokrywie namalowany był krajobraz; kiedy stary pan zaczął grać, a potem zanucił jakąś melodie, fortepian był zachrypnięty.

– Tak, to ona śpiewała! - powiedział stary pan, pokazując na obraz kupiony u handlarza starzyzna, i oczy zaświeciły mu przy tym jasno.

– Ja chce na wojnę! Ja chce na wojnę! - zawołał ołowiany żołnierz najgłośniej, jak mógł, i rzucił się na podłogę. Gdzież mógł się podziać? Stary pan szukał i chłopczyk szukał, ale nie mogli go znaleźć, nigdzie go nie było. - Znajdę go potem! - powiedział stary pan, ale nie znalazł go już nigdy. Podłoga była podziurawiona i popękana, ołowiany żołnierz wpadł przez szparę i teraz leżał jak w otwartym grobie. I ten dzień się również skończył, i chłopczyk wrócił do domu; minął tydzień, a potem wiele tygodni. Okna zupełnie zamarły, chłopczyk musiał chuchać w szyby, aby zrobić dziurkę i patrzeć na stary dom; wiatr zawiął wszystkie szczeliny, zasypał napisy i pokrył całe schody tak, jakby nikogo nie było w domu; i naprawdę nikogo nie było w domu, bo stary pan umarł. Wieczorem zatrzymał się przed brama wóz, postawiono na nim trumnę, w której leżał stary pan, miał być pochowany na wsi w grobie rodzinnym. Powieziono go tam, ale nikt mu nie towarzyszył, bo wszyscy jego przyjaciele już umarli. Chłopczyk przesłał ręką całusa przejeżdżającej trumnie. Po paru dniach odbyła się w starym domu licytacja i chłopczyk widział ze swojego okna, jak wynoszono rzeczy: starych rycerzy, stare damy, doniczki o długich uszach, stare krzesła i stare szafy, jedne rzeczy zabierano tu, inne tam, portret młodej pani kupiony u handlarza powędrował znowu do sklepu i tam wisiał już zawsze, bo już nikt jej nie znalazł i nikt nie troszczył się o stary obraz. A na wiosnę zburzono cały dom, gdyż była to rudera, jak mówili ludzie. Z ulicy można było zajrzeć wprost do pokoju, obitego świńskiego skórą, którą zerwano i podarto, zieleń balkonu zwisała zupełnie dziko pomiędzy rozwalonymi belkami. A potem wszystko wyprzątnięto.

– Nareszcie! - rzekły sąsiednie domy. Zbudowano na tym miejscu wspaniały dom o wielkich oknach, białych gładkich ścianach, a przed nowym domem, w tym miejscu, gdzie przedtem stał stary dom, założono mały ogródek, dzikie wino oplątało mur sąsiedniego domu; przed ogródkiem zrobiono żelazne sztachety i żelazną bramę wyglądało to wspaniale, ludzie zatrzymywali się, nic nie mówiąc, i zaglądali do ogrodu. Wróble siadały całymi tuzinami na pnącym się winie i ćwierkały, jak mogły najgłośniej; ale nie wspominały starego domu, bo go nie pamiętały; przeszło już tyle lat, mały chłopczyk wyrósł na dorosłego mężczyznę, na dzielnego człowieka, który był chluba swych rodziców. Ożenił się właśnie i wprowadził wraz z młodą żoną do domu otoczonego ogródkiem; stał oto obok żony, gdy sadiła w ziemi polny

kwiatek, który jej się tak podobał. Wetknęła go drobna raczka i ubijała ziemię palcami. Ach, cóż to jest? Uklęła się. Z miękkiej ziemi wystawało coś ostrego. Był to, wyobraźcie sobie - ołowiany żołnierz, ten sam, który zniknął z pokoju starego pana, wędrował wśród gruzów i budulca, a potem przeleżał w ziemi długie lata. Młoda kobieta otarła najpierw żołnierza zielonym listkiem, a potem cienką chusteczką, z której się unosił taki piękny zapach. Żołnierzowi było tak przyjemnie, jakby się obudził z długiego omdlenia.

- Pokaż mi go - powiedział młody człowiek śmiejąc się i potrząsając głową. - To nie może być ten sam, ale przypomina mi pewną przygodę z ołowianym żołnierzem, która przeżyłem, kiedy byłem małym chłopcem. - I potem opowiedział żonie o starym domu i starym panu, o ołowianym żołnierzu, którego mu darował, bo ten stary pan był taki strasznie samotny; opowiedział wszystko zupełnie tak, jak było naprawdę, a młodej kobiecie stanęły w oczach łzy współczucia dla starego pana i dla starego domu.

- Możliwe, że to jest ten sam żołnierz! - powiedziała. - Zachowam go i będę pamiętała wszystko, co mi opowiedziałeś, ale musisz mi pokazać grób tego starego pana!

- Nie wiem, gdzie jest - powiedział - i nikt tego nie wie. Wszyscy jego przyjaciele umarli, nikt o niego nie dbał, a ja byłem przecież małym chłopcem.

- Jakże bardzo musiał być samotny! - powiedziała żona.

- Bardzo samotny! - powtórzył ołowiany żołnierz. - Ale jak to pięknie, gdy się nie jest zapomnianym!

- Pięknie - zawołał jakiś głos w pobliżu, ale nikt prócz ołowianego żołnierza nie wiedział, że głos ten wydał strzep obicia ze świńskiej skóry; zeszła już z niej pożyłka; wyglądała jak wilgotna ziemia, ale zachowała jeszcze poglądy, które wypowiedziała: Pożyłka zniknie na ścianie,

A świńska skóra zostanie!

Ale ołowiany żołnierz temu nie uwierzył.

Stokrotka

A teraz słuchaj!

Daleko na wsi, tuż koło drogi, stała altana; widziałeś ją na pewno, kiedyś tamtędy przechodził. Przed altaną był mały ogródek kwiatowy z pomalowanymi sztachetami, tuż obok na murawie, wśród najpiękniejszej zielonej trawy, rosła mała stokrotka; słońce ogrzewało ją tak samo mocno i pięknie jak wielkie, pyszne kwiaty w ogrodzie, i dlatego rosła z godziny na godzinę. Pewnego ranka całkiem rozkwitła i stała tak ze swymi małymi, śnieżnobiałymi płatkami, które otaczały, jak promienie, żółte słoneczko pośrodku. Nie myślała wcale o tym, że żaden człowiek nie widzi jej w trawie i że jest biednym, pogardzanym kwiatkiem; nie - była bardzo zadowolona, zwracała się cała do ciepłego słońca, patrzyła w nie i słuchała skowronka, który śpiewał w powietrzu.

Mała stokrotka czuła się szczęśliwa, jak gdyby to było wielkie święto, a przecież był to tylko poniedziałek; wszystkie dzieci uczyły się w szkole; podczas gdy dzieci tkwiły w ławkach i uczyły się tam czegoś - stokrotka tkwiła na swej zielonej łodydze i również się uczyła od ciepłego słońca i od wszystkiego, co ją otaczało, jaki Bóg jest dobry. Myślała o tym, jak pięknie wyśpiewuje skowronek to, co czuje w ciszy, i patrzyła z pewnego rodzaju czią i podziwem na szczęśliwego ptaszka, który umie śpiewać i fruwać; ale nie martwiła się tym, że sama tak nie potrafi. "Widzę i słyszę! - myślała - słońce mnie grzeje i wiatr mnie całuje. Ach, obficie mnie obdarowano!".

Za sztachetami stało tyle sztywnych, wykwintnych kwiatów; im mniej pachniały, tym dumniej strzelały w górę. Piwonie nadymały się, aby być większymi od róż - ale rozmiar przecież nic nie znaczy. Tulipany miały najpiękniejsze barwy, wiedziały o tym dobrze i trzymały się prosto, aby je można było lepiej widzieć. Nie spostrzegały wcale małej stokrotki, ale ona patrzyła na nie tym uważniej i myślała: "Jakież one bogate i piękne! Do nich przyleci na pewno ten wspaniały ptak w odwiedziny. Bogu dzięki, że jestem tak blisko nich, mogę przynajmniej przyglądać się ich wspaniałości". I właśnie gdy tak myślała, posłyszała: "Ćwir, ćwir!" - to skowronek zleciał na dół, ale nie do piwonii ani tulipanów - nie: sfrunął w trawę do biednej stokrotki; radość po prostu przeraziła stokrotkę i sama nie wiedziała, co ma myśleć.

Ptaszek tańczył dookoła stokrotki i śpiewał: "Jaka ta trawa jest miękka, patrzcie, jaki to kochany, mały kwiatek o złotym serduszku i srebrzystej sukience". Żółty środek stokrotki wyglądał naprawdę jak złoty, a małe płatki dookoła błyszcząły swą białością. Jakże szczęśliwa była stokrotka - to trudno sobie wyobrazić. Ptaszek pocałował ją swym dziobem, zaśpiewał dla niej i pofrunął znowu w błękitne powietrze. Chyba kwadrans minął, zanim stokrotka przyszła do siebie. Trochę zawstydzona, ale jednak serdecznie uradowana, spojrziała na kwiaty w ogrodzie, widziały przecież, jaki ją spotkał honor i jakie szczęście; musiały zrozumieć, jaka to była dla niej radość; ale tulipany stały tak samo sztywne jak przedtem, twarze ich ściągnęły się, zaczerwieniły z gniewu. Piwonie nadeły się, "ph!", całe szczęście, że

nie mogły mówić, na pewno robiłyby stokrotce ostre wymówki. Biedny kwiatek widział, że nie są w dobrym humorze, i to mu sprawiało prawdziwą przykrość. Wtedy do ogrodu przyszła dziewczynka z wielkim nożem, ostrym,

błyszczącym, zbliżyła się do tulipanów i zaczęła obcinać jeden po drugim.

– Ach! - westchnęła stokrotka. - Jakież to straszne, już po tulipanach!

Dziewczynka odeszła z tulipanami; stokrotka była szczęśliwa, że stoi daleko w trawie i że jest małym, biednym kwiatkiem; była przepełniona wdzięcznością i kiedy słońce zaszło, zwinęła płatki i zasnęła śniąc przez całą noc o słońcu i o małym ptaszku.

Następnego ranka, kiedy kwiatek wyciągnął radośnie białe płatki, niby małe ramiona, do powietrza i słońca, posłyszał głos ptaszka, ale śpiew jego brzmiał smutnie. Tak, biedny skowronek miał powody do smutku, schwytano go i oto teraz siedział w klatce przy otwartym oknie. Śpiewał o szczęściu swobodnego fruwanie, śpiewał o młodym, zielonym życie w polu i o pięknej podróży, którą mógłby odbyć na swych skrzydłach wysoko w powietrzu. Biedny ptaszek nie myślał o wesołości, siedział uwięziony w klatce.

Stokrotka chętnie by mu pomogła, ale jak miała się do tego zabrać? Trudno było coś wymyślić. Zapomniała zupełnie, jak pięknie było dookoła niej, jak gorąco grzała ją słońce i jak ślicznie wyglądały jej białe płatki; myślała tylko o uwięzionym ptaszku, któremu nie mogła pomóc.

Wtedy wyszło z ogrodu dwóch małych chłopców; jeden z nich trzymał nóż, taki sam duży i ostry jak ten, którym dziewczynka obcinała tulipany. Zmierzali wprost do stokrotki, która nie mogła zrozumieć, czego oni chcą.

– Moglibyśmy tu wyciąć dla skowronka piękny kawałek murawy! - powiedział jeden z chłopców i zaczął wycinać kwadrat dookoła stokrotki, zostawiając ją pośrodku.

– Wyrwij ten kwiat! - powiedział drugi chłopiec, a stokrotka zadrżała ze strachu, bo zostać wyrwaną to to samo co umrzeć, a teraz chciała tak bardzo żyć, teraz gdy miała się dostać z kawałkiem murawy do klatki skowronka.

– Nie, zostaw ją! - powiedział drugi chłopiec. - Tak ładnie wygląda!

Została więc i zabrano ją do klatki skowronka.

Biedny ptaszek narzekał głośno na utratę wolności i uderzał skrzydłami o żelazną kratę, mała stokrotka nie mogła mówić, nie mogła mu powiedzieć słowa pociechy, chociaż tak bardzo chciała. I tak przeszło całe przedpołudnie.

– Nie ma tu wody! - powiedział uwięziony skowronek. - Wszyscy wyszli i nie zostawili mi ani kropli do picia. Gardło mi wyschło i pali. Czuję w sobie ogień i lód - powietrze jest takie ciężkie! Ach, będę musiał umrzeć z daleka od ciepłego słońca, od świeżej zieleni, od całego piękna, które stworzył Bóg!

I potem wsadził mały dziobek w chłodną trawę, aby się trochę odświeżyć; wtedy wzrok jego padł na stokrotkę: ptak skinął do niej główką, pocałował ją dziobkiem i powiedział:

– Ty także musisz tu wędnać, biedny mały kwiatuszku! Ciebie i kawałek zielonej murawy dano mi w zamian za cały świat, który miałem na wolności. Każde źdźbło trawy musi mi zastąpić zielone drzewo. Każdy z twoich białych płatków ma być dla mnie pachnącym kwiatem. Ach, przypomina mi to tylko, ile straciłem!

"Kto mógłby pocieszyć skowronka?" -- pomyślała stokrotka. Ale nie mogła poruszyć żadnym płatkiem; jednakże zapach, który wydzielały jej płatki, był o wiele silniejszy niż zwykły zapach tego kwiatu; zauważył to również skowronek, a chociaż był osłabiony z pragnienia i w męce wyrwał zielone trawki, nie ruszył kwiatka.

Nadszedł wieczór i nikt nie przyszedł, i nie przyniósł ptaszкови kropli wody; wtedy skowronek wyciągnął swoje piękne skrzydła i potrząsał nimi kurczowo, jego śpiew brzmiał jak zbolący pisk, mała główka pochylała się ku stokrotce i serce ptaka pękło ze smutku i tęsknoty; a kwiatek nie mógł, jak poprzedniego wieczoru, zasnąć, stuliwszy płatki; chore i smutne chyliły się one do ziemi.

Dopiero następnego ranka przyszli chłopcy; a kiedy zobaczyli martwego ptaka, zapłakali, płakali rzewnymi łzami i wykopali mu śliczny grób, który ozdobili płatkami kwiatów. Ciało ptaka włożyli do pięknego, czerwonego pudełka; królewski miał pogrzeb biedny ptaszek. Kiedy żył i śpiewał, zapomniano o nim; trzymano go w klatce w niedostatku, teraz ofiarowano mu wspaniały pogrzeb i wiele łez.

A kawałek murawy wraz ze stokrotką wyrzucono na drogę pełną kurzu, nikt nie myślał o kwiatku, który najwięcej współczuł małemu ptaszкови i tak gorąco chciał go pocieszyć.

Świniopas

Był sobie pewnego razu bardzo ubogi książę. Miał księstwo małe, ale dość duże na to, by mógł się ożenić; a chciał się właśnie zenić!

Było to co prawda zuchwalstwo, że odważył się spytać córkę cesarza:

„Czy chcesz mnie mieć za męża?”, ale jednak ośmielił się to uczynić, bo imię jego było sławne na cały świat. Tysiąc księżniczek zgodziłoby się chętnie, ale dowiedzie się zaraz, co uczyniła córka cesarza.

Zatem słuchajcie.

Na grobie ojca księcia rósł krzak róży, cudny krzak róży. Zakwitał tylko raz na pięć lat, i to jedną jedyną różą. Ale ta róża pachniała tak słodko, że wachając ją zapominało się o wszystkich zmartwieniach i troskach. Miał też książę słowika, który tak pięknie śpiewał, jak gdyby w jego gardziółku mieściły się wszystkie niebiańskie melodie. Tę różę i tego słowika miała dostać księżniczka; w tym celu różę i słowika włożono do srebrnych szkatulek i tak posłano je księżniczce.

Cesarz kazał przynieść dary do wielkiej sali, gdzie księżniczka bawiła się z damami dworu w „gości”; przez cały Boży dzień nie robiły nic innego. Gdy zobaczyła duże szkatułki z darami, klasnęła z radości w ręce i zawołała:

- Ach, gdyby to był maleńki kotek! – Ale w szkatułce była cudna róża.
- Jakże ładnie zrobiona! – powiedziały wszystkie damy dworu.
- Jest więcej niż ładna – powiedział cesarz. – Jest piękna. Lecz księżniczka powąchała różę i była bliska płaczu.
- Fe, ojczulku – powiedziała – to nie jest sztuczna róża, tylko prawdziwa.
- Fe – powiedziały wszystkie damy dworu – prawdziwa!
- Zanim się zaczniemy gniewać, zobaczmy, co jest w drugim pudle – powiedział cesarz; wyjęto słowika, który zaczął tak pięknie śpiewać, że nie można mu było nic zarzucić!
- Superbe! Charmant! – zawołały damy dworu, gdyż paplały wszystkie po francusku, jedna gorzej od drugiej.
- Jakżeż ten ptak przypomina mi pozytywkę świętej pamięci cesarzowej – powiedział stary marszałek dworu – zupełnie ten sam ton, ten sam wyraz!
- Tak – powiedział cesarz i rozplakał się jak dziecko.
- Chyba to nie jest żywy słowik! – powiedziała księżniczka.

– To żywy ptak – powiedzieli ci, którzy przynieśli dary.

– W takim razie wypuście go! – zawołała księżniczka i w żaden sposób nie chciała widzieć księcia.

Ale on nie tracił nadziei; posmarował sobie twarz na brązowo i czarno, wcisnął głęboko na oczy czapkę i zapukał do drzwi.

– Dzień dobry, cesarzu – powiedział – czy mógłbym dostać jakąś służbę na dworze?

– Wielu ludzi szuka tu pracy – odpowiedział cesarz – ale zobaczymy, potrzebuję kogoś, kto by mi pilnował świń, których mamy bardzo dużo. W ten sposób księżę został cesarskim świniopasem. Dostał na mieszkanie ciasną, brzydką komórkę obok świńskich chlewów i miał w niej pozostać; cały dzień pracował, a kiedy nadszedł wieczór, zrobił prześliczny, mały garnuszek z dzwoneczkami wokoło; kiedy w garnku gotowało się, dzwoneczki dzwoniły ślicznie i grały starą melodię:

Ach, kochany Augustynie,

Wszystko minie, mnie, minie!

Ale największa sztuka polegała na tym, że kiedy się trzymało palce nad parą wydobywającą się z garnka, można było natychmiast poczuć zapach wszystkich potraw, jakie gotowały się we wszystkich kuchniach miasta; no, to było przecie coś zupełnie innego niż jakaś tam róża.

– Księżniczka poszła ze wszystkimi damami dworu na spacer i usłyszawszy melodię uradowała się niezwykle, bo właśnie to potrafiła grać. „Ach, kochany Augustynie”, była to jedyna melodia, którą umiała zagrać, i to tylko jednym palcem.

– To właśnie tylko umiem! – powiedziała. – Musi to być wykształcony świniopas! Słuchaj, idź do niego i spytaj, ile kosztuje ten instrument!

Jedna z dam dworu musiała pójść, ale przedtem włożyła drewniaki na nogi.

– Ile chcesz za ten garnek? – spytała dama.

– Chcę dziesięć pocałunków księżniczki! – powiedział świniopas.

– Na litość boską! – zawołała dama dworu.

– Ani jednego mniej! – odpowiedział świniopas.

– Co on mówił? – spytała księżniczka.

– Nie mogę tego powtórzyć! – odezwała się dama dworu. – To potworne!

– Możesz mi szepnąć do ucha! – Więc szepnęła.

– Jaki niegrzeczny! – powiedziała księżniczka i szybko odeszła, ale gdy przeszła kawałek drogi, dzwoneczki zadzwoniły cudnie:

Ach, kochany Augustynie,

Wszystko minie, minie, minie!

– Poczekaj! – powiedziała księżniczka. – Spytaj go, czy nie wystarczy mu dziesięć pocałunków dam dworu!

– Dziękuję! – odrzekł świniopas. – Dziesięć pocałunków księżniczki albo nic z garnka!

– Cóż to za uparte stworzenie! – powiedziała księżniczka. – Musicie mnie zasłonić, żeby nikt tego nie widział!

I damy dworu ustawiły się naokoło, rozpostarły swoje suknie i świniopas otrzymał swoje dziesięć pocałunków, a księżniczka dostała garnek.

Co to była za radość! Przez cały wieczór i przez cały dzień musiało się gotować w garnku; nie było w całym mieście ani jednej kuchni, o której nie wiadomo by, co się w niej gotuje, począwszy od kuchni marszałka dworu, a skończywszy na szewcu. Damy dworu tańczyły i klaskały w ręce.

– Wiemy, kto będzie jadł słodką zupę i pączki. Wiemy, kto będzie miał kaszę i pieczeń. Jakie to ciekawe!

– Niezmiernie ciekawe! – powiedziała ochmistrzyni dworu.

– Nie gadajcie za dużo, zapominacie, że jestem córką cesarza!

– Rozumie się! – powiedziały wszystkie.

Świniopas, to jest księżę (ale nikt nie wiedział, że nie jest prawdziwym świniopasem), nie tracił czasu i coraz to robił coś innego; teraz zmajstrował grzechotkę, która przy potrząsaniu grała najpiękniejsze walce, polki, oberki, jakie wymyślono od początku świata.

– To jest superbe! – powiedziała księżniczka idąc koło chlewów.

– Nigdy jeszcze nie słyszałam piękniejszej kompozycji! Słuchaj no, idź do niego i spytaj, ile ten instrument kosztuje; o pocałunkach nie ma mowy!

– Chce sto całusów księżniczki! – powiedziała dama dworu wróciwszy od świniopasa.

– Oszalał chyba! – powiedziała księżniczka i odeszła; ale kiedy uszła mały kawałek, zatrzymała się. – Trzeba popierać sztukę! – powiedziała.

– Jestem córką cesarza! Powiedz mu, że dostanie jak wczoraj dziesięć pocałunków, a resztę od dam dworu!

– Ach, nie bardzo się nam chce! – powiedziały damy dworu.

– To próżne gadanie! – powiedziała księżniczka. – Skoro ja go całowałam, wy możecie też się poświęcić. Pomyślcie tylko, daję wam utrzymanie i pensję!

– Wobec tego dama dworu musiała znowu pójść do świniopasa.

– Sto całusów księżniczki – odpowiedział – lub każdy zostaje przy swoim!

– Ustawić się! – powiedziała księżniczka. I wszystkie damy dworu ustawiły się naokoło, by ją zasłonić, a on zaczął całować.

– Co to może być za zbiegowisko tam obok chlewów? – powiedział cesarz, który się zjawił na balkonie; przetarł oczy i nałożył okulary. – To jakaś sprawka dam dworu; muszę zejść na dół! – Wsunął głębiej pantofle, bo były bardzo przydeptane.

Jakże się śpieszył!

Zszedł na podwórze i skradał się po cichu, a damy dworu były tak zajęte liczeniem pocałunków i pilnowaniem, aby wszystko odbyło się uczciwie i aby świniopas nie dostał ich ani za dużo, ani za mało, że nie zauważyły go wcale. Cesarz wspiął się na palcach.

– Co to jest? – zawołał, zobaczywszy całującą się parę, i rzucił w nich pantoflem akurat w chwili, gdy świniopas otrzymywał osiemdziesiąty szósty pocałunek. – Precz! – powiedział cesarz, bo był bardzo zły. I kazał księżniczkę i świniopasa wyrzucić z granic cesarstwa.

Wtedy księżniczka zaczęła płakać, świniopas żartował, a deszcz lał strumieniami.

– Ach, ja nieszczęsna! – powiedziała księżniczka. – Dlaczego nie zgodziłam się być żoną pięknego księcia. Ach, jakże jestem nieszczęśliwa!

Świniopas skrył się za drzewem, starł brązową i czarną farbę z twarzy, zrzucił nędzne ubranie i wystąpił w całym książęcym przepychu, tak piękny, że księżniczka mu się ukloniła.

– Ukazałem się, by ci wyrazić mą pogardę! – powiedział. – Nie chciałaś prawdziwego księcia; nie poznałaś się na róży i słowiku; a świniopasa całowałaś, aby dostać grającą zabawkę! Masz teraz za to!

I poszedł sobie do swojego królestwa, zatrzasnąwszy i zaryglowawszy jej drzwi przed nosem; mogła sobie teraz stać na dworze i śpiewać:

Ach, kochany Augustynie,

Wszystko minie, minie, minie!

Umarłe dziecko

Żałoba gościła w domu, żałoba panowała w sercach. Umarło najmłodsze dziecko, czteroletni, jedyny syn, nadzieja i radość rodziców. Mieli wprawdzie dwie córki, obie były dobre i kochane dziewczynki, ale utracone dziecko jest zawsze najukochańsze. Los ciężko ich doświadczył. Ojciec był głęboko zrozpaczony, ale matkę zmiażdżył wielki ból. Dni i noce siedziała nad chorym dzieckiem, pielęgnowała je i tuliła. Czuła w nim cząstkę siebie. Nie mogła tego pojąć, że dziecko umarło, że włożą je do trumny i pochowają w grobie. Bóg nie mógł jej zabrać dziecka - myślała - a skoro się tak jednak stało i miała już tę pewność, powiedziała w swym bezmiernym bólu: „To pewnie Bóg o tym nie wiedział. Ma on tu na ziemi służbę pozbawioną serca, która robi to, co jej się podoba i nie słyszy modlitw matki!” W bólu wyrzekła się Boga i wówczas ogarnęły ją ponure myśli. Myśli o wiecznej śmierci, o tym, że człowiek stanie się prochem w ziemi i że tak się wszystko skończy. Gdy tak rozmyślała, nie miała się na czym oprzeć i pograżała się w nicość i w zwątpienie bez dna.

W najcięższych chwilach nie mogła już płakać. Nie myślała o swych córeczkach, które pozostały. Łzy męża spadały na jej czoło, ale nie podnosiła ku niemu oczu. Myśli jej były przy zmarłym dziecku. Żyła wywołaniem każdego wspomnienia o nim, każdego z jego niewinnych, dziecięcych słów.

Nadszedł dzień pogrzebu. Matka parę poprzednich nocy spędziła bezsennie, o świcie zmogło ją zmęczenie i zasnęła na krótko. Przez ten czas wyniesiono trumnę do sąsiedniego pokoju i zabito ją gwoździami, aby matka nie słyszała uderzeń młotka.

Obudziwszy się wstała, a mąż powiedział do niej ze łzami:

– Zamknęliśmy trumnę, tak musiało się stać.

– Gdy Bóg jest dla mnie okrutny, jakże mogą ludzie być lepsi! - zawołała szlochając i płacząc.

Zaniesiono trumnę do grobu. Niepocieszona matka siedziała obok swych córeczek, patrzyła na nie, nie widząc ich. Jej myśli odbiegały od domu, oddała się bólowi. Tak minął dzień pogrzebu i wiele innych dni minęło w tym samym jednostajnym, ciężkim bólu. Patrzyli na nią domownicy wilgotnymi oczami i smutnym wzrokiem. Nie słuchała ich pocieszeń - i cóż mogli powiedzieć, sami byli zbyt ciężko zmartwieni.

Zdawało się, że sen opuścił ją zupełnie, a sen byłby jej najlepszym przyjacielem, przywróciłby spokój duszy. Zmuszali ją, aby kładła się do łóżka, a ona, położywszy się, udawała, że śpi. Pewnej nocy mąż, słysząc jej oddech, pewien, że odnalazła spokój i ulgę, złożył ręce w modlitwie i wkrótce zasnął zdrowym i mocnym snem. Matka podniosła się, narzuciła na siebie suknię i cicho wymknęła się z domu. Poszła tam, gdzie całe dni i noce podążały jej myśli - do grobu, w którym leżało jej dziecko. Nikt jej nie widział i ona nie widziała nikogo.

Matka weszła na cmentarz, podeszła do małej mogiłki, która była jednym wielkim bukietem pachnących kwiatów. Usiadła i pochyliła głowę, jak gdyby poprzez gęstą warstwę ziemi mogła zobaczyć swego chłopczyka. Nie mogła zapomnieć kochanego wyrazu jego oczu, nawet wtedy, gdy był już chory. Jakże wymowne było jego spojrzenie, kiedy się nad nim pochylała i ujmowała jego delikatną rączkę, której sam nie mógł już podnieść. Tak, jak siedziała nad jego łóżkiem, czuwała teraz nad jego grobem, ale tutaj łązy mogły swobodnie płynąć i spadać na grób.

– Chcesz pójść za swoim dzieckiem? - powiedział jakiś głos tuż obok niej. Dźwięczał tak jasno, tak głęboko, że przeniknął do jej serca. Spojrzała: obok niej stał jakiś człowiek, owinięty w obszerny, żałobny płaszcz, którego kaptur przykrywał mu głowę. Jego twarz była surowa, ale wzbudzała zaufanie a oczy promieniały, jak gdyby był młodym człowiekiem.

– Za moim dzieckiem - w jej oczach była prośba pełna rozpacz.

– Czy odważysz się pójść za mną? - spytała postać - Jestem Śmierć.

Skinęła głową. I nagle zdawało się, że wszystkie gwiazdy płoną takim blaskiem, jak księżyc w pełni; zobaczyła cały przepych barw w kwiatach na grobie. Powłoka ziemi zapadała się łagodnie a postać rozpostarła nad nią swój czarny płaszcz! Pograżała się w ziemi a cmentarz rozpościerał się nad jej głową jak dach. Nastała noc, noc śmierci.

Rąbek płaszcza uchylił się i oto matka stała w potężnej hali. Panował półmrok. Nagle zobaczyła przed sobą swoje dziecko i w tejże chwili przytulała je do swego serca, a ono uśmiechało się do niej i było piękniejsze niż dawniej. Wydała okrzyk, ale nie usłyszano go, gdyż wokół niej rozbrzmiewała cudowna muzyka. Nigdy jeszcze nie słyszała tak błogich tonów, wydobywały się one spoza ciężkiej i czarnej jak noc zasłony, która oddzielała halę od wielkiego kraju wieczności.

– Moja droga, miła mamó! - usłyszała głos swego kochanego dziecka, a potem w nieskończonej błogości poczuła jeden pocałunek za drugim.

– Na ziemi nie jest tak pięknie! Widzisz mamó, czy widzisz to wszystko? Oto szczęście!

Ale matka nie widziała nic, co dziecko pokazywało, nic oprócz czarnej nocy. Patrzyła ziemskimi oczami, nie tak jak dziecko, które Bóg do siebie prowadził. Słyszała dźwięki, tony, ale nie słyszała słów, w które pragnęła wierzyć.

– Teraz mogę fruwać, mamó - powiedziało dziecko - pofrunąć ze wszystkimi radosnymi dziećmi tam, do Boga. Chciałbym tak bardzo fruwać, ale kiedy ty płaczesz, jak teraz, nie mogę cię porzucić, a chciałbym tak bardzo! Czyż nie mogę pójść z nimi? Przyjdiesz przecież do mnie wkrótce, moja miła mamó!

– Ach, zostań - powiedziała - tylko przez chwilę. Jeden jedyny raz chcę na ciebie spojrzeć, pocałować cię i utulić w moich ramionach! - Całowała je i tuliła. Wtem z góry zabrzmiało jej imię, głos ten był bardzo żalony. Cóż to mogło być?

– Czy słyszysz? - powiedziało dziecko - To ojciec cię woła!

I znowu po chwili rozległy się głębokie westchnienia, jak gdyby płaczących dzieci.

– To moje siostry! - rzekło dziecko - Mamo, chyba o nich nie zapomniałaś?

Wtedy wspomniała o tych, których zostawiła i ogarnął ją lęk. Ich wołanie i westchnienia rozbrzmiewały jeszcze w górze, prawie o nich zapomniała dla umarłego dziecka.

– Mamo, teraz biją dzwony Królestwa Niebieskiego! - powiedziało dziecko

– Mamo, teraz wschodzi słońce!

Splęnęło na nią olśniewające światło, dziecko zniknęło, a ona wzniosła się w górę. Zrobiło się zimno, podniosła głowę i spostrzegła, że leży na grobie swego dziecka. Bóg zesłał jej sen i we śnie stał się podporą jej stóp, światłem jej rozumu.

Uklękła i modliła się:

– Przebacz mi Panie Boże, że chciałam zatrzymać wieczną duszę w jej locie i że pragnęłam zapomnieć o obowiązkach, którymi mnie tu na ziemi obarczyłeś względem żywych!

Gdy wymówiła te słowa, poczuła ulgę w sercu. Wzeszło słońce, nad jej głową zaśpiewał ptaszek, dzwony kościelne dzwoniły na mszę poranną. Dokoła niej panował nastrój tak uroczysty, jak w jej sercu. Poznała swego Boga, przypomniała sobie swoje obowiązki i pełna tęsknoty pośpieszyła do domu. Pochyliła się nad mężem i serdecznym pocałunkiem obudziła go. Mówili do siebie słowa serdeczne i szczerze. Była silna i łagodna, tak jak tylko żona potrafi być, stała się źródłem pociechy:

– Wola Boga jest zawsze najlepsza!

A mąż spytał:

– Skąd zaczerpnęłaś nagle tyle sił i tak pocieszające myśli?

Ona zaś pocałowała męża i dzieci i powiedziała:

– Mam je od Boga za pośrednictwem naszego zmarłego dziecka.